

SIECI

**KOLEJNE PROWOKACJE LGBT
- KTO ZA TYM STOI?**

**CZY IDZIE DRUGA
FAŁA PANDEMII?
- CO NA TO RZĄD**

**DLACZEGO GDAŃSK
NIE ZASŁUGUJE
NA WESTERPLATTE**

**CZY
ŁUKASZENKA
UPADNIE?**

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 32 (401) 2020
3-9 sierpnia 2020

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

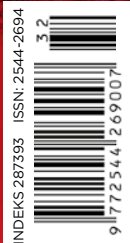
**BY NADAL WYGRYWAĆ,
MUSIMY**

OSTRO RUSZYĆ DO PRZODU

**MATEUSZ
MORAWIECKI**

W MOCNYM WYWIADZIE

**PREMIER MÓWI NAM
O CIĘŻKICH CZASACH,
KTÓRE NADCHODZĄ,
KULISACH SZCZYTU W BRUKSELI,
REKONSTRUKCJI RZĄDU ORAZ O TYM,
DLACZEGO ANDRZEJ DUDA WYGRAŁ WYBORY**



100.

ROCZNICA BITWY WARSZAWSKIEJ

Już **10 SIERPNIA**
w tygodniku **SIECI**

W dodatku historycznym przeczytasz:

- Jak doszło do militarnego sukcesu Polaków, zwanego Cudem nad Wisłą?
- Komu zawdzięczamy wygraną w jednej z najważniejszych bitew w dziejach świata?

Świętujemy **polskie zwycięstwo** dla wolności Europy!

PARTNERZY DODATKU:

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.



PARTNER MERYTORYCZNY:



Lewica tłumi każdy dialog

Ten list otwarty wstrząsnął lewicowo-liberalnym establishmentem na Zachodzie i rozpoczął dyskusję, która będzie trwała jeszcze długo.

„List o sprawiedliwości i otwartej debacie”, podpisany przez 150 intelektualistów z różnych kręgów politycznych, ale które ogólnie możemy opisać jako „liberalne”, oskarżył zachodnie organizacje lewicowe o poważny „grzech społeczny” – cenzurę.

Opublikowany w amerykańskim magazynie „Harper”, jednym z najbardziej szanowanych czasopism tego typu w USA, przeciwstawił się fali nietolerancji i cenzury, którą w ostatnich czasach – jak w nim czytamy – niesie z sobą lewica.

Lingwista i filozof Noam Chomsky, pisarze: J.K. Rowling, Salman Rushdie i Margaret Atwood, feministka Gloria Steinem, publicyści: Fareed Zakaria, Malcolm Gladwell, naukowcy: Francis Fukuyama i Steven Pinker... to tylko niektórzy z najsłynniejszych sygnatariuszy bardzo mocnych tez, wśród których znalazła się i ta: „Wolna wymiana informacji i idei, krwiobieg liberalnego społeczeństwa, jest coraz bardziej ograniczana. Spodziewaliśmy się tego ze strony radykalnej prawicy, ale cenzura rozlewa się również w naszej kulturze”.

List podkreśla, że ta fala nietolerancji jest skutkiem protestów przeciwko niesprawiedliwości rasowej i społecznej w Stanach Zjednoczonych, do których tam dochodzi już od dłuższego czasu. Protesty, czytamy w liście, są ważnym i pozytywnym fenomenem, ale razem z nimi wzmacnia się także nietolerancja.

„Redaktorzy są wyrzucani z pracy za publikowanie kontrowersyjnych artykułów, książki są wycofywane za rzekomą nieautentyczność, dziennikarzom zabrania się pisać na pewne tematy, w sprawach profesorów toczą się dochodzenia za cytowanie niektórych dzieł literackich na swoich zajęciach, badacze są wyrzucani z pracy za rozpowszechnianie recenzowanej pracy naukowej, a szefowie instytucji są zwalniani za popełnienie zwyczajnych błędów” – piszą sygnatariusze, a potem podsumowują: „Ograniczanie debaty, czy to przez represyjny rząd, czy nietolerancyjne społeczeństwo, niechybnie uderzy w tych, którzy nie dysponują władzą, i odbierze ludziom możliwość uczestniczenia w demokracji”.

Przypominanie o znaczeniu wolności słowa i dialogu w społeczeństwach demokratycznych nie jest niczym nowym. W tym liście ważne jest to, kto został poddany krytyce z powodu ograniczania takiej wolności. A to już nie jest „prawica”.

Sygnatariusze listu, pisząc o „naszej kulturze”, mają na myśli scenę intelektualną uformowaną pod wpływem le-

wicowych zamieszek z lat 60. ubiegłego wieku. Należący do tej sceny ludzie nadzorują dziś znaczną, jeśli nie kluczową część establishmentu społecznego Zachodu. A teraz zarzuca się im egzekwowanie cenzury. I robią to ludzie, którzy byli postrzegani jako ich główni luminarze.

Jednym z nich z pewnością jest Noam Chomsky, zapewne „największe nazwisko” wśród sygnatariuszy. To on w oświadczeniu dla mediów udzielonym po publikacji listu powiedział chorwackiemu dziennikowi „Jutarnji List”, że „lewica tłumi każdy dialog”. „To będzie dla nas zgubne [...] To jest początek narodzin totalitarnej nowomowy” – dodał.

Na ulicach amerykańskich miast wciąż widać przemoc, którą inicjują organizacje Antify. Duża część tej agresji przenoszona jest do sieci społecznościowych oraz do kręgów akademickich, gdzie tzw. kultura unieważniania (cancel culture), której fundamentem jest intelektualna eliminacja i ignorowanie przeciwnika, staje się coraz silniejsza.

W takiej sytuacji list ten mógłby się stać poważnym powodem do autorefleksji dla wszystkich sił lewicowych, którym zależy na prawdziwym dobru społecznym. Bo bez prawdziwego dialogu tego dobra nie uda się osiągnąć. To jest i miał być oczywisty zamiar jego sygnatariuszy.

Nie jest jednak jasne, czy tak się naprawdę stanie.

Większość reakcji na list ze strony lewicy była bardzo negatywna. Wypytywano o społeczne pozycje sygnatariuszy. Napisano, że ludzie „uprzywilejowani” nie mogą nauczać o wolności słowa tych, którzy uprzywilejowani nie są.

I tu pojawił się pewien paradoks, o którym pisali niektórzy analitycy. Siły opowiadające się za „postępowym” podejściem do społeczeństwa, lewicowy liberalizm, nagle mają problem ze „swoimi” intelektualistami, którzy opowiadają się za wolnością słowa.

Co nam to mówi o tych siłach? Tylko jedno – że poszły niebezpieczną drogą dyktatury politycznej poprawności i niszczenia demokracji.

Już od dłuższego czasu to właśnie te „progresywne” i lewicowe siły duszą wolność dialogu w krajach Zachodu. Ci, którzy cały czas kłaniają się idolowi tolerancji, okazują się najmniej tolerancyjni.

Wiedzieli o tym dobrze liczni intelektualiści jak Jordan Peterson lub zmarły niedawno Roger Scruton, którzy z powodu swoich poglądów mieli problemy we wspólnotach akademickich.

Teraz stało się to jasne dla wszystkich.

Goran Andrijanić




28

**Rekonstrukcja
rekonstrukcji**
Stanisław Janecki


34

Nadciąga druga fala?
Konrad Kołodziejewski


42

Pod opieką państwa
*Marek Pyza,
Marcin Wikło*

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 HOP, SIUP, ZMIANA...**
Krzysztof Feusette
- 9 UWIERZYLI?**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejewski
- 13 MANIFEST UŚMIECHNIĘTEJ POLSKI**
Bronisław Wildstein
- 14 ZDJĘCIA Z PODRÓŻY
DOROTY GAWRYŁUK**
Michał Korsun
- 15 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 NADJEŹDZA IZERA**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 19 FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 20 Z PREMIEREM MATEUSZEM
MORAWIECKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

KRAJ

- 28 REKONSTRUKCJA REKONSTRUKCJI**
Stanisław Janecki
- 31 Z MARCINEN ROMANOWSKIM**
rozmawia Aleksandra Jakubowska
- 34 NADCIĄGA DRUGA FAŁA?**
Konrad Kołodziejewski
- 37 Z JANUSZEM CIESZYŃSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 40 TO JEST SZTURM!
TO TĘCZA. TO ATAK**
Marzena Nykiel
- 42 POD OPIEKĄ PAŃSTWA**
Marek Pyza, Marcin Wikło

SIECI KULTURY

- 45 TYP NIEPOKORNY**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 47 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 48 BAS STULECIA**
Adam Ciesielski

50 MUSIMY SIĘ ISKAĆ

Robert Tekieli

51 WOJNA ŚWIATÓW

Robert Tekieli

52 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY

Wojciech Stanisławski

OPINIE

54 Z ARKADIUSZEM GOŁĘBIEWSKIM

rozmawia Marcin Wikło

ŚWIAT

56 PROWOKACJA WŁADZ CZY ROSYJSKIE PRZYGOTOWANIE DO INWAZJI?

Marek Budzisz

60 POŚLIZG NA CHIŃSKIM MURZE

Jan Rokita

64 INDEX NA INDEKSIE

Grzegorz Górny

GOSPODARKA

66 DUŻE INWESTYCJE SZANSĄ NA SZYBKIE WYJŚCIE Z KRYZYSU

Forum wGospodarce.pl

KUCHNIA

72 MOJE SMAKI: SONIA BOHOSIEWICZ

Jolanta Gajda-Zadworna

73 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM

Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

74 PSYCHOZA 2020

Hanna Karp

76 BITWA WARSZAWSKA WCIĄŻ TRWA

Maciej Pawlicki

78 WIEDZA I PAMIĘĆ

Alina Czerniakowska

79 POLSKOŚĆ BEZOBJAWOWA

Lech Makowiecki

80 PRAWDA NADRZĘDNA: PRZETRWANIE POLSKI

Jan Pospieszalski

81 KTÓRA BUDOWAŁA BARYKADĘ...

Leszek Długosz

82 BEZ PRYWATNOŚCI I PRZEBACZENIA?

Andrzej Zybortowicz

Weź udział

w unikatowym Programie dla
Akcjonariuszy Indywidualnych
PKN ORLEN

OSZCZĘDZISZ NA PALIWIE
AŻ DO 540 ZŁ ROCZNIE

KUPISZ TANIEJ
NA STACJACH PKN ORLEN

**ZYSKASZ WIEDZĘ O RYNKACH
FINANSOWYCH W AKADEMII
INWESTOWANIA**

OTRZYMASZ CERTYFIKAT
SYGNOWANY PRZEZ
CFA SOCIETY POLAND

Sygnalista nadaje

🔊 Europoseł PO Janusz Lewandowski: „Widziałem w Warszawie rowerzystę o niewłaściwym kolorze skóry. Trzymał w ręku, co niewygodne, białą-czerwoną flagę, jakby błagał »nie bijcie«. Smutny znak czasu w niegdyś tolerancyjnym kraju”. Cenna wypowiedź. Potwierdza, że ci ludzie po prostu nie wierzą, że polskość – ta twarda, białą-czerwona, a nie różowa – może być atrakcyjna. Czy ktoś, kto tak uważa, ma prawo rządzić Polską?

🔊 Z Polską zмага się także **Manuela Gretkowska**. Ale jest nadzieja, bo nawet mama pisarki okazała się podatna na reedukację: „Moja mama ogląda tylko TVP i TV Trwam. Żyje w bańce i kiedy w czasie kampanii wyborczej mieszkała z nami, przeżyła szok poznawczy. Słyszając moje rozmowy z przyjaciółmi: gejami, lesbijkami, ludźmi hetero, którzy są zwolennikami demokracji i wolności, zobaczyła, że wizja świata z TVP jest daleka od rzeczywistości”. Może mama chciała być po prostu miłą dla córki? Poza tym wiemy przecież z badań, że to pisowcy są bardziej otwarci na odmienne poglądy niż trzecioerpowy żelbeton.

🔊 Gretkowska twierdzi, że jej mama „zaczęła rozumieć decyzję o ponownym wyjeździe”. Czyżby więc ktoś naprawdę wyjechał po porażce Trzaskowskiego? Cóż, nie takie to proste. „Ja sama podejmuję decyzję i nie jest to decyzja ostateczna. Zawsze mogę wrócić i nie muszę, jak emigranci z 1968 r., pakować całego swojego życia w walizkę. Nie jestem pozbawiona też możliwości pracy tu w kraju, bo moja praca to mój komputer”. A więc znów unik.

A przecież z takimi talentami ci ludzie podbiliby świat! Dlaczego nie chcą spróbować?

🔊 A propos emigracji. „Gazeta Wyborcza” tak oto szkicuje nastroje w środowiskach tzw. mniejszości seksualnych: „Będzie kolejna fala emigracji. Nie ekonomiczna, jak po wejściu przez Polskę do Unii Europejskiej, społeczna. Zresztą nie mówi się o tym wiele, nie ma badań, ale ta fala już się zaczęła. Każdy z działaczy LGBT zna przynajmniej jedną osobę albo parę, która wyjechała z Polski po wygranych przez PiS wyborach w 2015 r. Teraz wyjazdów będzie jeszcze więcej”. Jeszcze więcej? To straszne.

🔊 Powyższe to cytaty z aktywisty Barta Staszewskiego (Bartka?). W sumie jest naprawdę źle: „To stracone dla Polski pokolenie. Wyjeżdżają nawet aktywiści, którzy przecież są zahartowani w boju, zdają sobie sprawę, że tunel pod nazwą »Zmiana« jest długi, że potrzeba czasu. Ale okazało się, że nie widać nawet światełka na końcu tego tunelu. Ludzie mają dość”. „Stracone pokolenie” – o, mają o sobie mniemanie. Ale coś w tym jest: ci ludzie mogliby służyć Polsce, a nie złej, bardzo złej sprawie.

🔊 Nie tylko Gretkowska kluczy w sprawie swoich wcześniejszych deklaracji. W czasie kampanii Rafał Trzaskowski obiecywał ulicę Lecha Kaczyńskiego w stolicy. Teraz mówi: „Będę miał swój pomysł na to, jak się wywiązać ze swojego zobowiązania”. Już jednak zadeklarował, że „nadawanie imienia Lecha Kaczyńskiego tej ulicy

🔊 Zbigniew Holdys też jest w kiepskim stanie.
„Manuela Gretkowska wyjeżdża, za chwilę sprzedaje dom, Pochanke z Pieczyńskim już wyjechali, Jacek Dehnel emigruje, już mieszka w Berlinie. Kolejni pakują walizki” – wylicza. I dodaje:
„Szmacciarze wyganiają wybitnych, utalentowanych, starych i młodych Polaków, gnoją ich publicznie, poniżają, gardzą nimi, nakłaniają ociemniałą resztę do pisania na murach faszystowskich zniewag, do bicia gejów, jako tych nie ludzi z LGBT, do takiego ich poniżania, by się wieszali i skakali z mostów”. Jak można żyć w takiej zakłamanej bańce? Jak w jakiejś sekcje.

[obecnej Armii Ludowej], której wcześniej z pogwałceniem prawa została nadana ta nazwa, nie jest dobrym pomysłem". Czyżby więc jakaś alejka w peryferyjnym parku? Jeśli tak, to dziękujemy. Ochłapów nie bierzemy.

 Z kolei wiceprezydent stolicy Paweł Rabiej uczcił rocznicę śmierci poety Zbigniewa Herberta, cytując fragment „Potęgi smaku”: „To wcale nie wymagało wielkiego charakteru / nasza odmowa niezgoda i upór / mieliśmy odrobinę koniecznej odwagi / lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku / tak smaku”. Dodał, że „Warszawa pamięta i jest temu wierna”. Szczyt obłudy. Bo przecież nie bez udziału władz Warszawy dwa lata temu zlikwidowano w stolicy ulicę Herberta i przywrócono ulicę Leona Kruczkowskiego, który smak pojmował wyraźnie inaczej.

 Sam Trzaskowski jeszcze niedawno chciał iść w Marszu Niepodległości. Teraz znów jest sobą. Zapowiada uważną obserwację organizowanego przez narodowców Marszu Powstania Warszawskiego: „Jeżeli pojawią się na nim ewentualnie symbole zakazane polskim prawem, jeżeli się pojawi mowa nienawiści, to natychmiast będziemy reagować”. Gdyby ten człowiek wygrał wybory, byłoby już po polskiej wolności. Jego zamordystyczne instynkty są szczególnie silne.

 Zmienił zdanie także były prezes Trybunału Konstytucyjnego prof. Andrzej Zoll. W 2014 r. oceniał, że konwencja stambulska to „zamach na naszą cywilizację”. Dziś mówi, że wówczas się mylił: „Po tych sześciu latach, jeśli spojrzymy na konwencję, to możemy zorientować się, że nie przyniosła ona dla nas, Polaków, żadnych ujemnych konsekwencji. (...) Konwencja nic nie pogorszyła, jeśli chodzi o sytuację Polaków”. To prawda, ale tylko dlatego, że mamy taki, a nie inny rząd. Tusk czy Trzaskowski użyliby jej do tego, do czego została powołana, czyli do niszczenia rodziny.

 Kto nie wierzy, niech posłucha relacji Kristiny Pavlović, koordynatorki chorwackiej inicjatywy obywatelskiej Prawda o Stambulskiej, która w rozmowie z portalem wPolityce.pl mówi tak: „Konwencja stanowi teraz legalny punkt zaczepienia dla lewicowych stowarzyszeń w jeszcze bardziej agresywnym narzucaniu i rozpowszechnianiu ich ideologii. Przeprowadzają one projekty skierowane do dzieci i młodzieży o tzw. stereotypach płci, do przedszkoli wprowadza się książeczki o »tęczowych rodzinach«. Konsekwencją konwencji jest również to, że od niedawna

w Chorwacji możliwe jest przyjmowanie dzieci w rodziny zastępcze przez pary homoseksualne, a to tylko krok od przyjęcia prawa zezwalającego im na adopcję”. Nie dajmy się nabrać.

 **Donald Tusk** wciąż nie skomentował zatrzymania i aresztowania swojego politycznego syna, czyli Sławomira Nowaka. To znaczy skomentował, ale tak dość przaśnie i mało solidarnie: „Informuję władze, że jestem na urlopie, więc chwilowo żadnych zbrodni nie popełniam. Urlopie, podkreślam, nie emeryturze”. Kolejny etap zdrady. Były premier najpierw wystawił swój obóz na rzeź, ruszając po osobistą karierę do Brukseli, a teraz – gdy jego ludzie mają wielkie kłopoty – stroi jedynie wesołkowate miny. Słusznie ostrzegaliśmy, że to człowiek, z którym nie warto się wiązać.

 **Włodzisław Czarzasty** skomentował zapowiedzi powołania przez Trzaskowskiego ruchu politycznego o nazwie Nowa Solidarność: „Jak ja to słyszę, to myślę sobie, że to są jakieś jaja po prostu. To są jakieś opowieści głupków. Znowu będzie taka historia, że kogoś obraziłem, ale jak można inaczej nazwać kogoś, kto mówi, że ruch Trzaskowskiego na miarę wałęsowskiej Solidarności. Jak można to inaczej nazwać? To jest po prostu głupota”. I groteska, wyrastająca z tego zadęcia, które aż się ulewa z Trzaskowskiego.

 Jeszcze raz Czarzasty: „Ktoś mówi: »Przyjdzie wielki ruch«. Nie przyjdzie wielki ruch, dlatego że nie ma wielkiego ruchu. Wzięliśmy pomadkę, żeśmy podotykali do twarzy trochę, Trzaskowski jest ładniejszy od Budki, może ktoś się na to da nabrać. Powiem szczerze, nikt się na to nie da nabrać”. To, że nikt, to przesada. Nabiorą się celebryci, w sprawach politycznych zawsze mało pojętni.

 Syn Jacka Kurskiego zapowiedział pozwy w związku z publikacjami „Gazety Wyborczej”, która zarzuciła mu molestowanie dziewczynki – mimo że śledztwo w tej sprawie dwukrotnie umorzono, a cała sprawa na kilometr pachnie intrygą. Zapytany, jak zamierza dalej żyć z takim brzemieniem oskarżeń, Antoni Kurski odpowiedział: „Trzyma mnie przy życiu miłość do mojej narzeczonej i praca. Myślę o zmianie nazwiska i wyjeździe gdzieś, gdzie nie sięgają ludzka podłość i nikczemność”. Dodał również: „Brzydzę się podwójnie, bo pozwę również mojego stryja Jarka Kurskiego, który nie miał żadnych hamulców moralnych, by zachować się jak współczesny szmalcownik”. Cóż, ludzie z „Wyborczej” zdolni są absolutnie do wszystkiego. Do wszystkiego.



Hop, siup, zmiana...



KRZYSZTOF FEUSETTE

Budka: Nazywam się Budka. Borys Budka...

Schetyna: To czemu wszyscy mówią „Borysław”?

Budka: A dlaczego na ciebie mówią „Zniszczecie” albo „Shrek”? To nie jest temat naszego spotkania. Imię można zmienić, nazwisko także, ale zmiana nazwy partii... Sławku, czy mógłbyś przestać się kiwać, bo strasznie mnie to rozprasza? Dziękuję. A więc zmiana nazwy partii to nie tylko wyzwanie, lecz także przyznanie, rozeznanie, wezwanie, a czasem i zeznanie, jak przekonuje nas los kolegi N., dla przyjaciół „Lolo Pindolo”, któremu rzuciły się do gardła służby polskie oraz ukraińskie...

Trzaskowski: Dobra, Borysław, streszczaj się, bo ja nie mam czasu...

Nitras: Tak jest, streszczaj się, k...jego mać, bo Rafał nie ma czasu, k...jego mać...

Kidawa: Panie Sławku, ja pana nie poznaję. Pan był kiedyś młodym kulturalnym człowiekiem, a dziś przypomina pan goryla z ADHD. Czy pan ma jakieś zmartwienia? Kiedy pan się ostatnio przytulał?

Nitras: Gosiu, ty tego nie rozumiesz... Ważą się losy naszej partii, a ty... ty... w ogóle nie powinnaś być świadkiem tej rozmowy!

Trzaskowski: Dobra, puść ją. Staropolskie popiskiwanie o porcelanie, a na paradę równości nie ma komu chodzić. Czas to pieniądz, a pieniądz robi pieniądz, więc powiem tylko raz, po polsku, choć wymyśliłem to po francusku. Moja ostateczna propozycja: natychmiast zmieniamy nazwę formacji, Borysław wyprowadza sztandar, a my robimy nowe wybory nowego przewodniczącego nowej partii. Głosy w metropoliach liczą się podwójnie. Nowa nazwa: Ruch Rafała.

Schetyna: Co to jest „ruchra”?

Trzaskowski: Już ci się nie podoba, dziadku leśny? Masz lepszą?

Schetyna: Oczywiście, że mam. Partia Pożytecznych Idiotów Kaczora. Ale to jest nazwa dla was. Ja swoją partię nazwę inaczej.

Budka: I kto w niej będzie? Neumann?

Schetyna: A dlaczego nie? Każdy wielki polityk Platformy miał, ma lub będzie miał swojego Sławomira N. Donald – Nowaka, ja – Neumanna, Rafał – Nitrasa. Tylko ty, Borysław, nie masz. Jak myślisz, dlaczego?

Budka: Platforma to przeszłość, którą musimy odkreślić grubą kreską. Ale Ruch Rafała nie brzmi dobrze. To już lepiej Budka Obywatelska. Bo nazwisko przewodniczącego

gdzieś musi się pojawić. Jak w Ruchu Palikota, Kukizie'15, Planie Petru.

Trzaskowski: I gdzie one teraz są? Ruch Rafała albo pocałujcie mnie w ratusz...

Schetyna: A ten swoje. Otrzyj, chłopcze malinowy, mleko spod nosa i bierz się do roboty

w Warszawie. My sobie z Borysławem poradzimy...

Trzaskowski: Sławuś, powiedz im...

Nitras: K...jego mać, panowie, no, żeż do ch..., czy wy nie widzicie, że wasz czas minął? Grzesiu, Borysku – nie czujecie, że was już nie ma? Damy wam po resorcie i będziecie sobie tam śledztwa przeprowadzać, jak Joński i Szczerba...

Trzaskowski: ...a my w tym czasie stworzymy Nową Solidarność, czyli Ruch Rafała. Trzeba albo – jak to się teraz mówi na salonach – trza się spieszyć. Hołowni zostało 30 lat na realizację obietnic w Polsce 2050, ale nas będą rozliczać od razu. Musimy wrócić do polityki miłości...

Budka: To może Budka Obywatelskiej Solidarności Salonu, w skrócie BOSS? Wtedy pierwszym liderem nowej partii mógłby zostać ostatni lider starej, co dałoby wyborcom poczucie stabilności...

Trzaskowski: Sławuś...

Nitras: Panie przewodniczący Borysie Borysławie

Budka, w imieniu kierownictwa Ruchu Rafała oskarżam pana o zdradę. Chodzi o pańską decyzję o wystawieniu kandydatury Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, która o mały włos nie zakopała nas pod progiem wyborczym. Jako działanie na szkodę nowej partii postrzegamy także próby powtórzenia wyborów. Wiadomo, jak ciężko Rafał pracował na swoje moralne zwycięstwo i jak zajął się tą kampanią. Skazywanie go w tej chwili na kolejne spotkania z Polakami to jest jawny sabotaż!

Schetyna: I tak dobrze, że Hołownia sam się zaorał. Frajer wpuścił złodzieja do domu.

Trzaskowski: Sam jesteś złodziej. Jak ty mnie... Sławuś...

Nitras: Po prostu, wk...wiasz Rafała, Grzesiu. Nie powinien nazywać złodziejem naszego „el prezidente”. Miałeś się wycofać, a szczerzysz zęby i wszystkich drażnisz. Powtórzę: jedźcie z Gosią i Borysem na urlop. Ściągniemy was, jak będzie po wszystkim.

Trzaskowski: Tak jest. Musicie zniknąć na jakiś czas, żeby wyborcy trochę zapomnieli. Ale Ruch Rafała zawsze będzie o was pamiętał. Macie moje słowo.

Uwierzyli?

*Uśmiech wywołuje to,
że wiedzę o znaczeniu tęczy
w relacjach Boga i człowieka
może pogłębić ktoś, kto uważa,
że większe prawa ma krowa
niż nienarodzony człowiek*

Najwyraźniej zachęeni popularnością ośmiu gwiazdek rozpowszechnianych przez ludzi uważających się za elitę intelektualną kraju tuż przed wyborami, tęczowi aktywiści sprofanowali pomnik Chrystusa znajdujący się na Krakowskim Przedmieściu oraz zniewały inne warszawskie pomniki, przemocowując na nich tęczową flagę LGBT i kartki z napisem „Jeb...e się ignoranci”. Pojawił się także manifest, w którym można wyczytać, że mamy do czynienia ze szturmem i z atakiem. Trzeba przyznać, że działacze ruchu LGBT przyzwyczaili nas już do tego, że swoje kontrowersyjne (częściej skandaliczne) akcje chętnie usprawiedliwiają sloganami o tolerancji, walce o wolność i tęsknocie za byciem szanowanymi. Jednocześnie te same osoby przeważnie nie tolerują, nie szanują osób inaczej myślących i nie przyznają im prawa do wolności religijnej. Dotyczy to głównie chrześcijan, bo ci są wyjątkowo częstym celem ataków i kpin, choćby podczas parad równości. Jakoś się nie słyszy, by podobne hucpy odbywały się w meczetach lub ich okolicach, by profanowano symbole islamu lub parodiowano jego wyznawców. Aktywiści są odważni, ale ta odwaga ma granice.

Cała ta historia ciągnie jednak za sobą dość zaskakujące konsekwencje. Otóż o Jezusie Chrystusie zaczęli mówić publicznie ludzie, którzy dotychczas nie dali się poznać jako, powiedzmy ogólnie, gorliwi katolicy.

I tak np. w sprawie zabrał głos Donald Tusk. „Jako szef europejskich chrześcijańskich demokratów chciałbym przypomnieć, że Jezus stał zawsze po stronie słabszych i krzywdzonych, nigdy po stronie opresyjnej władzy” – zawyrokował na Twitterze były premier Polski. Sprawę skomentowała także Agata Diduszko, znana z antykościelnych popisów warszawską radną, która podczas ratuszowej wigilii nie życzyła sobie ani oplatka, ani księdza. Okazało się, że i ona świetnie wie, jaki był i co zrobiłby Jezus. „Tęczowa flaga nie profanuje Jezusa. Nie był homofobem, ksenofobem, nacjonalistą – stał po stronie uciśnionych

i prześladowanych. Gdyby żył teraz, szedłby na marszu równości – i tak jak 2 tys. lat temu nie byłoby mu po drodze z hierarchiami Kościoła” – zawyrokowała radna. Odezwała się także znana z niechęci do Kościoła Sylwia Spurek: „Tęcza zawsze przypomina o potrzebie szacunku i akceptacji dla drugiego człowieka. I będzie przypominać tak długo, jak Polska będzie na marginesie ochrony praw człowieka” – napisała na Twitterze eurodeputowana, zapominając, że tęcza to symbol przymierza Boga i człowieka, ale szybko jej o tym przypomniało.

Nie wiem, czy mam w sobie tyle śmiałości, by zgadywać, co zrobiłby Jezus, gdyby teraz żył na ziemi. Na pewno był zawsze po stronie uciśnionych i nigdy nie gardził człowiekiem. Na grzech miał jednak lekarstwo – nawrócenie: „Idź i nie grzesz więcej”. Pewnie z niektórymi hierarchami rzeczywiście mógłby nie chcieć maszerować, ale raczej parady równości by nie przyklaskiwał, tylko zaproponowałby lekarstwo.

Więcej spekulować nie będę, bo to nie moja rola. Urzeka mnie jednak to, że istnienia Zbawiciela nie podważają tak zatwardziali wrogowie Kościoła jak pani Diduszko. Cieszy też, gdy o Jezusie wspomina przedstawiciel brukselskiej elity, która w zachwycie nad aborcją i eutanazją dawno już zapomniała, że religia chrześcijańska miała być jednym z trzech, obok filozofii greckiej i prawa rzymskiego, filarów Wspólnoty Europejskiej. Uśmiech wywołuje to, że wiedzę o znaczeniu tęczy w relacjach Boga i człowieka może niechęć pogłębić ktoś, kto uważa, że większe prawa ma krowa niż nienarodzony człowiek.

Co zaś się tyczy samego zbezczeszczenia figury Pana Jezusa, to może powiem to, co usłyszałam od zaprzyjaźnionego duchownego: „Figurą Jezusa ma być sam człowiek. Wiele nam dano i wiele się od nas wymaga. Królestwo Boże buduje się na prawdzie, nie na gnoju. Jeśli ludzie Kościoła o tym zapomną, to zaszkodzą mu bardziej niż wetknięta gdzieś tęczowa flaga”. Kto zna Chrystusa, zna prawdę. I tego poznańscy wszyscy sobie życzą. Wtedy nad głowami będziemy nam powiewać właściwy sztandar.

Dorota Losiewicz



 **Niemcy**

Paradoks Energiewende

Na początku lipca Bundestag przegłosował ustawę o rezygnacji z węgla. Ustawa przewiduje stopniowe odchodzenie od energii węglowej – do 2038 r. Jednocześnie niemieckie zagłębia węglowe mają otrzymać 40 mld euro pomocy z budżetu na restrukturyzację. Do koncernów energetycznych trafi natomiast 4,5 mld euro „odszkodowania”. Minister gospodarki Peter Altmaier określił odejście od węgla jako historyczny „projekt pokoleniowy”. Krytycy twierdzą natomiast, że Berlin – w dobie koronakryzysu – zwyczajnie kupił sobie zgodę węglowego lobby na powolne wygaszanie elektrowni. A ponieważ one nadal działają, powstają coraz nowsze kopalnie odkrywkowe. Ot, paradoks niemieckiej Energiewende.

W Nadrenii Północnej-Westfalii, w okolicach Akwizgranu, z powierzchni

ziemi ma zniknąć pięć wiosek: Berverath, Oberwestrich, Unterwestrich, Keyenberg i Kuckum. Ustąpią one miejsca rozrastającej się kopalni Garzweiler II. Przeciwno likwidacji wiosek protestują ekolodzy oraz ich mieszkańcy. Jak pisze niemiecki dziennik „Taz”, od 19 lipca protesty odbywają się tu codziennie. Mieszcowi nie chcą opuścić swoich wiosek – w przypadku Kuckum dwie trzecie chce zostać. Jedna z mieszkanek powiedziała, że „wywłaszczanie ludzi pod kopalnię odkrywkową to w dzisiejszych czasach kuriozum”. Rząd ma, jej zdaniem, ustąpić pełne frazesów o zielonej energii, tymczasem kopalnia niszczy „strony rodzinne ludzi”.

Tyle że niemiecki rząd musi zapewnić „bezpieczeństwo dostaw energii” oraz liczyć się ze spółkami energetycznymi i związkami zawodowymi górnictwa. Kopalnią odkrywkową Garzweiler kieruje koncern RWE, a w regionie węglowym wokół Akwizgranu może zniknąć wskutek ustawy ponad 3 tys. miejsc pracy.

Ekolodzy tymczasem wskazują na powiązania niemieckich polityków

z lobby węglowym oraz na ogromny koszt przejścia na zieloną energię ponoszony przez zwykłych obywateli w postaci rachunków za prąd, podczas gdy „wydobycie węgla brunatnego trwa w najlepsze”. Irytację wywołało także niedawne uruchomienie nowej elektrowni węglowej – napędzanej węglem kamiennym importowanym z Australii – Datteln IV. Ta elektrownia, podobnie jak inne „nowoczesne” elektrownie, ma działać „do samego końca”, czyli do 2038 r., bo bez niej „nie da się zapewnić nieprzerwanych dostaw energii”.

W Niemczech jest ok. 100 elektrowni węglowych – na razie wyłączone mają zostać te przestarzałe, które i tak dawno przestały być rentowne. Inne zostaną zapewne zastąpione na gaz. Wątpliwe, czy znacząco zmniejszy to emisję CO₂, pewne jest natomiast, że ceny energii wzrosną. Jak pisze „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, awantura o węgiel nie została w Niemczech jeszcze zażegnana.

Aleksandra Rybińska

Sejm Litwy zdecydowaną większością głosów przyjął rezolucję potępiającą wszelkie formy macierzyństwa zastępczego. Przeciw surogacji głosowali nie tylko konserwatyści, lecz także socjaldemokraci i zieloni. Ich zdaniem wynajmowanie macic (zarówno komercyjne, jak i altruistyczne) jest nie do pogodzenia z godnością kobiet i dzieci, które traktowane są jak towar. Posłowie porównali ten proceder wprost do niewolnictwa i handlu ludźmi, dla których nie ma żadnego moralnego usprawiedliwienia. Zwrócili uwagę, że turystyka reprodukcyjna i wykorzystywanie matek dotyczy głównie krajów ubogich i jest nową formą eksploatacji biednych przez bogatych. Jako alternatywę dla bezdzietnych par zaproponowano adopcję.

Litewski Sejm, jako pierwszy europejski parlament narodowy, nie tylko potępił praktykę surogacji, lecz także wezwał do jej całkowitego zakazania na świecie. Zaapelował do sekretarza generalnego ONZ, aby uznano macierzyństwo zastępcze za formę dyskryminacji kobiet i handlu dziećmi. Zwrócił się

też do Rady Europy i Unii Europejskiej, by nałożono surowe kary na wszystkie strony umów międzynarodowych dotyczące surogacji, m.in. agencje medyczne, kancelarie prawne i pośredników.

Nie wiadomo, czy propozycja litewskich parlamentarzystów ma szansę na realizację. Wiadomo natomiast, że idzie w poprzek narracji wielu opiniotwórczych środowisk na świecie, przedstawiających zjawisko wynajmowania macic jako dobrodziejstwo dla wszystkich stron: bezdzietnych par niemogących doczekać się własnych pociech, biologicznych matek mających możliwość zarobku oraz samych maluchów, którym dano się urodzić i wychować w komfortowych warunkach. Kolorowa prasa na Zachodzie pełna jest sentymentalnych reportaży o celebrytach, takich jak Elton John, Ricky Martin, Kim Kardashian czy Nicole Kidman, którzy zafundowali sobie dzieci z surogacji. W świetle rezolucji litewskiego Sejmu jawią się oni jednak nie jak dobroczyńcy ludzkości, lecz raczej jak handlarze niewolników.

Grzegorz Górny

 **Litwa**

Celebryci i handel dziećmi



Gry wojenne

Izrael

Sytuacja na granicy izraelsko-libańskiej, nigdy niebędącej oazą spokoju, zaostriżyła się w ostatnich dniach do tego stopnia, że może dojść do wybuchu lokalnej wojny. Wydaje się to tym bardziej prawdopodobne, że w obliczu masowych protestów politycznych, które od wielu dni przetaczają się przez Izrael, premier Netanjahu zaczyna myśleć o kolejnych, czwartych w ciągu niespełna dwóch lat, przedterminowych wyborach parlamentarnych.

O tym, że perspektywa wojny regionalnej jest realna, świadczyć może też niespodziewana wizyta gen. Marka Milleya, przewodniczącego Połączonych Szefów Sztabów amerykańskich sił zbrojnych. Amerykański generał tej rangi nieczęsto odwiedza Izrael. Ostatni raz tego rodzaju wizyta odbyła się w 2012 r. Już sam jego przyjazd, zwłaszcza w trakcie gwałtownej fali pandemii, która zaatakowała Izrael, ożywił w miejscowej prasie falę spekulacji co do rzeczywistych powodów wizyty. Dziennik „The Jerusalem Post” spekuluje, że celem amerykańskiego dowódcy była próba powstrzymania Izraela przed uderzeniem na Iran. Taki konflikt kilka miesięcy przed wyborami prezydenckimi w USA byłby dużym problemem dla Donalda Trumpa.

O możliwości izraelskiego ataku zaczęto spekulować po tym, jak w ostatnich tygodniach w Iranie doszło do serii tajemniczych pożarów w ważnych obiektach o znaczeniu strategicznym. Spłonęła m.in. stocznia w porcie Bushehr na południu kraju, ogień gaszono również w zakładach petrochemicznych w prowincji Chuzestan oraz fabryce aluminium w mieście Lamard. Jednak najbardziej spektakularny był pożar, jaki na początku lipca strawił część fabryki Natanz, w której Teheran ma produkować centryfugi niezbędne dla kontynuowania programu nuklearnego. Irańskie źródła donoszą też o eksplozji w zakładach chemicznych przetwarzających chlor oraz w innych, gdzie produkuje się rakiety. Ogólne poczucie destabilizacji wzmagają wybuchające na masową skalę pożary lasów. Irańskie władze oficjalnie uważają, że wszystkie te wydarzenia są wynikiem przypadkowych zaniedbań, jednak wypowiadający się w zachodnich mediach eksperci są zdania, że możemy mieć tu do czynienia z zakrojoną na szeroką skalę akcją sabotażową izraelskich służb specjalnych, która może być przygotowaniem do uderzenia wojskowego. Taki scenariusz jest tym bardziej prawdopodobny, że władze w Izraelu wielokrotnie zapowiadały, iż nie dopuszczą do kontynuowania przez Teheran jego programu nuklearnego, a ujawnione ostatnio plany sojuszu między Chinami a Iranem mogły przyspieszyć tę decyzję.

Marek Budzisz

Grenlandia

Rewolucja w Arktyce

Nie tylko w USA czy w Wielkiej Brytanii lewacy radykalowie domagają się wymazywania przeszłości i burzą pomniki. Podobny postulat pojawił się nawet na dalekiej Grenlandii, gdzie pomazano czerwoną farbą pomnik norwesko-duńskiego misjonarza Hansa Egede uznawanego za założyciela stołecznego miasta Nuuk. Na pomniku napisano: „zdekolonizować”. Sprawca dewastacji pomnika został złapany, ale nie podano jego tożsamości.

Egede jest nazywany „Apostolem Grenlandii”. Przybył na wyspę w 1721 r. i założył miasto Godthåb (Dobra Nadzieja), które w 1979 r., po uzyskaniu autonomii przez Grenlandię, zmieniło nazwę na Nuuk. Lewicowi aktywiści – nie mając żadnych naukowych podstaw – oskarżają Egede o brutalną politykę wobec Grenlandczyków i twierdzą, że jest on symbolem duńskiego kolonializmu. Grenlandia ma dziś status autonomiczny w ramach Królestwa Danii. W latach 80. Grenlandczycy opowiedzieli się za wystąpieniem z Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i pozostają jedynie członkiem Rady Nordyckiej.

Wydarzenia związane z pomnikiem pchnęły władze miasta do zorganizowania referendum, w którym mieszkańcy Nuuk mieli wypowiedzieć się o przyszłości monumentu. Kilkanaście dni temu zdecydowali oni przewagę 60 proc. głosów, że pomnik pozostanie symbolem miasta, ale też świadectwem historii i tożsamości Grenlandczyków. Dziś Grenlandię zamieszkują głównie Eskimosi i Duńczycy. Obecność Eskimosów, a raczej – jak wymaga tego poprawny politycznie język – Inuitów, pozwala lewicowym radykałom na znalezienie rasowego punktu zaczepienia w walce z pomnikiem Egede. Inuici to Indianie, czyli, znów posługując się politpoprawną terminologią, rdzenni Grenlandczycy, których można przeciwstawić białym i nordyckim „oprawcom”. Problem w tym, że Grenlandia została odkryta przez norweskich wikingów, którzy zbłądzili, płynąc na Islandię. Przodkowie Inuitów przybyli zaś na wyspę dopiero trzy wieki po wikingach (XIII w.).

To znamienne, że rewolucja zapoczątkowana na amerykańskich ulicach dotarła aż na Grenlandię. Można oczywiście pocieszać się, że mieszkańcy miasta odrzucili pomysł zburzenia pomnika założyciela miasta, jednak sam fakt debaty na ten temat pokazuje, że ideologiczny walec rozpęda się już w zawrotnym tempie.

Łukasz Adamski

Pomnik Hansa Egede w Nuuk



Otulić Kruszyńniany

Z prof. Małgorzatą Dajnowicz, podlaskim wojewódzkim konserwatorem zabytków, rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna



Dlaczego warto odwiedzić Kruszyńniany?

Małgorzata Dajnowicz: Mają w sobie unikatowe walory. Takie, których nie spotkamy nigdzie indziej w Polsce. Jest to skupisko Tatarów, którzy od wieku są obecni na Podlasiu, kultywują swoje tradycje, wyznanie, ale jednocześnie wpisują się w krajobraz kulturowy Polski. Poza tym mają piękne zabytki otoczone piękną przyrodą. Jako podlaski konserwator zabytków mogę potwierdzić, że zabytki te są wręcz niepowtarzalne, dlatego – postanowieniem prezydenta Polski z 2012 r. Kruszyńniany (i Bohoniki) – zostały uznane za pomniki historii.

Które obiekty w Kruszyńnianach wpisane są do rejestru zabytków?

Osobno: meczet, mizar, czyli cmentarz oraz jego ogrodzenie, jak również układ rualistyczny, czyli wieś w jej historycznym kształcie. Wszystko to objęte jest konserwatorską ochroną.

Dlaczego o tej ochronie trzeba przypominać teraz?

Jest to związane z realnymi, w mojej ocenie, zagrożeniami dla tego miejsca. W niedalekiej odległości 1,4 tys. m od granicy wpisu, czyli granicy wsi, planowane są bardzo duże inwestycje związane z fermami drobiu. W sposób realny mogą one zagrozić temu miejscu, jego walorom zarówno historycznym (zabytkowym), jak i przyrodniczym. Jest potrzeba rozszerzenia strefy chronionej. Rozważane są dwie koncepcje: utworzenia parku kulturowego i parku krajobrazowego jako swoistej otuliny. Prace nad tymi projektami powinny się zacząć jak najszybciej. Już samo zapoczątkowanie procedur może zahamować działania inwestycyjne.

Fot. archiwum prywatne

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE
nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl

BRONISŁAW WILDSTEIN

Manifest uśmiechniętej Polski



Kochani! Patrzę na wasze młode, radosne, choć przesłonięte mgłą smutku twarze i wiem, że musimy zwyciężyć. Wygra młoda, radosna, europejska, otwarta i tolerancyjna Polska, pomimo że dziś pogrążona jest w mrokach średniowiecza. Ale my rozpędzimy te ciemności i ich siewców, nie pozwolimy, aby nasz kraj brukali nienawistnicy! Niech nie ludzą się, ich dni są policzone. Bo nadchodzimy, aby łączyć, nie dzielić!

Rozumiem wasz smutek. Wapory nienawiści i nietolerancji, które zatrują życie w tym kraju, są trudne do zniesienia. Ilu wielkich Polaków musi emigrować, za bezcen sprzedawać swoje posiadłości i godzić się na życie na Costa Brava czy Lazurowym Wybrzeżu, ilu, nie mogąc znieść tej aury nietolerancji, pozostawia Polskę brudnym nienawistnikom, klerofaszystowskiemu motłochowi ośmielonemu przez populistów, którzy dorwali się do władzy. Ile samobójstw spowodowały skandaliczne zmanipulowane wybory, które jak każde z posunięć tej władzy, ba – jej samo istnienie – łamię naszą najświętszą konstytucję, oczywiście interpretowaną przez upoważnione do tego autorytety. Jaka musi być liczba tych samobójstw, skoro władze nie ośmielają się jej nawet podawać?

Czy można nie rozpaczć, że pseudowybory odbyły się w niekonstytucyjnym terminie? Nie dość, że nienawistnicy u władzy parli do głosowania w pandemii, za pomocą zabójczych kopert narażając na śmierć wielkie rzesze Polaków, to dodatkowo wycofali się z tego, po raz kolejny łamiąc konstytucję. W imię politycznego interesu podeptali uczucia rodaków, dla których konstytucja to świętość. Oczywiście interpretowana przez upoważnione do tego autorytety.

Nietolerancja i nienawiść wypelzły na nasze ulice tak, że ludzie wrażliwi boją się po nich chodzić. Już nie tylko wrażliwi artyści, jak Krystyna Janda, czują się obsrani. Obsrani jesteśmy wszyscy. I to przez kogo? Przez prostaków, biomasę, buraczany motłoch przekupiony 500+. Zgódźmy się, że takie gówno jest szczególnie niemile.

Czy pozwolimy więc defekować na siebie?! Po stokroć razy: nie! Nie damy podzielić naszego kraju, nie damy go sobie zabrać. Ten kraj jest naszą własnością i dlatego ręce, które wyciągają się, aby go nam odebrać, zostaną odrąbane. Rozpalonym żelazem wypalimy populistów. Przywrócimy wolność i tolerancję. Są jeszcze sędziowie w Warszawie i Brukseli, jest jeszcze Unia, populisci nie mają szans. No pasarán.

Z pomocą naszych europejskich towarzyszy odzyskamy, co nasze. Zagonimy prostaków, tam gdzie ich miejsce, a przestępcy otrzymają należne im kary. Bo cóż jest większym przestępstwem niż łamanie konstytucji, oczywiście interpretowanej przez upoważnione do tego autorytety? Drżycie, przestępcy nieprawnie

i nie przez kogo należy wybrani oraz ich poplecznicy. Rozprawimy się z wami w imię demokracji i tolerancji, miłości i zgody.

Wiem, że trudno być radosnym dziś, kiedy dookoła widzi się triumfujące ryje, kiedy jad złości bezkarnie zalewa nasze ulice, cieknie z telewizorów i rozplywa w internecie. Otwarci, tolerancyjni i wykształceni Europejczycy nie mogą wytrzymać, gdy dookoła panoszą się nienawistne pyski. Kiedy zwykły cham natrząsa się z nas i obraża nasze poczucie smaku. Ale już niedługo. Pokażemy mu, gdzie jego miejsce. Nikt już nie będzie dzielił naszych rodaków, snuł spiskowych teorii na temat interesów w Unii, które przysparzają nam wrogów, choć każdy wykształcony wie, że Bruksela tylko o nasze dobro walczy; nikt nie będzie naruszał naszych przyjaźni z sąsiadami, nie będzie irytował europejskich obrońców tolerancji, demokracji i praworządności, znowu poniesie nas główny nurt, który wyznaczają obrońcy postępu.

Rozliczymy populistów i nauczymy ich demokracji, wytruszymy w tolerancji i otwartości, nikt już nie ośmieli się skrytykować LGBT ani zakwestionować żądań jego rzeczników. To nasz kraj i nie pozwolimy zatrutować go jadem nienawiści. Nikt już niechętnym spojrzeniem nie obdarzy naszego brata geja albo siostry lesbijki, nikt nie zakwestionuje ich ludzkich praw do małżeństwa, adopcji dzieci czy kapłaństwa, a jeśli komu przyjdzie to do zakutego łba, to za mordę przymusimy go do tolerancji i wolności. Zamknijmy tych, którzy nie zgadzają się na otwartość. Wykorzenimy kołtuna. Nikt nas nie będzie już różnił, bo wszyscy będziemy tacy sami.

Wygramy, bo jesteśmy młodocia, wymrą, no, wiemy kto, i nadejdzie młodość, bo już idzie młodość, młodość, młodość i odrodzi nasz kraj.

A teraz w imię otwartości i tolerancji, w imię radości i młodości, w imię pokoju i Europy, wszyscy razem: Jebać PiS! 

Dorocie i Dawidowi Adamskim

*Wyraży głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci*

TATY I TEŚCIA

składają

Zarząd i pracownicy Grupy Medialnej Fratria

ZDJĘCIA Z PODRÓŻY

Doroty Gawryluk

PRZED KORONAWIRUSEM



O kres pandemii był czasem dla mnie i rodziny. Mimo trudnych okoliczności nie narzekałam, bo miałam przestrzeń na aktywności, na które normalnie bym nie znalazła wolnej chwili. Np. zrobiłam sobie uprawę pomidorów, ogórków i innych warzyw. Nadrobiłam zaległości w lekturach („Jerozolima” Simona Montefiorego, „Moja podróż po Imperium” Agathy Christie...), odnowiłam też relacje z rodziną.



Odnosnie do podróży – lubię polskie góry, zwłaszcza Beskidy. A za granicą – wszystko, co wiąże się z wysiłkiem i wyzwaniem. Dużo chodzenia, biwakowania, zwiedzania. Jak widać na zdjęciach – bez fryzjera i manikiuru. Wybór docelowego punktu podróży to zwykle inicjatywa znajomych i rodziny. W ostatnich latach przed koronawirusem była Szwecja, Izrael, Włochy, Grecja. Zdarzały się też dalsze wyjazdy: Wietnam, Sri Lanka, Malezja. Ale Beskidy i tak wygrywały w każde wakacje.

Zwłaszcza teraz.

Polska

H ajnówka i Białowieża to rodzinne okolice mojego męża. Wielką atrakcją dla dzieci jest kolejka wąskotorowa, której trasa wiedzie przez całą Puszczę Białowieską. O tyle jest to fajne, że gdy młodzież zachwyca się widokami, ja podczas jazdy mogę poczytać. Tyle razy



jeździłam tą kolejką, że ta godzinna podróż jest już dla mnie trochę nudna, więc z lekturą mam czas dla siebie. Nie zmienia to faktu, że wszystkim miłośnikom przyrody polecam tę formę zwiedzania puszczy. Można zobaczyć dziką zwierzynę, ptactwo... i niestety postępujący proces degradacji. Jest to efekt wszystkich protestów, na których „ekolodzy” starają się udowodnić, że człowiek od stuleci nie wie, jak zajmować się gospodarką leśną, i powinien pozostawić puszcze samą sobie. Jak błędne jest to założenie, można się naocznie przekonać w Białowieży, gdzie niepowstrzymany kornik drukarz dokonuje własnej „wycinki”. Dla porównania w Bieszczadach, gdzie praca leśników nie była sabotowana, stan lasów jest znacznie lepszy

Szwecja

60 km na wschód od Sztokholmu mamy znajomego, który zajmuje się profesjonalnie szkołą przetrwania. Prowadzi różnego rodzaju kursy, m.in. ratowania dzieci, które wpadły pod lód. Doskonale zna naturę, wie, jak przeżyć w ekstremalnych warunkach. W szwedzkich lasach z takim przewodnikiem zawsze czujemy się komfortowo. Chętnie tam wyjeżdżamy, zwłaszcza że nasza córka uwielbia biwak i kontakt z przyrodą. Lubi spać w namiocie, wędkować, co na tle współczesnych



Co myśli puma

Zróżnorodnych publicznych sporów, jakie toczą się obecnie w Polsce, najbardziej pasjonuje mnie awantura o pumę. Jak pewnie wszyscy czytelnicy wiedzą, weteran wojny w Afganistanie Kamil Stanek kilka lat temu kupił zwierzę w legalnej hodowli w Czechach i traktował je jak domowego pieska, czy raczej kotka, biorąc pod uwagę gatunek. Problemem okazało się, że wprawdzie pumę w Czechach zgodnie z prawem można kupić, jednak w Polsce posiadać jej nie wolno. Po różnych perypetiach (policijny pościg, ucieczka do lasu, negocjacje z mediatorami) puma za zgodą właściciela trafiła do zoo w Chorzowie, gdzie zwierzę stało wielką atrakcją.



**Dominik
Zdort**

Problem w tym, że prawa do kota rości sobie ogród zoologiczny w Poznaniu, gdzie zwierzę miało trafić zgodnie z sądowym wyrokiem. I, jak to w podobnych wypadkach bywa, już zaczęły się kłótnie. Poznańskie zoo oskarżyło chorzowskie o to, że źle się z pumą obchodzi, że zamiast ją izolować w kwarantannie (modne dziś słowo), eksponuje ją. Co jeszcze straszliwsze: „Pumę ma prawo odwiedzać jej były właściciel, który został już trzykrotnie karany za naruszenie ustawy o ochronie przyrody”, więc „przebywanie pumy z byłym właścicielem jest naruszeniem dobrostanu zwierzęcia”.

Myślę sobie, że po takim piśmie poznańscy zoologowie powinni wystąpić do sądu przynajmniej o 10-letni zakaz zbliżania się dla byłego właściciela. Choć nikt nie wspomina o tym, że w domu byłego żołnierza puma była maltretowana psychicznie i fizycznie...

Z drugiej strony pojawili się też adwokaci wielkiego kota i jego byłego właściciela. Nie tylko internauci, ale też dyrekcja zoo w Chorzowie, która twierdzi, że nie ma powodu, aby zdrowe zwierzę było ukrywane przed zwiedzającymi, a także zauważa, że „puma była od malucha wychowywana przez pana Stanka i łączy ich specyficzna więź”.

Jak widać, każdy ogród zoologiczny ma inną opinię na temat tego, co myśli puma. Całe szczęście, że nikt nie wpadł na pomysł, żeby przed wysokim trybunałem przesłuchać kota, choć – kto wie, jeśli w sprawę zaangażują się obrońcy praw zwierząt – może i taki wniosek pojawi się w porządku dziennym.

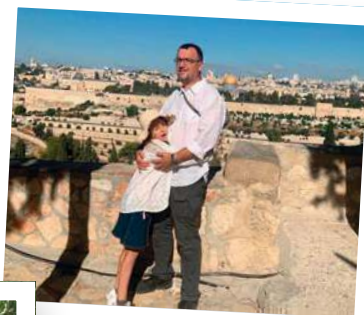
Ale dopóki zwierzę samo się nie zadeklaruje, mocniej przemawia do mnie tęsknota Kamila Stanka do jego wychowanki niż zawilości psychologii zwierzęcej w interpretacji pani Dolittle z Poznania. Lepiej wybrać dobro człowieka niż domniemany dobrostan pumy.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

nastolatek jest wyjątkowym hobby. Muszę przyznać, że dla mnie to już nie jest taka atrakcja. Kiedyś takie wyjazdy organizowałam dla syna, obecnie 26-latką, teraz robię to dla Marysi.

Izrael

To są zawsze wyjazdy tygodniowe w rodzinnym gronie: siostra Ewa, jej rodzina plus my. Naszym przewodnikiem na miejscu jest znajomy ksiądz, dzięki



któremu wyprawy mają duchowo-krajoznawczy charakter. Izrael zjeździliśmy wzdłuż i wszerz: całe Jezioro Galilejskie, Jerozolimę, Hajfę i inne miasta. W ciągu siedmiu dni zwiedzanie musi mieć i ma



charakter intensywny, ale także z przyjemnymi wypoczynkowymi akcentami m.in. nad Morzem Martwym. Uwielbiam miejscową kuchnię. Bardziej street food niż wykwintne restauracje. Zakupy jedzenia na ulicy, bazarach, tam gdzie tętni życie, to nasz turystyczny afrodyzjak.



*Spisał Michał Korsun
Bohaterką tekstu jest dziennikarka
i prezenterka telewizyjna oraz radiowa.*

OGNIEM NA WPROST

Bajki Szymona



Niezmierzony senator Wadim Tyszkiewicz postanowił nie uznać wyboru prezydenta Andrzeja Dudy na drugą kadencję, a na znak protestu ogłosił, że nie weźmie udziału w zaprzysiężeniu prezydenta. „Podjąłem decyzję, nie wezmę udziału w Zgromadzeniu Narodowym, na którym Andrzej Duda obejmie urząd prezydenta na drugą kadencję. Długo się wahałem, ale sumienie mi na to nie pozwala. To jest moja klauzula sumienia” – stwierdził. Po tej deklaracji wylała się na niego fala hejtu. Jej najmocniejszym akcentem stało się hasło „Wy...j z Polski”. Ponieważ pan senator nie ma w swoich planach wyjazdu na emigrację z „Tenkraj”, zaczął korygować swoją wypowiedź. „Chcę jasno powiedzieć, że nie zamierzam bojkotować zaprzysiężenia prezydenta. Będę wtedy w Sejmie, ale wiem, że nie wszyscy zmieszczą się na sali posiedzeń – hamletyzował. – Dlatego bardzo chętnie ustąpię miejsca osobie, która szczerze popiera Andrzeja Dudę. Nie oszukujmy się, to nie jest prezydent wszystkich Polaków”. Widać Tyszkiewicz w porę przypomniał sobie rzymską maksymę „vox populi, vox Dei”, czyli „głos ludu, głosem Boga”, i nieco złagodził swoje pierwotne stanowisko. A może uległ innej regule: „presja ma sens”?

Nawalanka w łonie opozycji trwa w najlepsze. Tym razem uaktywnił się Wojciech Lemański, nazwany w obiegu medialnym księdzem. Ale tym razem zaatakował celnie. Ostrze swojej krytyki wymierzył w Szymona Hołownię, który w błogim samozadowoleniu, graniczącym z bufonadą, snuje „bajki z mchu i paproci” o tym, „co by było, gdyby było”, czyli jakby wygrał w drugiej turze z Andrzejem Dudą. Przy

okazji Hołownia nieustannie podkreśla, że to, co on robi, jest najlepsze, tylko on wie, jak uzdrowić politykę i tylko on wie, jak rozmawiać z ludźmi. „Szymon – daj nam wszystkim chwilę od ciebie odpocząć – zaapelował Lemański. – Przeróżałeś te wybory. (...) Nie udawaj teraz proroka i nie opowiadaj bajek, jak to wygrałbyś w drugiej turze. Jedź z żoną i córką na urlop. Jakoś bez ciebie wytrzymamy ten miesiąc czy drugi” – skwitował Lemański. Po raz pierwszy zgadzam się z każdym słowem wypowiedzianym przez Lemańskiego, ale żeby być ścisłym – jedna jaskółka wiosny nie czyni.

Z niepokojem dostrzegam pogarszający się stan pamięci byłego już kandydata na najwyższy urząd w państwie Rafała Trzaskowskiego. Pierwsze objawy można było zaobserwować już podczas kampanii wyborczej. Kiedy zapytano go o głosowanie nad obniżeniem wieku emerytalnego, stwierdził z pewnością w głosie: „Cztery lata temu nie byłem posłem”. Po konsultacji ze współpracownikami oświadczył, że oczywiście cztery lata temu był posłem „i to bardzo dumnym, ale nie głosowaliśmy wtedy podwyższenia ani obniżenia wieku emerytalnego”. Problem polega właśnie na tym, że wtedy w Sejmie głosowano nad tą sprawą. A poseł Trzaskowski był przeciwko obniżeniu wieku przejścia na emeryturę. Ostatnio w TVN24 prezydent Warszawy popisywał się wiedzą na temat liczby protestów wyborczych. „Nigdy nie było tyle protestów wyborczych jak po tych wyborach” – stwierdził bez zająknięcia. Miał na myśli te 5,8 tys., które wpłynęły do sądu, o 600 tys. w 1995 r. zapominając. Teraz z kolei, kiedy w całej

Polsce huczy od profanacji dokonanej przez aktywistów LGBT na figurze Chrystusa pod kościołem św. Krzyża i innych warszawskich pomnikach, Trzaskowski pytany o te dewastacje z charakterystyczną dla siebie dezynwolturą odpowiedział: „Szczerze powiem, że pierwszy raz o tym słyszę”. I ja mu jestem skłonny wierzyć. A skoro tak, to moim obowiązkiem jest pana przestrzec. Miażdżycą bowiem jest podstępna choroba. Wzrost cholesterolu we krwi zwykle przez dłuższy czas nie daje żadnych niepokojących objawów. Dopiero gdy nasze tętnice zwężą się co najmniej o połowę, zauważamy, że coś jest nie tak: zaczynamy mieć trudności z koncentracją i zapamiętywaniem. A więc dobra rada, panie prezydencie Warszawy: więcej ruchu, zmiana diety i przede wszystkim odwiedzić lekarza.

Candace Owens to czarnoskóra amerykańska aktywistka. Początkowo była bardzo krytyczna wobec prezydenta USA Donalda Trumpa oraz Partii Republikańskiej. Z czasem jednak zaczęła zmieniać zdanie. Niedawno wydała książkę „Blackout. Jak czarna Ameryka może po raz drugi uciec z plantacji demokratów”. Już samo to, jak ujmuje sprawę, wywołuje wściekłość aktywistów Black Lives Matter. Ale najbardziej uderzył w neobolszewików z BLM i innych wyznawców rewolucji jej wpis, w którym stwierdziła krótko, że zamieszki pod pretekstem „antyrasizmu” w ciągu miesiąca zniszczyły życie większej liczby czarnoskórych niż policjanci w ciągu dekady. I to zdanie powinno wystarczyć za puentę.

Andrzej Rafał Potocki

Nadjeżdża Izera

W ostatnich dniach lipca zadebiutowała nowa polska marka motoryzacyjna Izera. W dniu premiery Electromobility Poland SA zaprezentowała dwa modele samochodu Izera: hatchback i SUV, których seryjna produkcja ma ruszyć za trzy lata. Nazwa pojazdów nawiązuje do Gór Izerskich i rzeki Izery, które mają odzwierciedlać polski i zarazem międzynarodowy charakter nowej marki. Prototypy aut powstały na podstawie szczegółowej analizy oczekiwań Polaków. Charakteryzują je dopracowany w detalach design – łagodna, nowoczesna linia oraz funkcjonalność i przestronność właściwe dla aut rodzinnych. Elektryczny napęd ma pozwolić osiągnąć prędkość 100 km/h w mniej niż 8 s, a akumulator zapewni przejechanie 400 km. Auta będą można ładować w domowych ładowarkach typu „powerwall” i w szybkich stacjach ładowania. Izera będzie wyposażona m.in. w systemy stabilizacji toru jazdy, ostrzegania przed zderzeniem, monitorowania martwego pola oraz rozpoznawania znaków drogowych. Samochodem będzie można sterować za pomocą aplikacji, która np. uruchomi klimatyzację podczas postoju, zaprogramuje czas i cykl ładowania. Systemy nowych aut będą reagować także na głos. Izera ma być pojazdem powszechnie dostępnym, możliwym do zakupu w przystępnym systemie ratalnym.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

i Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi, zaprojektował nadwozie samochodu Syrena Sport. Model przypominał kształtem porsche. Wizjonerski design kojarzący się z włoską stylistyką miał być pierwszym polskim coupé, który mógłby podbić serca kierowców nie tylko w PRL, ale także na Zachodzie. Stylowe dzieło Nawrota nie miało jednak szans, by stać się ekskluzywnym produktem fabryki na Żeraniu. Osobiste polecenie Józefa Cyrankiewicza miało podobno zdecydować o rezygnacji z produkcji nowego modelu, bo uznano, że bryła auta jest zbyt „zachodnia”. Prototyp zniszczono w 1975 r. Syrena Sport do dziś pozostała legendą polskiej motoryzacji prezentującą kreatywność polskiej myśli technicznej i designerskiej, której władza ludowa nie pozwoliła się rozwinąć.

W 2016 r. impulsem do stworzenia elektrycznego samochodu Izera stały się w dużej mierze państwowe koncerny energetyczne, a rząd Zjednoczonej Prawicy na wszelkich polach wspiera polskich innowacyjnych przedsiębiorców. Elektromobilność, która obecnie zdaje się przyszłością motoryzacji, jest szansą dla polskiego przemysłu samochodowego, któremu wbrew malkontentom trzeba kibicować.

REKLAMA



**DOBRE SŁOWO
NA FALI**



**SŁUCHAJ NAS
ONLINE**



www.radiowarszawa.com.pl

Dzień po internetowej prezentacji prototypów w mediach pojawiły się krytyczne głosy ekspertów kategorycznie przekreślające szanse Izery zarówno na krajowym rynku, jak i na świecie. Zdaniem jednego z komentatorów polskie korzenie auta nie będą sprzyjać jego popularności, ponieważ rodzima motoryzacja nie ma się czym szczycić, a wyjątkowe cechy naszego nowego pojazdu nie mają szans w rywalizacji z ofertą międzynarodowych koncernów. W wypowiedziach, które mają na celu chyba tylko zgaszenie entuzjazmu wywołanego innowacyjnym pomysłem, widać jak na dłoni imposybilizm, który przez lata po 1989 r. skutecznie hamował nasze dążenia do rozwoju gospodarki. Przemysł motoryzacyjny w Polsce jest tymczasem wydolny i wydajny, bo produkowanych jest u nas rocznie przeszło 600 tys. aut, a specjalizujemy się głównie w podzespołach.

Historia polskiej motoryzacji sięga okresu 20-lecia międzywojennego. To właśnie w tamtym okresie powstał polski samochód pancerny FT-B, a w 1925 r. na V Targach Wschodnich we Lwowie zaprezentowano prototyp modelu CWS T-1 autorstwa Tadeusza Tańskiego. Po zakończeniu II wojny światowej powstała Fabryka Samochodów Osobowych na Żeraniu, z której wyjeżdżały warszawy, syreny, kilka modeli fiata, poloneza i inne samochody produkowane na licencji zagranicznych koncernów. Majestatyczna warszawa była pierwszym autem, które w 1954 r. zostało zbudowane z całkowicie polskich części. Pod koniec lat 70. na drogach pojawił się polonez, ale jego produkcję wstrzymano w 2002 r. Pierwsza syrena opuściła fabrykę już w 1953 r. W 1960 r. Cezary Nawrot, młody polski projektant wzornictwa przemysłowego, późniejszy profesor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL

TEL. (22) 616 36 00

UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSZYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KĄCZYŃSKA-ZIELŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,
MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLINSKA, JANUSZ ZYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYSCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL
BARTŁOMIEJ SZYPIERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPIERSKI@FRATRIA.PL
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZAŁSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYŻA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDLECKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.



FOT. NA OKŁADKĘ: FRATRIA, PIOTR KOSMIDYSH/SHUTTERSTOCK.COM, ASATUR YESAPANTS/
SHUTTERSTOCK.COM, SHUTTERSTOCK.X4

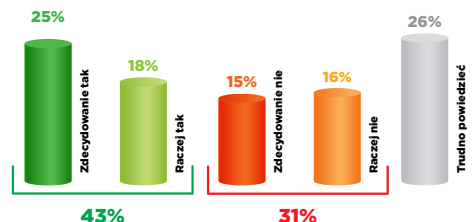


pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

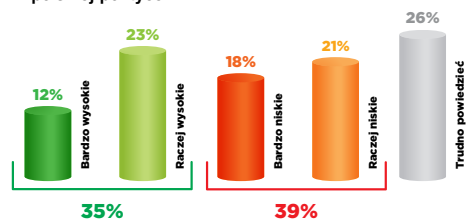
Na które ugrupowanie oddałaby Pani/oddalby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



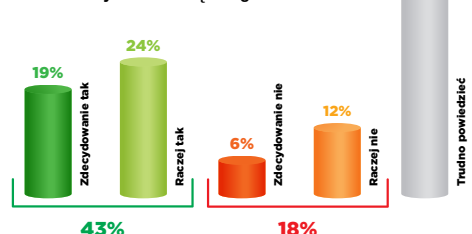
Czy politycy opozycji w związku z wyborem Andrzeja Dudy na drugą kadencję prezydencką powinni, czy nie powinni okazywać mu większy szacunek niż obecnie?



Jak ocenia Pani/Pan szanse Rafała Trzaskowskiego na stworzenie ruchu obywatelskiego nazywanego „Nową Solidarnością”, który odegrałby istotną rolę w polskiej polityce?



Czy wierzy Pani/Pan w zarzuty prokuratorskie postawione Sławomirowi Nowakowi dotyczące działania w grupie przestępczej i przyjmowania łapówek za kontrakty na budowę dróg na Ukrainie?



Badania realizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1062.

Zakres czasowy badania 24-27 lipca 2020 r.

Atak na siostry

Normalnie nie sięgam po „Gazetę Wyborczą”. „Nie mam przyjemności” – tak powiem oględnie. Upewniam się czasem o tej decyzji, gdy docierają do mnie wiadomości o takich artykułach jak „Święta Katarzyna od wyborów” Jacka Harlukowicza. To reportaż imputujący siostrze ze Zgromadzenia Pasterek od Opatrzności Bożej fałszerstwa wyborcze i zagłosowanie „za” swoje podopieczne na Andrzeja Dudę. Notabene materiał ten poszedł obok tekstu Wojciecha Czuchońskiego „Czy mieszkańcy DPS-ów głosowali samodzielnie?”.

W każdym razie siostry w Świętej Katarzynie pod Wrocławiem, w Zakładzie Opiekuńczo-Lecznicznym, miały, jak to wynika z „reportażu”, podstępem wymuszać głos na starych schorowanych kobietach. Reporter dotarł do tych chorych wiekowych pań (często już pozbawionych przez starość i choroby możliwości samodzielnego poruszania się) i w ogniu pytań wydobył od nich „prawdę” – ma być nią to, że zakonnice (a konkretnie właściwie jedna, nazywana w reportażu imieniem Bernadetta), chodząc z kartami i pakietami do głosowania korespondencyjnego,



**Tomasz
Łysiak**

zbierały głosy na Dudę. Z reportażu dowiadujemy się, że podopieczne mogą nawet nie wiedzieć, kto teraz jest prezydentem, a jedna z nich nawet sądziła (jak wynika z artykułu), iż głosuje na Kaczyńskiego.

Tyle opisu sytuacji – tego perfidnego ataku na Kościół, na siostry zakonne, które poświęcają się, by nieść posługę najbardziej potrzebującym, a ich obowiązkiem było pomóc starszym i chorym osobom w głosowaniu (np. jedna z pań jest niepiśmienna); ataku przeprowadzonego przez zadawanie, jak na śledztwie, dziesiątków pytań i wyciąganie „zeznań” ze starszych i schorowanych osób. To budzi moją dodatkową odrazę.

„Che vergogna!” – w takiej sytuacji wykrzykują Włosi, gdy widzą podobne zachowania czy publikacje. „Co za wstyd!” „Co za hańba!”.

Tym bardziej mierzi mnie ten atak, tym bardziej napawa oburzeniem, iż siostry w Świętej Katarzynie bronić się nie będą, będą milczeć i się modlić – tylko tyle mogą zrobić. I „Gazeta Wyborcza” doskonale o tym wie.

Mam nadzieję, że modlitwa ma większą siłę niż to, co wyczynia „Wyborcza”. Tylko się upewniłem, że lepiej nie brać jej do ręki.

WC kaczką

Jaki mamy hit lata? Zenek wrócił do „Wiadomości” TVP! Łomatkokochana córko...! Ale to jeszcze nic – prawdziwym hitem mógłby być „niezgodny z konstytucją” wybór Polaków tego, za przeproszeniem, Dudy, na głowę państwa. Redakcja z ulicy Czerskiej i inne, te polskojęzyczne „made in Germany”, grzeją temat, niestety nie chwycił, bo to już drugi raz go wybrali. Poloki duraki dali się kupić pisowskimi bonami „plus” i mamy „totalny armagedon”, jak to ujęła Agata, co nogą zamiata, córka śp. Wojciecha Młynarskiego; że nad Bałtyk „zjechali wszyscy Kiepscy”, że „wszędzie gra muzyka, w każdej knajpie faceci w gastronomicznej ciąży opędzają się od swoich dzieci i umęczonych żon”, że „wiadomo, browar” itd. Stare to jednak, z tego sezonu bardziej aktualny byłby wpis pisarki Nurowskiej: „Oni mają ordynarne ryje, i to wszystko elektorat PiS. A ich baby! Nie lepsze!”, ale hiciora z tego też chyba nie da się ukreślić.

Nie wiem, czym elektoratem jest nie lepsza baba Górniak, ryja ordynarnego jak u Nurowskiej nie ma, nogi ma dłuższe niż cały słodki Zenek wzwyż, sądząc wszak po jej z nim płaskach na koncercie TVP2 w Chełmie, też pewnie pisowa. W mediach jest tak często jak Martyniuk, z tym że ambitniejsza jakby. Ostatnio zwierzyła się w Wirtualnej Polsce: „Być



**Piotr
Cywiński**

może powinnam być głową państwa, nie ze względu na wiedzę, ale na dyplomację”. No, skromna kobieta, wie, na czym siedzi, i dalej – cytuję wiernie – „postanowiłam się do tego odnieść na jednym z live’ów na moim Instagramie”, że „jest to dowód wielkiego zaufania społecznego, ale nie mogłabym tego zrobić, po pierwsze dlatego, że kocham muzykę i tego nie mogłabym zrobić, po drugie, ja lubię nosić miniówki i toby za bardzo nie pasowało w Pałacu Prezydenckim”. Chciałaby za to, dla „odświeżenia w podejściu do wielu aspektów”, odegrać rolę WC kaczką, bo „Polska na to zasługuje” i „jak już przygotuję w całości taki materiał, to będę się starała spotkać z ministrami”. Jak ująłby to Mickiewicz, gdyby żył:

„Tu przerwała, lecz wszystkim się zdawało, że wciąż śpiewa jeszcze, a to echo grało, i szła muzyka, coraz szersza, coraz dalsza, doskonalsza...” – od małopolskiej wsi Korea w Stręgoborzycach w powiecie krakowskim po Koreę Południową: „Je-szcze Po-lska nie zgi-ne-e-ęła, kie-dy my ży-je-myyy...”.

Nie da się zaprzeczyć, Edzia jest kobietą, słodkie żywioły w niej śpią, czasem jak odpływ w zwał z nóg... I jest wakacyjny hicior? Jest! „Lubię czekać lata, skąpanego w kwiatach, gdy ciepły deszczyk gra, a ja z Edzią nucę tak: życie to są chwile, chwile, jak motyle”, tyle, tyle...



Przed nami ogromne wyzwania

Jestem zadowolony z wyników tego szczytu nie tylko dlatego, że to wielki sukces Polski, że będziemy mogli wykorzystać olbrzymią sumę pieniędzy, ale także dlatego, że Unia Europejska po tym maratonie lepiej rozumie, że wszyscy jedziemy na jednym wozie

*Jacek Karnowski rozmawia z premierem **Mateuszem Morawieckim***



Fot. Andrzej Skowroński

Unii. Bo i one korzystają z jednolitego rynku, z inwestycji, z tego, że w Polsce buduje się drogi. I to staraliśmy się uświadomić. Mówiliśmy: wasze firmy biorą z naszych krajów dywidendy, więc dostrzeżcie lepiej korzyści, które osiągniecie z rozwoju Polski. I dostrzeżli.

Są tacy, którzy chcieliby Polskę i Węgry ukąsić i znów traktować nie po partnersku, tylko jak uczniów. To się nie udało, jesteśmy asertywni i skuteczni, stąd u niektórych zgrzytanie zębami

I ten język działa?

Ostatecznie to się przebija, powtarzanie tego na różne sposoby w końcu trafia do adresatów. I dlatego takie kraje jak Austria czy Dania, które rzeczywiście dużo wpłacają, także są zwycięzcami. Jednak ja się przede wszystkim cieszę z tego, że Polska osiągnęła swoje najważniejsze cele. Mimo że – i mówię to z wielkim smutkiem – polska opozycja zachowywała się jak przeciwnicy Polski przy negocjacyjnym stole.

Jak wygląda praktyczna walka o swoje cele na takim szczycie?

To głównie wielopłaszczyznowe budowanie różnych koalicji. A więc oczywiście Europa Środkowa jako nasze naturalne środowisko, ale także grupa państw przemysłowych z Europy Północnej. Mówimy jednym językiem z Węgrami czy Czechami, ale potrafimy też porozumieć się z Niemcami, Duńczykami czy Szwedami. Ze Szwedami i Duńczykami jesteśmy na antypodach w niektórych sprawach, ale bardzo blisko w innych. W zakresie pomocy dla południa Europy podziały były inne, niż się wszystkim wydaje.

Jestem zadowolony z wyników tego szczytu nie tylko dlatego, że to wielki sukces Polski, że będziemy mogli wy-

korzystać olbrzymią sumę pieniędzy, ale także dlatego, że Unia Europejska po tym maratonie lepiej rozumie, że wszyscy jedziemy na jednym wozie.

Te 750 mld zł, o których mówił pan po powrocie z Brukseli, to są szacunki i nadzieje czy też precyzyjne wyliczenie kwoty gwarantowanej?

750 mld zł to suma, która jest już zapisana w różnych rubryczkach pod różnymi pozycjami. Można więc powiedzieć, że jest to suma już przyznana. Oczywiście zakładamy, że Parlament Europejski ostatecznie potwierdzi to porozumienie.

Czy sprzeciw Parlamentu Europejskiego – już jasno zasygnalizowany – może wzruszyć to porozumienie?

Ważne, że w tej sprawie mamy sojuszników w postaci 26 pozostałych państw członkowskich. Każdy prezydent i premier musi teraz namawiać przedstawicieli swojego kraju w PE do głosowania za podtrzymaniem tego, co ustalono. Skoro coś ustaliliśmy, złożyliśmy swoje podpisy, to teraz trzeba namówić posłów, np. z CDU i SPD – skoro w Niemczech jest wielka koalicja – do głosu na tak. Podobnie w innych krajach.

Pod warunkiem że premierzy nie powysyłali do PE swoich wrogów, których chcieli się pozbyć. To oczywiście żart. A co z tzw. praworządnością? Zapisano trzystopniową procedurę opracowania zapowiadzanego mechanizmu. Kluczowe zdanie głosi, że na końcu Rada Europejska, czyli premierzy i prezydenci, „szybko wróci do tej sprawy”. Jaką mamy gwarancję, że będzie to oznaczało konieczność jednomyślności, czyli nasze prawo weta?

To pytanie trzeba zestawić z obecnym stanem. A wygląda on w ten sposób, że procedura wiązania praworządności z warunkowością przyznawania środków biegnie już od dwóch lat i bardzo szybko mogła zostać zakończona.

Ostatni unijny szczyt to cztery dni i cztery noce negocjacji z krótkimi przerwami na odpoczynek. To celowa taktyka, zmierzająca do tego, by wykończyć prezydentów i premierów, by doprowadzić ich do stanu, w którym ze zwykłego zmęczenia godzą się na wszystko?

Mateusz Morawiecki: Być może był taki zamiar, ale to nie od nas zależało. W takiej sytuacji nie można było ulec zmęczeniu ani presji, stawka była zbyt duża. I nie ulegliśmy. Wróciliśmy z ogromną, bezprecedensową kwotą pieniędzy na rozwój Polski.

Zresztą, jak to po dobrych negocjacjach, wszyscy wyszli z tego szczytu zwycięscy. Wygrały kraje mniej zamożne, ale również te, które dopłacają do budżetu

I nadal może być szybko zakończona. Teoretycznie zupełnie bez udziału Rady Europejskiej, a więc bez możliwości jej zatrzymania z naszej strony. My z Viktoriem Orbánem wywalczyliśmy rzecz kluczową: deklarację, że Rada Europejska ma brać udział w tym procesie.

Czy to jest jednak zapis na tyle jednoznaczny, że rozwiewa obawy?

Rzecz jasna istnieje ryzyko jakichś rozgrywek, spisków i prób oszustwa. Wiele sił w Europie jest bardzo rozczarowanych, że te ustalenia wyglądają tak, a nie inaczej, że Polska otrzymała tak ogromne fundusze, a jednocześnie mechanizm tzw. praworządności jest ujęty tak, że media mówią o zwycięstwie Polski. Proszę spojrzeć tylko na zagraniczną prasę, która szeroko opisywała, że „Polska i Węgry ograły Unię”. To oczywiście złośliwa interpretacja, ale są tacy, którzy chcieliby Polskę i Węgry ukąsić i znów traktować nie po partnersku, tylko jak uczniaków. To się nie udało, jesteśmy asertywni i skuteczni, stąd u niektórych zgrzytanie zębami.

Zresztą, powiedzmy też otwarcie, co leżało na stole obok tego porozumienia, które przywieźliśmy. Co było realną alternatywą. Otóż leżała tam chęć porozumienia się 25 krajów – dogadania się ze sobą na zasadzie umowy międzynarodowej, z pominięciem Polski i Węgier. Chętnych do takiego wistu nie brakowało, byłoby przecież 50 mld euro więcej do podziału z samego tylko Europejskiego Funduszu Odbudowy. Mogli także zmniejszyć budżet Wieloletnich Ram Finansowych np. o połowę, dorzucić te pół biliona do funduszu odbudowy i także podzielić między siebie. My dostalibyśmy ułamek tego, co mamy obecnie. Naprawdę łatwo nie było, ale nam chodziło o wywalczenie pozytywnych konkretów dla Polski. I to zrobiliśmy. Gdyby nam chodziło tylko o ładne zdjęcia z przywódcami, jak to bywało przed 2015 r. – to ten szczyt zakończyłby się w ciągu 24 godzin, ale z mizernymi konkluzjami dla Polski.

Nie mogliśmy w takiej sytuacji sięgnąć po weto? Prof. Krasnodębski mówił, że powiązanie funduszy z praworządnością jest „czerwoną linią”. Inni podkreślali, że stawką jest suwerenność. Gdyby weszło to powiązanie, mielibyśmy stryczek na szyi.

Mieliśmy świadomość stawki, ale trzeba też powiedzieć, że Unia Europejska nie działa w taki sposób, by weto było narzędziem, które realnie

W sprawie praworządności uzyskaliśmy najlepsze możliwe rozwiązania, jakie były do uzyskania w tych okolicznościach

coś rozwiązuje. Chcę jeszcze raz podkreślić – gdybyśmy nie doszli do porozumienia, na stole leżało rozwiązanie, w którym pozostałe państwa dogadują się między sobą, a my zostajemy prawie z niczym, zarówno w kwestii praworządności, jak i funduszy.

Owszem mieliśmy weto, ale jego właściwy sens brzmi następująco: „Droży państwo, jeśli nie osiągniemy akceptowalnego porozumienia, to my sobie strzelimy w łeb”. To była nasza jedyna broń. Byłoby trochę niemilo, ale na koniec dnia powiedzieliby nam: OK, to zróbcie to, skoro się upieracie. Podzielimy środki bez was.

Co by było, gdybyście to zrobili?

Nie zrobiłoby to takiego wrażenia, na jakie liczą niektórzy w kraju. Nasze możliwości negocjacyjne nie wynikały z tego, że groziliśmy zerwaniem szczytu, ale z tego, że umieliśmy budować bardzo różne koalicje. Że przywoływaliśmy konkretne sprawy, dziedziny, łączące nas z różnymi państwami i grupami państw. Jest prawda, o której teraz mówię, i jest mityczna opowieść, którą Platforma i część komentatorów próbują kreować. Unia Europejska jest, jaka jest: skompliko-

wana, niejednorodna, trochę rozmyta, rozwodniona, jest gąszczem, w którym trzeba umieć się poruszać. W sprawie praworządności uzyskaliśmy najlepsze możliwe rozwiązania, jakie były do uzyskania w tych okolicznościach.

Ale Donalda Tuska wybrano na drugą kadencję przewodniczącego Rady Europejskiej właściwie bez głosowania. Czy teraz nie może zdarzyć się podobnie?

Nie, dlatego że wybór przewodniczącego Rady Europejskiej opisuje specjalna procedura, zakładająca wymóg kwalifikowanej większości. W innych sprawach Radę Europejską obowiązuje jednomyślność.

A może i pan, i premier Orbán macie jakieś nieformalne zapewnienie w tej sprawie ze strony najważniejszych liderów Unii?

Nawet gdyby coś takiego padło, nie mógłbym o tym mówić z oczywistych względów.

Kto ma trudniej na takich szczytach: Polska czy Węgry? Kogo bardziej nie lubią?

Lewicowo-liberalny establishment europejski nie przepada za premierem Orbánem i za mną, mówiąc delikatnie. Ale w konkretnych warunkach szczytu to wygląda już zupełnie inaczej. Można tu zacytować kanclerza Austrii Sebastiana Kurza, który komentując nasze negocjacje, mówił: twardy w negocjacjach, a przyjazny w relacjach. Trzeba nawiązywać kontakty, żeby przekonywać i przyciągać do siebie. Na koniec dnia Emmanuel Macron, Angela Merkel, Ursula von der Leyen oraz Charles Michel mówili: dogadajmy się w ramach tego, co jest, tych warunków brzegowych. I pomogli osiągnąć kompromis. Tak wyglądały te cztery dni. I cztery noce.

Na co Polska powinna wydać te pieniądze, oczywiście mając świadomość, że znaczna ich część jest automatycznie przeznaczana na konkretne cele? Będzie jakiś plan rozwoju, plan inwestycji na kolejną dekadę?

Kierunek może być tylko jeden: podniesienie Polski na zdecydowanie wyższy poziom życia i zaawansowania technologicznego. Taki, który sprawi, że naszych absolwentów wyższych uczelni będziemy mogli zatrudniać za lepsze pieniądze. I taki, który spowoduje, że – jak zakłada program prezydenta Dudy – wszyscy Polacy będą więcej zarabiali. A więc jak największą część tych środków trzeba przeznaczyć na cele modernizacyjne. Co to znaczy? Wciąż mamy wielką lukę infrastrukturalną: koleje, drogi, kolej metropolitalna, światłowody, CPK i wiele innych obszarów. To będzie bardzo ważny kierunek. Drugi kierunek to finansowanie nowoczesnej energetyki. Świat, kraje najlepiej rozwinięte, idą właśnie w tę stronę. My chcemy ocalić jak najwięcej miejsc pracy w energetyce, a jednocześnie podjąć wyzwanie w dziedzinie rewolucji energetycznej. Musimy w niej być, wykorzystując wielki potencjał inżynierski, projektowy, zgromadzony na Górnym Śląsku.

Węgiel jest w dłuższej perspektywie nie do obrony?

Będziemy tak długo bronili węgla, jak będzie to nakazywał polski interes. To mogę zagwarantować.

Za nami wybory prezydenckie, wygrane przez kandydata obozu rządzącego. Jak pan przyjął zwycięstwo Andrzeja Dudy? I dlaczego, mimo wszystko, mimo przeciwnej fali, jednak udało się wywalczyć tę reelekcję? Kto to wygrał?

To była wielka wspaniała wiktoria. Bezapelacyjnie wygrał przede wszystkim prezydent Andrzej Duda. To jego zasługa, jego wielka praca. Arzeczywiście na skutek pewnego zbiegu okoliczności i głębokiej polaryzacji naszego konkurenta politycznego niosła pewna fala. Trzeba było w krótkim czasie wyjaśnić Polakom wiele nieprawdziwych sformułowań, którymi nasz rywal się posługiwał. Bardzo się cieszę, że do 10,5 mln ludzi te nasze wyjaśnienia dotarły. Mimo że dysproporcja sił w sferze medialnej była ogromna. Tym większa satysfakcja, że te tysiące spotkań naszych posłów i działaczy,

którym chciałbym serdecznie podziękować za ten wielki wysiłek, przyniosło efekt. Udało się dotrzeć do każdego powiatu, do każdej gminy. Ta wielka liczba spotkań pokonała okrutną propagandę i zakłamanie, które lały się z mediów III RP. Zwycięstwa Andrzeja Dudy nie byłoby, gdyby nie wysiłek polityczny i zarządzanie partią przez Jarosława Kaczyńskiego. A więc: złożyło się na to wiele czynników. Hasłowo opisałbym

bardziej złożony. Potrafiliśmy trafić do młodych, wykształconych, aspiracyjnie nastawionych wyborców z niektórych ośrodków. To zwycięstwo to wynik „ściubienia”, cierpliwego zbierania głosów w bardzo różnych miejscach.

Także np. w Wielkopolsce.

Do tego zmierzam. To cały pas środkowej Polski, biegnący od Kaszub, poprzez Kujawy, wschodnią Wielko-

Ogromna część polskiego społeczeństwa jest z jednej strony obrażana przez prominentnych przedstawicieli elity, nazywana „tłuszczą” czy „chamami”, a z drugiej nie ma adekwatnej do swojej skali reprezentacji medialnej. I to nie jest w porządku

to tak: wygrać wbrew wszystkiemu i wszystkimi. To zwycięstwo będzie za kilka lat opisywane jako wielki tryumf.

To był bój, który finalnie rozegrał się na płaszczyźnie światopoglądowej, wokół tradycyjnych osi podziału między PO a PiS. Czy nie było tak, że wielki dorobek rządu w różnych dziedzinach finalnie nie wybrzmiewał, relatywnie mało ważył. Czy to nie jest powód do zmartwienia na przyszłość?

Jesteśmy obrońcami tradycyjnych wartości, polskiej kultury i zawsze będziemy ich bronić. Mówił o tym Andrzej Duda, ale podkreślał też ogromny pozytywny dorobek swojej prezydentury, który wziął się ze współpracy z obozem Zjednoczonej Prawicy: wzrost pensji, stawka godzinowa za pracę, polityka prorodzinna, bezpieczeństwo na ulicach i na granicach. W mojej ocenie prezydent Duda zdobył głosy w bardzo różnych miejscach i środowiskach. I nawet jeśli pewne grupy, np. młodzi ludzie, co mnie bardzo martwi, w większości nie zagłosowali na pana prezydenta, to jednak, jeśli zejdziesz niżej w tej analizie demograficznej i społecznej, to widać, że obraz jest

połskę, a nawet Opolszczyznę i część Dolnego Śląska. Tam zwykle przegrywaliśmy, a teraz nasza pozycja jest wyraźnie lepsza. Znakomity wynik potrafiliśmy wywalczyć np. w okręgu wałbrzyskim, skąd posłem jest Michał Dworczyk, szef mojej kancelarii. On podjął tam oddolną, organiczną pracę. To pokazuje, że potrafimy się bić jak równy z równym wydawałoby się na trudnym terenie. Taką pracę będziemy prowadzić w innych trudnych okręgach. Dlatego prezes PiS Jarosław Kaczyński chce przeprowadzić reformę partii.

Pana zdaniem działania rządu mają więc przełożenie na wyniki wyborcze?

Tak, one są dostrzegane. Starły się z sobą dwie potężne fale. Z jednej strony fala kreowana przez Rafała Trzaskowskiego, którą finalnie udało nam się podciąć, i z drugiej strony nasza narracja, której istotą było przekonywanie, że nasza polityka miała i ma sens, że warto ją kontynuować, bo bardziej sprawiedliwe dzielenie owoców rozwoju faktycznie przekłada się na godne życie na co dzień milionów polskich rodzin. Zapytam

retorycznie: czy byłaby możliwa wygrana prezydenta Andrzeja Dudy, gdybyśmy wspólnie z prezydentem nie opracowali tarczy finansowej i antykryzysowej i nie poradzili sobie z pierwszą falą epidemii COVID-19?

Czy 36-proc. wynik Andrzeja Dudy wśród młodzieży, a konkretnie w przedziale wiekowym 18–29 lat, to jest powód do żmartwienia? Trzeba pamiętać, że obóz rządzący nie mógł obiecać rewolucji, bo przecież bronił swojego dorobku, a nie atakował.

Tak czy owak, mnie to martwi. Na pewno zrobimy wszystko, żeby wsłuchać się w głos młodych ludzi. Bardzo lubię wyzwania. Cieszę się, że młodzi mają dużą wrażliwość na dobro, na sprawy środowiska, na sprawiedliwość społeczną. Entuzjazm młodych ludzi trzeba wykorzystywać do zmiany świata na lepsze. Trzeba przekonywać do naszej wizji tej zmiany. Jeden z sondaży pokazał niedawno, że o ile bardzo młodzi ludzie, do 24. roku życia, źle oceniają rząd, o tyle już ci nieco starsi, między 24. a 30. rokiem życia, oceniają nas zdecydowanie lepiej.

Bo ci starsi zetknęli się z realnym życiem, z tarczą, ulgami podatkowymi?

Może tak być, choć nie chciałbym rozstrzygać. Idealizm młodych jest również ich wielką siłą. Chciałbym, aby energia, która drzemie w młodych ludziach, była wykorzystywana do rozwoju Polski. A nasze programy zadziałały, w różny sposób, ale jednak zadziałały.

Czy ta niemal rekordowa frekwencja – ponad 68 proc. – to było święto demokracji, czy może święto polskiej zimnej wojny domowej?

To było święto demokracji. Zresztą, zauważmy – to za rządów Prawa i Sprawiedliwości najwięcej ludzi w historii chodzi na wybory! Tak było w przypadku wyborów samorządowych, europejskich, parlamentarnych i prezydenckich od 1995 r. – a w wartościach bezwzględnych te prawie 10,5 mln głosów, to więcej niż wtedy oddano na prezydenta Kwaśniewskiego. Ale dla opozycji i tak nie ma w Polsce demo-



kracji, bo Polską nie rządzi Platforma Obywatelska.

To było siódme z rzędu wyborcze zwycięstwo Zjednoczonej Prawicy. Można pić szampana? Znaleźliście magiczną formułę, złoty klucz, który gwarantuje kolejne zwycięstwa?

Nie. I najlepiej zdaje sobie z tego sprawę autor tych zwycięstw, czyli Jarosław Kaczyński. Czekają nas naprawdę ciężkie czasy. To będą ogromne wyzwania, o skali od dawna nieznanej. Kryzys gospodarczy, z którym zмага się świat, dopiero się rozpoczyna. Jednoczesne uderzenie w popyt, podaż i płynność ma charakter bezprecedensowy. Nie do końca w Polsce zdajemy sobie sprawę ze zmian, które nadchodzą w gospodarce światowej. Do tej pory radziliśmy sobie z zagrożeniami bardzo dobrze, być może tak dobrze, że trochę nas to uśpiło. A teraz również nie możemy zaspać. Koronawirus też się jeszcze nie skończył.

Może nadejść druga fala?

Tak, epidemiolodzy przestrzegają, że to bardzo prawdopodobne. Nie będzie łatwo.

Czy w związku z tym dopuszcza pan ponowne wprowadzenie tzw. lockdownu, czyli daleko idące zamrożenie życia społecznego?

Dziś jesteśmy mądrzejsi o doświadczenia z marca, kwietnia i maja. Jeśli będą potrzebne dodatkowe restrykcje, to możemy zastosować bardzo różne schematy. Wciąż intensywnie pracujemy w zespołach antykryzysowych, szukając scenariuszy jak najmniej bolesnych, przede wszystkim dla naszego zdrowia i społeczeństwa, ale również dla gospodarki. Np. bardzo chcemy, by dzieci i młodzież wróciły do szkół. Korzystając z okazji, jeszcze raz proszę dyrektorów szkół i samorządowców o odpowiednie przygotowanie pomieszczeń szkolnych. Jeśli nawet będą potrzebne dodatkowe obostrzenia, to mam głębokie przekonanie, że będą one miały łagodniejszy charakter i będą mniej dotkliwe z gospodarczego punktu widzenia. Takie scenariusze budujemy.

Właśnie, gospodarka. Polska ma się nieźle, ale ten kryzys też nas zaboli?

Widzimy, co dzieje się w innych krajach, np. w Hiszpanii, we Włoszech, Francji, w Wielkiej Brytanii, a nawet w Niemczech. To są nasi główni partnerzy handlowi. A 45 proc. naszego PKB to eksport. Przy jego załamaniu o 10 proc. – a to się już zdarzyło – czeka nas zacięta walka o rynki. Inne kraje będą robiły to samo. A to tylko jeden wymiar tej ciasnoty, z którą będziemy się mierzyli. Będziemy musieli zakaśać rękawy i wziąć się ostro do pracy. Czekają nas ogromne wyzwania w dziedzinie budżetu państwa, inwestycji publicznych, inwestycji prywatnych, a także tworzenia miejsc pracy i warunków do dobrego wzrostu gospodarczego.

Przed Zjednoczoną Prawicą – jak wszystko wskazuje – trzy lata bez większych wyborczych wyzwań. Jeśli reformować, to teraz.

Mamy tego pełną świadomość. Dlatego omawiamy zmiany w rządzie. Chodzi o zbudowanie takiej struktury, która będzie w stanie skutecznie odpowiedzieć na wszystkie wyzwania, która sprawnie będzie wdrażała reformy. Dziś widzimy wiele nieefektywności i w samorządach, i również w ramach naszych struktur, nie ma co ukrywać. Jeśli nie przeprowadzimy zmian, jeśli nie szarpniemy za cugle, nie ruszymy do przodu, o zwycięstwo w 2023 r. będzie bardzo trudno. Być może bez niezbędnych zmian nie będzie ono już możliwe. Dlatego nie ma dla obozu Zjednoczonej Prawicy wakacji, od kilku dni pracują zespoły robocze, które mają pokazać propozycje zmian, ale takich o dużej dynamice.

Które dziedziny potrzebują zmian?

Np. edukacja. Jak podnieść efektywność nauczania, ale również zarobki nauczycieli? Czy pensum nie wymaga zmian? Może powinniśmy się w tej kwestii zbliżyć do średniej OECD? Jak wyjść naprzeciw postulatowi rodziców, którzy pracują, a dzieci wychodzą ze szkoły o 12? Służba zdrowia. Czy każdy szpital powiatowy musi mieć porodówkę? Z tym się wiąże sprawa demografii. Dane są dramatyczne,

zmiany cywilizacyjne sprawiają, że najlepsze nawet programy społeczne działają połowicznie lub słabo. Skąd wziąć ludzi do pracy? Jak ich kształcić. Dotyczy to także sfery dużych projektów infrastrukturalnych, modernizacji gospodarki. Musimy być dużo sprawniejsi w obszarze projektów infrastrukturalnych, a jednocześnie wydajniejsi w administracji. Mamy wiele do zrobienia. Musimy dążyć do sytuacji, w której nowoczesne państwo dostarcza nowoczesne usługi publiczne. Aspiracje w tej sferze rosną, musimy na nie odpowiedzieć szybko i skutecznie. Jeden z moich towarzyszy broni w czasie Solidarności powiedział niedawno: „Cyfryzuj albo giń”. Marzy mi się Polska, w której obywatel załatwi wszystkie najważniejsze sprawy urzędowe, siedząc z kubkiem kawy przed komputerem.

Dlaczego po prostu nie przedłoży pan pakietu reform na rządzie i w Sejmie?

Potrzebę reform musi przyjąć cały obóz rządzący. Wszyscy. Nie można myśleć, że możemy świętować i czekać na kolejne sukcesy. Nie mamy żadnej gwarancji, że wygramy w 2023 r. W mojej ocenie bez istotnych zmian nie wygramy. W pewnym sensie dotychczasowy model działania się wyczerpał, i to na wielu polach. Musimy dużo sprawniej realizować wielkie projekty. Musimy jako państwo nabrać tych umiejętności, które decydują o sukcesie we współczesnym świecie. Jednocześnie chcę podkreślić jedną sprawę, która jest fundamentem obozu Zjednoczonej Prawicy: rodzina była, jest i będzie busolą naszej polityki, wolność w wychowywaniu dzieci, także sprawy światopoglądowe. Ale musimy budować też nowoczesne państwo i nowoczesną gospodarkę, które spełnią ambicje i aspiracje Polaków.

Czy w związku ze skutkami pandemii rząd przeprowadzi przegląd wydatków państwa? Jeśli tak, to w jakich obszarach?

Musimy oszczędniej gospodarować dostępnymi zasobami. W czasie pandemii wielu przedsiębiorców

z pewnym zdumieniem stwierdziło, że pomimo obecności jedynie części pracowników praca toczyła się na przyzwoitym poziomie. To pokazuje, że są rezerwy efektywności. Takie rezerwy są również w sferze publicznej. Chcemy wdrożyć ustawę o służbie cywilnej, która pozwoli nam dokonać jakościowego przeglądu kadr. Jednocześnie nie ma mowy o cięciach programów społecznych, prorodzinnych. Podczas poprzedniego kryzysu 12 lat temu rząd Tuska zdecydował, że jego koszty poniosą obywatele. Skończyło się bezrobociem, emigracją, wyciąganiem pieniędzy z kieszeni obywateli, eksplozją umów śmieciowych... Nasz rząd na pewno do tego nie dopuści. My chcemy przejść przez ten najgorszy od 100 lat kryzys bez takich cięć.

Zapowiedziano rekonstrukcję rządu, ale też zmianę jego struktury, ograniczenie liczby ministerstw. Jaki ma być cel takich zmian?

Chcemy przyspieszyć działanie, uprościć proces decyzyjny, po prostu zwiększyć skuteczność rządu. Kryje się za tym filozofia, którą Anglicy ujmują w zgrabne stwierdzenie, że less is more, czyli mniej to więcej. Jeśli mamy wiele ministerstw i agencji, to z jednej strony pojawia się szansa na specjalizację, ale z drugiej każdy się okopuje, dochodzi do przewlekania procedur, toczony są sztuczne dyskusje. Ale podkreślam, że ostateczny kształt rządu po zmianach nie jest jeszcze przesądzony.

Czy nie obawia się pan, że rekonstrukcja zagrozi jednemu obozowi rządzącego, doprowadzi do napięć, które wymkną się spod kontroli?

Napięcia mogą się pojawić, ale napięcia są codziennością polityki. Nie ma dnia bez napięć, czy to w ramach naszego obozu, czy to w relacjach z opozycją. Na pewno nie doprowadzi to jednak do jakiegoś groźnego naszarpięcia naszej jednności. Zjednoczona Prawica musi być nie tylko zjednoczona, lecz musi być też efektywna we wprowadzaniu dobrych rozwiązań służących gospodarce i ludziom.

Czy możliwe jest poszerzenie Zjednoczonej Prawicy o którąś z obecnych w Sejmie sił politycznych? Mówi się o PSL, a nawet o Konfederacji.

Utrzymanie jednności Zjednoczonej Prawicy jest dla nas bardzo ważne; to konstrukcja, która ma się bardzo dobrze i świetnie funkcjonuje. Jednocześnie trochę w duchu tego, co prezydent Duda nazwał „koalicją polskich spraw”, trzeba podkreślić, że Zjednoczona Prawica jest projektem otwartym. Zapraszamy wszystkich, którzy podzielają nasze wartości

Marzy mi się Polska, w której obywatel załatwi wszystkie najważniejsze sprawy urzędowe, siedząc z kubkiem kawy przed komputerem

i naszą determinację w reformowaniu kraju. Dla dobra Polski jestem gotów współpracować z każdym, kto jest tym zainteresowany i podobnie definiuje strategiczne interesy naszego kraju.

Niektórzy politycy prawicy mówią, że bez zmiany reguł gry nie będzie możliwe zwycięstwo w 2023 r. Mają na myśli m.in. kwestie medialne. Jaki jest pana stosunek do tej kwestii, budzącej dużo emocji?

Obóz Zjednoczonej Prawicy wygrał siódme wybory z rządu, a więc widać, że potrafi wygrywać w sytuacji, gdy ma przeciwko sobie ogromną większość frontu medialnego. To wynika z tego, że nasz obóz polityczny zdecydowanie wychodzi poza ramy III Rzeczypospolitej. Przez dwadzieścia parę lat umoszczono sobie pewien świat, a my powiedzieliśmy, że wiele spraw chcemy poprowadzić inaczej. Inna jest dystrybucja owoców wzrostu gospodarczego, dystrybucja prestiżu i szacunku społecznego. I zrobiliśmy to. Co więcej, zostało to

docenione, bo Andrzej Duda zdobył więcej głosów niż jakikolwiek inny polityk od 1990 r.

Skoro da się wygrywać w takich warunkach, nie ma co ryzykować zmian?

Nie, bo nierównowaga medialna woła o pomstę do nieba. Ogromna część polskiego społeczeństwa jest z jednej strony obrażana przez prominentnych przedstawicieli elity, nazywana „tuszczą” czy „chamami”, a z drugiej nie ma adekwatnej do swojej skali reprezentacji medialnej. I to nie jest w porządku. To jest dziedzictwo III RP. W sumie to sprawa, nad którą trzeba się poważnie zastanowić.

Zapowiedział pan skierowanie pewnych zapisów konwencji stambulskiej do Trybunału Konstytucyjnego. Dlaczego po prostu nie wypowiemy zapisów tej niebezpiecznej, bardzo ideologicznej umowy?

Rozumiem niepokoję przeciwników tego dokumentu, zawiera on w sobie różne ideologiczne wtęty. Obawy nie są bezpodstawne. Jednak nasz rząd robi wszystko, co możliwe, by chronić słabszych, by wzmacniać pozycję ofiar względem sprawców. Wprowadziliśmy np. rozwiązanie, które to sprawcę przemocy zmusza do opuszczenia mieszkania, wcześniej uciekać musiała osoba poszkodowana. Nasz dylemat dotyczy tego, czy opuścić całkowicie stół, przy którym toczy się ta dyskusja, czy też wybrać wyjście mniej radykalne. Sięgnęliśmy więc po rozwiązanie, które można umownie nazwać „protokołem polskim”, czyli nie stosujemy ideologicznych interpretacji zapisów konwencji, a jednocześnie odsyłamy ją do Trybunału Konstytucyjnego. Nie chcemy jednocześnie, żeby ktokolwiek czy to w Polsce, czy na świecie, pomyślał choćby przez chwilę, że polski rząd pozwoli na obniżenie standardów opieki nad pokrzywdzonymi. Nie chcemy się znaleźć w tej kategorii państw, do których należą państwa muzułmańskie, najbardziej niechętne tej konwencji, a jednocześnie stosujące prawo szariatatu.

Spór cywilizacyjny jednak narasta, czy tego chcemy, czy też nie. W zeszłym tygodniu doszło do zawieszenia tęczowych flag na kilku pomnikach, w tym na figurze Chrystusa przed kościołem św. Krzyża w Warszawie, czyli w miejscu niezwykle symbolicznym dla dziejów stolicy. Część prawicy mówi: podejmijmy to wyzwanie, walczmy. Jak jest pana stanowisko?

Na świecie i w Polsce toczy się spór cywilizacyjny. My jesteśmy formacją, która jednoznacznie szanuje polską kulturę, historię, nasze symbole. Uważamy też, że wolność człowieka kończy się tam, gdzie pojawia się naruszenie godności innej osoby. Dotyczy to także uczuć patriotycznych i religijnych. Takie zachowania są karygodne, absolutnie niedopuszczalne. W tym starciu dwóch różnych wizji rozwoju cywilizacyjnego my reprezentujemy ten obóz, który chce się opierać na tradycji, na szacunku do człowieka, a jednocześnie chcemy dokonać skoku modernizacyjnego w Polsce. Nasi oponenci proponują gospodarczy minimalizm oraz rewolucję obyczajową. Dziś bardzo zależy im na wstrząsach ideologicznych i światopoglądowych. My jednoznacznie będziemy bronili tego, co tworzy polskie dziedzictwo.

Jak pan ocenia to, że przegrany kandydat opozycji Rafał Trzaskowski chce powołać ruch społeczny o nazwie: Nowa Solidarność? Chodzi mi zarówno o sam pomysł, czy jest sensowny i wykonalny, jak i o nazwę odwołującą się do wielkiego polskiego zrywu, w który i pan był osobiście zaangażowany.

Solidarność nie jest jakimś firmowym znakiem, który można ot tak wziąć i zawiesić sobie na piersi. To narodowe dziedzictwo, które należy kontynuować. Obóz liberalny, który ma w swoim składzie wielu turboliberalów, takich jak panowie Balcerowicz, Lewandowski, Trzaskowski, Budka, to obóz, który nie realizował solidarnościowych wartości. To obóz, który składał hołd zupełnie innym re-

gulom gry, który zwalczał nasze programy solidarystyczne i wyprzedawał, a nie budował polski kapitał. Gdy dziś ci ludzie sięgają po symbole Solidarności, zdradzają swoje pogubienie i jednocześnie swoją wiarę, że każdy fałsz można sprzedać jako prawdę za pomocą socjotechniki i PR. Chyba każdy przyzna, że ta nazwa – Nowa Solidarność – wyjątkowo nie pasuje do formacji, która chce przywrócenia esbekom wysokich emerytur. Ludzie czują ten fałsz. Gdyby jednak nasi oponenci przeszli szczerą metamorfozę,

Nasi oponenci proponują gospodarczy minimalizm oraz rewolucję obyczajową. Dziś bardzo zależy im na wstrząsach ideologicznych i światopoglądowych. My jednoznacznie będziemy bronili tego, co tworzy polskie dziedzictwo

to zapraszamy ich do naszego obozu Solidarności. Prawo i Sprawiedliwość jest dziś obozem wolności i solidarności. Nikogo nie wykluczamy, jesteśmy otwarci.

Mamy teraz okres ważnych rocznic – 1 sierpnia, 15 sierpnia, 31 sierpnia, 1 września. I zawsze pytamy przy tej okazji, czy polski patriotyzm ma się dobrze, czy przekazujemy kolejnym pokoleniom to wielkie polskie dziedzictwo, za którym – rzecz jasna – idą również poważne obowiązki. Czy pana zdaniem robimy w tej sferze wystarczająco dużo?

Polska trzy razy w ciągu ostatnich stu lat zmieniła losy świata. Po raz pierwszy, gdy powstrzymała nawałę bolszewicką, po raz drugi, gdy w 1939 r. stanęliśmy do walki, mając przeciwko

sobie dwa totalitaryzmy, choć namawiano nas do sojuszu z jednym z nich. Wybraliśmy walkę o wolność, o niepodległość, płacąc za to wysoką cenę, ale jednocześnie sprawiliśmy, że wolny świat podjął także to wyzwanie. Wreszcie, po raz trzeci wpłynęliśmy na dzieje poprzez Solidarność. Te rocznice są dla Polaków bardzo ważne. A patriotyzm musi być pobudzany zwłaszcza wśród najmłodszych pokoleń i nasz rząd robi w tej sferze bardzo dużo. Musimy budować nowoczesny patriotyzm, który oparty jest na tradycji, na wartościach I i II Rzeczypospolitej, ale który ma też w sobie śmiałe spojrzenie, który ma w sobie zdolność do poszukiwania nowych rozwiązań. Bo cywilizacyjny wyścig narodów i państw nadal trwa, musimy gościć i musimy wyprzedzać innych, przyczyniając się jednocześnie do budowy lepszego świata.

Jak pan odnosi się do tej nieco rytualnej już dyskusji wokół Powstania Warszawskiego? Każdego roku pojawiają się bardzo ostre głosy, które deprecjonują ten wielki zryw.

Pochylam się z wielkim bólem nad każdą ofiarą Powstania Warszawskiego, ale jednocześnie po lekturze dziesiątków wspomnień powstańców i po dziesiątkach rozmów z powstańcami, które miałem zaszczyt toczyć w ciągu swojego życia, sądzę, że najlepiej oddać głos im właśnie. Tym, którzy walczyli. Nie mamy prawa oceniać decyzji tamtych pokoleń w oderwaniu od kontekstu, od sytuacji politycznej i historycznej, w której one się znalazły. Przytłaczająca większość tamtych świadków mówi jedno: widzieliśmy pakujących się Niemców i chcieliśmy mieć wolną Warszawę przed wejściem Sowietów. Abstrahowanie od tego kontekstu jest ahistoryczne. Wiele głosów krytycznych w tej sprawie idzie za daleko, często są prześmiewcze, krzywdzące. Apeluje, by tego nie czynić, choćby z szacunku dla naszych dziadków i pradiadków, którzy przelewali krew za wolność w sierpniu i wrześniu 1944 r.

Rekonstrukcja rekonstrukcji

Ostatecznym kształtem zmian w rządzie wszyscy mogą być zarwiedzeni, ale nawet niewielka ich skala może dać Zjednoczonej Prawicy szansę na trzecią kadencję



STANISŁAW JANECKI

Zapowiadane zmiany w rządzie nigdy nie są rekonstrukcją jednowymiarową. W przypadku spodziewanej i anonsowanej rekonstrukcji Rady Ministrów kierowanej przez Mateusza Morawieckiego tych poziomów jest kilka. Pierwszy to rekonstrukcja w wersji szefa rządu, czyli optymalna z jego punktu widzenia, z pozycji efektywności układu rządzącego oraz ze względu na jego osobistą pozycję w Prawie i Sprawiedliwości, a także w relacjach ze Zbigniewem Ziobrą i Jarosławem Gowinem. Drugi poziom to zmiany optymalne dla koalicjantów PiS, czyli Solidarnej Polski Ziobry i Po-

rozumienia Gowina. Trzeci poziom to ten uwzględniający interesy najsilniejszego członka Zjednoczonej Prawicy (ZP), czyli Prawa i Sprawiedliwości. Czwarty dotyczy interesów całej ZP, zapewniających jej trwanie i sprawne funkcjonowanie. Piąty poziom rekonstrukcji jest funkcją gier, jakie rządzący prowadzą we własnym obozie, ale też z opozycją i opinią publiczną (m.in. z mediami). Wreszcie szósty poziom rekonstrukcji jest wypadkową pięciu wcześniejszych z dodatkiem głosu arbitra, czyli Jarosława Kaczyńskiego, i z uwzględnieniem celów strategicznych zarówno Prawa i Sprawiedliwości, jak i Zjednoczonej Prawicy.

Media i politycy najczęściej poruszają się na piątym poziomie, gdzie jest najwięcej próbnych balonów, sondowania możliwości, prób lansowania bądź „palenia” konkretnych kandydatur, rozgrywania i podpuszczania rywali w obrębie ZP, przeróżnych politycznych crash testów, dezinformowania

opozycji, sprawdzania oczekiwań opinii publicznej, testowania kosztów rekonstrukcji w wersjach od kosmetycznej do radykalnej. Na piątym poziomie mamy najwięcej fantazjowania oraz dezinformacji, ale tylko on jest właściwie szerzej dostępny, dlatego tam się najczęściej dzieje, na nim pozostają w większości media oraz politycy spoza ścisłego grona decyzyjnego. Choć w gruncie rzeczy jest to poziom prawie wyłącznie szumu informacyjnego.

Na razie mamy rekonstrukcyjną licytację, w której wszystkie strony grają *à la banque*. Ale to tylko licytacja. A sama debata o rekonstrukcji pełni funkcję swego rodzaju psychodramy (terapii), mającej rozładować różne polityczne napięcia, przede wszystkim w obozie władzy.

WARIANT MAKSYMUM

Rekonstrukcja z punktu widzenia premiera Mateusza Morawieckiego



Fot. KPRM

ma przede wszystkim zwiększać jego władzę nad ministerstwami będącymi w dużym stopniu samodzielnymi księstwami. W części ta samodzielność wynika z tego, że ZP jest koalicją i cztery resorty są zarządzane przez Porozumienie oraz Solidarną Polskę (sprawiedliwości, rozwoju, nauki oraz środowiska). W części wynika to z układu sił w PiS, czyli z wpływów wiceprezesów: Mariusza Błaszczaka, Joachima Brudzińskiego, Mariusza Kamińskiego, Adama Lipińskiego, Antoniego Macierewicza i Beaty Szydło. Po części jest efektem tego, że ostatecznym arbitrem jest Jarosław Kaczyński i do tej instancji ministrowie się odwołują, także w razie sporów z premierem. Choć czasem nie są przyjmowani, gdy chcą się skarżyć. Jarosław Kaczyński uwzględnia też to, że niektórzy ministrowie cieszyli się zaufaniem i uznaniem prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Do tego dochodzą wpływy samego premiera, głównie w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, w resortach finansów, zdrowia, rodziny, pracy i polityki społecznej oraz funduszy i polityki regionalnej.

Z punktu widzenia premiera powinno być maksymalnie 15 ministerstw (optymalnie – 12), a jest ich obecnie 20. Stąd koncepcje fuzji: ministerstw Nauki i Edukacji albo Edukacji i Sportu, resortów klimatu i środowiska, ministerstw Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Cyfryzacji, resortów rozwoju oraz funduszy i polityki regionalnej, ministerstw Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej oraz Sportu. Rozważane są też połączenia resortów rozwoju i infrastruktury albo aktywów państwowych

i infrastruktury, albo infrastruktury oraz funduszy i polityki regionalnej, ewentualnie gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej, albo MSZ i części KPRM odpowiedzialnej za sprawy Unii Europejskiej. Połączenie ministerstw ma umożliwić elastyczną realizację największych przedsięwzięć strategicznych – głównie przez konsolidację finansową, co jest szczególnie ważne przy wychodzeniu z kryzysu związanego z pandemią.

Dla premiera byłoby optymalne, gdyby ministrowie nie mieli żadnej podwójnej czy potrójnej lojalności, ale to w praktyce nierealne. Nawet dla szefa rządu nie do ruszenia są Piotr Gliński, Mariusz Błaszczak, Mariusz Kamiński, Zbigniew Ziobro, Jadwiga Emilewicz czy Jacek Sasin. I Jarosław Gowin, jeśli zdecydowałby się wrócić do rządu, czyli najprawdopodobniej na stanowisko ministra nauki. Ale wtedy połączenie tego resortu z Ministerstwem Edukacji stawałoby pod znakiem zapytania, chyba że byłoby nagrodą dla Gowina za trwałą utratę stanowiska wicepremiera. O innych ministrów można się spierać. Dla Morawieckiego byłoby więc najlepiej, gdyby nie działały różne klucze personalne (np. ten dotyczący wiceprezesów PiS), ale to ma znaczenie i dla stabilności PiS, i dla równoważenia władzy oraz wpływów samego premiera. Naruszenie tego układu mogłoby być niebezpieczne dla całej formacji, dlatego jest mało realne.

Możliwa, bo realna, jest wymiana szefa MSZ Jacka Czaputowicza (w dodatku sam chce odejść), ministra finansów Tadeusza Kościńskiego, ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego, ministra rolnictwa Jana Krzysztofa Ardanowskiego, minister rodziny i pracy Marleny Małąg, minister polityki regionalnej Małgorzaty Jarosińskiej-Jedynak, minister sportu Danuty Dmowskiej-Andrzejuk, ministra klimatu Michała Kurtyki czy ministra cyfryzacji Marka Zagórskiego.

Jacka Czaputowicza mógłby zastąpić szef gabinetu prezydenta Andrzeja Dudy – prof. Krzysztof Szczerski, choć bardziej prawdopodobny jest ktoś tak dynamiczny jak wiceszef MSZ Szymon Szynkowski vel Sęk. A gdyby doszło do połączenia MSZ z obszarem do-

tyczącym Unii Europejskiej, nowym szefem po tej fuzji mógłby zostać Konrad Szymański. Przymierzającego się do stanowiska w Europejskim Banku Odbudowy i Rozwoju Tadeusza Kościńskiego na razie nie ma kto zastąpić, tym bardziej że chodzi o umiejętności zarządzania finansami, jakich wymaga Mateusz Morawiecki. W przypadku zmiany w Ministerstwie Zdrowia (wcale nie przesądzonej) toczy się dyskusja, czy lepszy byłby doświadczony parlamentarzysta w rodzaju Tomasza Latosa, czy ktoś z zewnątrz – jak dyrektor Wojskowego Instytutu Medycznego gen. prof. Grzegorz Gielerak. Gdyby nastąpiły fuzje resortów, w kilku przypadkach nie musiałoby nawet dochodzić do dymisji, tylko do zmiany funkcji.

SCENARIUSZ REALISTYCZNY

To, w jakim stopniu rekonstrukcja będzie uwzględniać autorską propozycję Mateusza Morawieckiego, zależy od tego, czy zostanie on wkrótce wiceprezesem PiS bądź ewentualnego namaszczenia go na następcę Jarosława Kaczyńskiego w partii, co jednak w najbliższej przyszłości (pełnej kadencji prezesa partii) wydaje się mało prawdopodobne. Ale to nie rozwiązuje problemu resortów kontrolowanych przez koalicjantów i planu ich redukcji z dwóch do jednego. Wtedy koalicjanci domagaliby się powiększenia i wzmocnienia tych swoich flagowych ministerstw.

Jarosław Kaczyński od lat utrzymuje balans między różnymi częściami PiS, a od 2015 r. ZP, i uznaje tę równowagę za wartość. Wzmocnienie premiera mogłoby tę równowagę naruszyć, choć zapewne uczyniłoby rząd efektywniejszym. Ale takie wzmocnienie może być trudne do przełknięcia przez część PiS, szczególnie tę zwaną zakonem PC. W ostatnich kilku miesiącach podczas posiedzeń Rady Politycznej partii właśnie ci politycy PiS otwarcie krytykowali różne posunięcia premiera, co wcześniej się nie zdarzało. Nie oznacza to jednak, że pozycja Morawieckiego w rządzie jest zagrożona, choć nie ma on w partii swojej frakcji.

Mimo ewidentnego wsparcia udzielonego przez Jarosława Kaczyńskiego

Mateuszowi Morawieckiemu nie będzie on mógł zrealizować rządowego wariantu maksimum. Polityka jest bowiem tylko grą realnych możliwości. A istnienie wariantu maksimum ma znaczenie, gdyż do końca drugiej kadencji może być swego rodzaju straszakiem, gdyby wewnątrz ZP dochodziło do napięć. Wariant maksimum zwykle uspokaja nastroje, jest ostrzeżeniem dla radykałów. Dowodzi tego choćby zastosowanie takiego rozwiązania przez Donalda Tuska pod koniec 2009 r. Wtedy Tusk za jednym posunięciem rozwiązał też problemy wewnętrzne PO. Choć w zasadzie nie miał wyjścia w obliczu afer hazardowej i stoczniowej, które jednak dzięki zmianom udało się zamieść pod dywan.

Z punktu widzenia liderów mniejszych partii tworzących ZP najlepsze byłoby status quo, bo na poszerzenie wpływów raczej nie mogą liczyć. A to oznacza ostry opór przed odebraniem im po jednym ministerstwie, który już się ujawnił, gdy wspomniał o tym wicemarszałek Sejmu i szef klubu PiS Ryszard Terlecki. Gdyby zachować status quo, wtedy redukcje musiałby dotknąć tylko resortów „przynależnych” PiS albo kontrolowanych przez premiera, co mniejszych koalicjantów faktycznie by wzmacniało.

Sama debata o cięciach wpływa na relacje w obrębie ZP, działa hamująco i tonująco na radykałów, uświadamiając uczestnikom, że koalicja rządząca stanowi wielką wartość, że nie wolno dopuścić do kryzysu podobnego do tego, jaki trawił obóz władzy w związku z majowym terminem wyborów prezydenckich. To jest ta wspomniana wcześniej funkcja terapeutyczna debaty o rekonstrukcji.

Trzeba też pamiętać, że Jarosław Kaczyński patrzy na PiS i ZP z perspektywy ponadtrzydziestoletniego doświadczenia politycznego. A z tego punktu widzenia najważniejsza jest stabilizacja (także w obrębie układu koalicyjnego), bo oznacza ona zdolność utrzymania władzy. Dla partii nie ma ważniejszego celu politycznego jak sprawowanie władzy. A doświadczenia

lat 90. czy koalicji PiS z Samoobroną i LPR w latach 2005–2007 dowodzą, że nie ma nic ważniejszego niż stabilny układ polityczny, w dodatku oparty na dużej zbieżności programowej. Trwanie większości rządzącej jest wartością, skoro bez tego niemożliwe jest realizowanie jakichkolwiek celów programowych. Zauważył to nawet ostry krytyk PiS prof. Marcin Król, który doradzał opozycji pójście drogą PiS, czyli stworzenia trwałej koalicji zdolnej do utrzymania władzy, bo tylko to się liczy

Na razie mamy do czynienia z rekonstrukcyjną licytacją, w której wszystkie strony grają *va banque*. Ale to tylko licytacja. A sama debata o rekonstrukcji rządu pełni funkcję swego rodzaju psychodramy (terapii), mającej rozładować różne polityczne napięcia, przede wszystkim w obozie władzy

w realnej polityce. Dlatego między bajki można włożyć spekulacje o wymianie jakiegoś członku ZP czy jej poszerzeniu, np. o PSL (z Kukiz'15 lub bez) czy Konfederację. Wtedy wpuszcza się po prostu konia trojańskiego. Kooptacja poszczególnych posłów czy polityków spoza ZP to jedyna realna opcja. Naruszenie układu rządzącego byłoby prostą drogą do utraty władzy.

UKRYTE CELE

Druga kadencja jest idealną okazją do zmian w rządzie, które są trudniejsze do przeprowadzenia w trakcie rządzenia, a szczególnie przed wyborami. Byleby nie przeprowadzić zmian za późno, jak było w wypadku drugiego rządu

Donalda Tuska, gdy rekonstrukcji dokonano dopiero w 2013 r. Rok później Tusk przestał być premierem (uciekł do Brukseli przed kryzysem), a dwa lata później PO straciła władzę.

Rekonstrukcja w drugiej kadencji służy konsolidacji i korekcie wpływów w obozie rządzącym, gdyż sprawowanie władzy przez kilka lat ujawnia rzeczywiste znaczenie poszczególnych polityków, szczególnie wśród mniejszych ugrupowań rządzącej koalicji. Jarosław Kaczyński uważa, że Porozumienie i Solidarna

Polska stały się w drugiej kadencji zbyt autonomiczne w koalicji jak na swoją realną siłę, co bywa źródłem kryzysów. Skutkiem autonomii jest też większa liczba ministerstw oraz stanowisk wiceministrów, co czyni rząd trudno sterowalnym. Koalicjanci są też jednak dobrym narzędziem do kontrolowania ośrodka władzy skupionej w KPRM, bo on zawsze dąży do daleko idącej samodzielności, więc ewentualne osłabienie tych koalicjantów nie powinno być zbyt duże.

Podczas rekonstrukcji łatwiejsze są transfery wewnątrz rządzącego układu, w tym wypadku ZP. Mówi się np. o ewentualnym przejściu wicepremier Jadwigi Emilewicz z Porozumienia do PiS, choć skutek wewnętrznej konsolidacji partii Jarosława Gowina po okółowyborczym kryzysie raczej się to nie wydarzy. Tym bardziej że Jadwiga Emilewicz czy Kamil

Bortniczuk znacząco równoważą takie „kłopotliwe” dla PiS osoby w Porozumieniu jak Andrzej Sośnierz czy Wojciech Maksymowicz.

Najważniejszy w rekonstrukcji jest wspomniany na początku jej szósty poziom, gdzie do politycznych gier i układów w obrębie ZP (wewnątrz jej części) oraz między rządem a jego politycznym zapleczem dochodzą cele strategiczne. A najważniejsze są dwa: utrzymanie władzy oraz rozwój Polski. Dlatego ostatecznym kształtem rekonstrukcji wszyscy mogą być zadowoleni, choć nawet okrojona może pośrednio wpłynąć na realizację znacznej części tego, co zakłada wariant maksimum, czyli utrzymanie władzy przez trzecią kadencję.

Ta konwencja to manifest ideologiczny

Twierdzenie, że wypowiedzenie konwencji stambulskiej mogłoby osłabić ochronę ofiar przemocy domowej, jest bezpodstawne, ponieważ polskie prawo w wielu obszarach przewiduje wyższy standard ochrony od tego przyjętego w konwencji

Z dr. *Marcinem Romanowskim*, wiceministrem sprawiedliwości, rozmawia Aleksandra Jakubowska

Dlaczego rząd chce zalegalizować przemoc domową? Tak twierdzą feministki, opozycja i sprzyjające jej media.

Marcin Romanowski: Wprowadziliśmy obowiązek natychmiastowej izolacji sprawcy przemocy domowej z mieszkania zajmowanego

wspólnie z ofiarą. Dzięki nam to w końcu oprawca będzie się martwić o dach nad głową.

A nie jak to było przez lata rządów lewicy czy liberalów, kiedy to pokrzywdzona kobieta, często z dziećmi, musiała uciekać z domu lub pozostawać ze sprawcą przemocy pod jednym dachem. W tym kontekście zarzut „legalizowania przemocy domowej” jest ohydą manipulacją. Ohydą, bo osoby, które się nim posługują, próbują wykorzystywać cierpienie krzywdzonych kobiet do budowania swojego kapitału politycznego. To niegodne i niemoralne.

To zarzut w związku z chęcią wypowiedzenia Konwencji o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej, zwanej potocznie stambulską. Środowiska, o których wspominałam, twierdzą, że to jest



JAKUBOWSKIEJ

odstąpienie od ochrony kobiet, walki z przemocą w rodzinie. Konwencja zobowiązuje państwo do działania przeciw obowiązującym stereotypom, a w Polsce obowiązuje ich zdaniem stereotyp, że kobieta jest członkiem rodziny drugiej kategorii.

W polskim systemie prawnym obowiązują naprawdę bardzo wysokie standardy, jeśli chodzi o ściganie sprawców przemocy domowej. Gdy w 2014 r. i 2015 r. toczyła się dyskusja dotycząca ratyfikacji konwencji, słusznie podnoszono, że instrumenty przewidziane w polskim prawie w zupełności wystarczą do realizacji zapisanych w niej postanowień. Od tego czasu uchwaliliśmy wspomnianą ustawę antyprzemocową, zaostrzyliśmy kary za gwałt ze szczególnym okrucieństwem, a przestępstwo zgwałcenia zaczęto ścigać z urzędu. Twierdzenie, że wypowiedzenie konwencji stambulskiej mogłoby osłabić ochronę ofiar przemocy domowej, jest bezpodstawne, ponieważ polskie prawo w wielu obszarach przewiduje wyższy standard ochrony od tego przyjętego w konwencji. Należy podkreślić, że ten dokument nie tworzy wprost żadnych praw czy uprawnień dla osób pokrzywdzonych.

Konwencja została ratyfikowana przez Polskę w 2015 r. Zjednoczona Prawica u władzy jest już piąty rok. Dlaczego właśnie teraz uznano, że jest to odpowiedni moment, aby skierować wniosek o rozpoczęcie procedury zmierzającej do jej wypowiedzenia?

W naszej części Europy w ostatnich miesiącach dużo się w tej sprawie wydarzyło. Parlament węgierski przyjął rezolucję, aby nie ratyfikować konwencji, bułgarski Trybunał Konstytucyjny uznał ją za sprzeczną z konstytucją, jej ratyfikację odrzuciła również Słowacja. Państwa trzecie, które pracowały nad konwencją, tj. USA, Kanada, Japonia, Meksyk czy Stolica Apostolska, nawet jej nie podpisały. A zatem część krajów Rady Europy jeszcze jej nie ratyfikowała, a niektóre już zapowiedziały, że nie zamierzają tego robić. To pokazuje, że nie jesteśmy sami i że PO popełniła duży błąd, wprowadzając do naszego systemu prawnego ten niebezpieczny ideologicznie dokument.



Konwencja nie jest nam potrzebna, żeby skutecznie działać przeciw przemocy wobec kobiet?

Odpowiadając na to pytanie, chciałbym się raz jeszcze odwołać do przyjętej przez nas tzw. ustawy antyprzemocowej, w której wprowadziliśmy natychmiastowy nakaz policyjny. Tym działaniem osiągnęliśmy bardzo ważny etap w ochronie ofiar przemocy domowej i zwalczaniu tego typu przestępczości. To najwyższy standard ochrony i nie ma wielu krajów, które by tak stanowczo reagowały. Ponadto ze środków Funduszu Sprawiedliwości uruchomiliśmy rozbudowaną sieć pomocy w całym kraju. Praktycznie w każdym powiecie działa teraz ośrodek pomocy pokrzywdzonym. Działa całodobowa infolinia dla pokrzywdzonych, oferująca pomoc prawną i psychologiczną. Co więcej, w ponad 1,5 tys. punktach w Polsce działa darmowa pomoc prawna, która dzięki inicjatywie ustawodawczej prezydenta Andrzeja Dudy należy się teraz każdemu, kogo nie stać na pomoc odpłatną i obejmuje także ofiary przemocy domowej. Jeżeli patrzemy obiektywnie na nasz system prawny, to naprawdę trudno nam zarzucić, że nie chronimy dostatecznie praw kobiet.

Co jest niebezpiecznego w tej konwencji? Dlaczego mogła sobie pięć lat leżeć i niczym nie zagrażać, a nagle uznano, że są tam zapisy, które mogą być niebezpieczne dla Polski?

Niebezpieczna w tej konwencji jest jej warstwa ideologiczna, w tym w zakresie diagnozy problemu. Konwencja identyfikuje jako główną przyczynę przemocy tradycyjne role płciowe, męskie i żeńskie, a zatem tradycyjną rodzinę. W związku z tym diagnozuje, że aby pozbyć się problemu, żeby wykorzenić przemoc domową, to trzeba te różnice zniwelować. W tym celu wykorzystywana jest ideologia gender, będąca de facto ideologią środowisk homoseksualnych. Ideologia ta dzięki konwencji stambulskiej wkracza w kolejne obszary życia społecznego, o czym świadczy art. 14 konwencji, który zobowiązuje państwa do podejmowania w edukacji szkolnej i poza-

szkolnej takich działań oraz przekazywania takich treści, które dotyczą niestereotypowych ról społeczno-kulturowych, a także ich promowania w nauczaniu, działalności kulturalnej, sportowej, rekreacyjnej czy w mediach. Co więcej, zgodnie z raportem wyjaśniającym dołączonym do konwencji ma to być systemowe, ogólnie narzucone, niezależnie od tego, czy rodzice, dzieci, wreszcie sama instytucja się na to zgadzają. To uderzenie w wolność sumienia i podważanie podstawowych zasad naszej kultury.

Konwencja mówi o przełamaniu stereotypów związanych z płcią, dowodzi, że do przemocy dochodzi dlatego, że kobieta jest kobietą, zaleca przełamanie stereotypów związanych z tradycją, ale jest to rozumiane w ten sposób, że polska tradycja to załatwianie problemu przemocy domowej w czterech ścianach i że jest to powszechnie akceptowane.

To jest marksistowska, XIX-wieczna teza o tym, że rodzina jest źródłem opresji. Odrzuciliśmy marksizm, odrzucamy także neomarksizm: czerwoną i tęczową zarazę. W preambule konwencji czytamy, że przemoc wobec kobiet jest przejawem nierównych stosunków władzy pomiędzy kobietami a mężczyznami na przestrzeni wieków, co doprowadziło do dominacji mężczyzn nad kobietami i ich dyskryminacji. Kiedyś mieliśmy walkę klas, teraz mamy walkę płci i jeszcze dodatkowo rozumianą jako „płeć” kulturowa, czyli nie jako coś biologicznego, tylko pewien wytwór kultury.

Kiedy Polska podpisywała i ratyfikowała tę konwencję, nie było żadnych wątpliwości natury konstytucyjnej?

Tego typu wątpliwości były podnoszone przez wielu ekspertów. Wskazywano wówczas przede wszystkim na jej sprzeczność z zasadą neutralności światopoglądowej państwa, bo konwencja narzuca jakąś ideologię i światopogląd, nakazuje ich wprowadzenie do polityki społecznej, edukacji i wychowania w sposób wręcz przymusowy. Konwencja pozostaje przez to w sprzeczności z prawem rodziców do wychowania dzieci zgodnie z ich przekonaniami.



Fot. Andrzej Świączkowski

W konstytucji jest wiele gwarancji, które chronią role społeczne kobiet i mężczyzn, które chronią macierzyństwo. Czy konstytucja przestaje obowiązywać w tym zakresie, skoro ratyfikując konwencję, zobowiązaliśmy się do wykorzenienia tych wzorców zachowań mężczyzn i kobiet? Czy ważniejsza jest polska konstytucja, czy jakaś umowa międzynarodowa, która z prawnego punktu widzenia jest po prostu zbędna? Takich pytań rodzi się wiele, a rozmowy na ten temat nie ułatwia też to, że konwencja jest napisana bardzo złym, nieprecyzyjnym językiem i w wielu miejscach jest niejasna terminologicznie. Zastosowanie terminów płeć biologiczna i „płeć” kulturowa stwarza niejasność, kto tak właściwie jest podmiotem ochrony tej konwencji.

Obrońcy konwencji twierdzą, że w Polsce skala przemocy wobec kobiet jest ukryta, a statystyki nie oddają całości problemu. Coż z tego, że w Finlandii jest trzy razy więcej bitych kobiet niż w Polsce, a w Wielkiej Brytanii 30 razy więcej gwałtów? U nas jest inna kultura, kobiety boją się zgłaszać przemoc, a jak to zrobić, to nie uzyskują odpowiedniej pomocy.

Dane, które dowodzą, że w Polsce przypadki przemocy wobec kobiet są znacznie rzadsze niż w innych krajach UE, a jeśli już wystąpią, to Polki zgłaszają je częściej niż kobiety w innych krajach, są wynikiem anonimowych ankiet, a nie sprawozdań policyjnych. Zostały one przeprowadzone przez Agencję Praw Podstawowych Unii Europejskiej. Trudno znaleźć bardziej nieprzyjazną konserwatywnej Polsce i tradycyjnemu wzorcowi rodziny instytucję niż ta agencja. I to właśnie ona umiejscowiła nas w czołówce państw, w których ten problem jest najmniej. Nie oznacza to, że problem przemocy wobec kobiet bagatelizuję, bo jest on bardzo ważny i poświęcamy mu szczególnie dużo uwagi.

Gdyby miał pan przytoczyć jeden zapis konwencji stambulskiej, który zagraża tradycyjnej, silnej, polskiej rodzinie, to który by pan przywołał? Przeciwnicy jej wypowiedzenia twierdzą, że takich przepisów nie ma.

To przepis, który mówi, że strony podejmą konieczne środki, aby promować zmianę społecznych i kulturowych wzorców zachowań kobiet i mężczyzn w celu wykorzenienia uprzedzeń, zwyczajów, tradycji oraz innych praktyk opartych na idei niższości kobiet lub na stereotypowych rolach kobiet i mężczyzn.

Ale jeżeli tradycja jest oparta na idei niższości kobiet w rodzinie, w związku małżeńskim, to chyba słuszne jest zalecenie, by z tym walczyć?

Oczywiście, że tak, jednak na gruncie konwencji nie zostało zdefiniowane, o jaką tradycję chodzi. Mamy prawo się obawiać, widząc, jak ta konwencja jest interpretowana, że podejmowane

w tym zakresie działania zmierzają w kierunku sprzecznym z naszą tradycją, w stronę ideologii gender, ideologii lobby homoseksualnego. Nie mamy co do tego żadnych wątpliwości.

Jako główne źródło przemocy konwencja określa niższą rolę kobiety w rodzinie i kwestię jej płci. Natomiast w polskich badaniach występują inne przyczyny tej przemocy – np. alkohol, seksualizacja wizerunku kobiety w mediach. Nasza tradycja jest oparta na wartościach chrześcijańskich. Dla nas podstawą jest godność człowieka. I to jest realna ochrona kulturowa przed przemocą, abstrahując od sytuacji, w których rodzina czy więzi społeczne są niszczone przez alkohol, narkotyki czy hazard, który jest przyczyną przemocy ekonomicznej. Uważamy, że trzeba się skupić na zwalczaniu przyczyn przemocy, na promowaniu zdrowych relacji rodzinnych opartych na wzajemnym szacunku. Naprawdę nie potrzebujemy do tego pojęcia gender ani indoktrynacji w tym obszarze.

Konwencja identyfikuje jako główną przyczynę przemocy tradycyjne role płciowe, męskie i żeńskie, a zatem tradycyjną rodzinę

Już sama zapowiedź przedstawicieli polskiego rządu, że jest rozważana możliwość wycofania się z konwencji stambulskiej, wywołała reakcję instytucji europejskich. Sekretarz Rady Europy oświadczyła, że to kluczowe narzędzie zwalczania przemocy wobec kobiet. Rzecznik KE stwierdził, że jest to wielki krok wstecz i celem Unii będzie wprowadzenie tej konwencji we wszystkich krajach członkowskich. Mamy teraz dość delikatną sytuację, związaną z budżetem

UE, Funduszem Odbudowy i próbami powiązania ich z praworządnością, żeby dyscyplinować nieposłuszne państwa. Czy to dobry moment na otwieranie kolejnego frontu walki? Pojawią się pewnie jeszcze większe oskarżenia, że Polska nie jest państwem praworządnym.

Państwa członkowskie UE mają swobodę w kwestii ratyfikowania umów międzynarodowych. Nie możemy pozwolić, aby zewnętrzne instytucje ingerowały w tak fundamentalne dla nas kwestie. Ratyfikowanie konwencji stambulskiej to błąd PO, który trzeba naprawić. Ta konwencja to manifest ideologiczny, który jest spreczny z polską konstytucją.

Konwencja nakłada obowiązki finansowania przez państwo organizacji pozarządowych zajmujących się przeciwdziałaniem przemocy wobec kobiet. Może ten protest przeciwko wycofaniu konwencji wynika także z obawy o zaprzestanie ich finansowania?

Te organizacje, które rzeczywiście pomagają kobietom, absolutnie nie mają się czego obawiać, wręcz przeciwnie, w naszej ocenie to wsparcie powinno się jeszcze zwiększyć. Obawy mogą się pojawić tylko po stronie tych organizacji, które wykorzystują te pieniądze do prowadzenia swojej walki ideologicznej i o to również toczy się ta gra.

Nadciąga druga fala?

Minął pierwszy miesiąc wakacji, a wraz z nim w Polsce i w całej Europie niepokojąco wzrosła liczba zakażeń koronawirusem. A że przed nami jesień, to będzie ich coraz więcej. I lepiej wierzyć tu epidemiologom, bo ich pesymistyczne prognozy, jak dotąd, niestety się sprawdzają



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Jeszcze kilka tygodni temu sceptycy przekonywali nas, że koronawirus to coś w rodzaju grypy, tyle że słabszej. I że robienie wokół niego paniki świadczy o utracie zdrowego rozsądku. Okazuje się jednak, że nie mieli racji. Wystarczy porównać liczby. Sezonowa grypa zabija co roku na świecie 300–650 tys. osób, tymczasem liczba ofiar śmiertelnych koronawirusa – zaledwie po połowie roku – przekroczyła już 670 tys. Jeśli więc tempo śmiertelności utrzyma się na dotychczasowym poziomie, to w ciągu roku możemy spodziewać się ponad miliona ofiar.

Przy czym to dość „optymistyczny” scenariusz, bo czeka nas na półkuli północnej jesień i zima, czyli okres, gdy według opinii wirusologów liczba zakażeń, a zatem i śmiertelności, może znacząco wzrosnąć. Oczywiście mówimy tu o udokumentowanych przypadkach zgonów wywołanych koronawirusem, bo o wielu nie wiemy. I nie chodzi tu tylko o kraje o słabo rozwiniętej infrastrukturze medycznej (np. Afrykę) lub te, co do których istnieją podejrzenia, że świadomie zaniżają statystyki. Przykładem może być choćby Hiszpania, w której od początku pandemii odnotowano 28,5 tys. ofiar śmiertelnych koronawirusa, podczas gdy szacunki tamtejszego urzędu statystycznego oraz Instytutu Zdrowia Karola III mówią o liczbie ponad 45 tys. zgonów. Jak wyjaśnił premier Hiszpanii Pedro Sánchez, jego rząd zgodnie z zaleceniami Światowej Organizacji Zdrowia uznaje za zmarłych wskutek pandemii jedynie tych, u których przed

zgonem test potwierdził obecność koronawirusa. „Czy takie statystyki dają stuprocentową pewność co do liczby zgonów? Oczywiście, że nie” – potwierdził Sánchez i dodał, że po zakończeniu pandemii będzie trzeba jeszcze raz, na spokojnie, policzyć ofiary.

Gdyby więc uznać przykład hiszpański za miarodajny dla świata, to trzeba byłoby przyjąć, że już teraz liczba zgonów wywołanych koronawirusem przekroczyła prawdopodobnie milion osób. Żadna sezonowa grypa (pomijając pojawiające się co jakiś czas wielkie pandemie w rodzaju hiszpanki) nie ma w tak krótkim czasie takiego „urobku”.

RYZIKOWNE WAKACJE

Fakty są bardzo niepokojące. Pandemia nie tylko nie gaśnie, lecz z każdym tygodniem przyspiesza. Pod koniec lipca łączna liczba przypadków zachorowań na chorobę koronawirusową wyniosła na



świecie ponad 17 mln, co oznacza przyrost o milion chorych w ciągu zaledwie czterech dni.

Możemy się oczywiście pocieszać, że większość tych zachorowań przypada na odległą od nas Amerykę (Stany Zjednoczone – 4,5 mln, Brazylia – 2,5 mln, choć nieoficjalne statystyki mówią nawet o 10 mln przypadków), ale to tylko cisza przed możliwą kolejną burzą. W Europie, gdzie udało się powstrzymać wiosenną falę, znowu widać szybki przyrost zachorowań.

Epidemiolodzy mieli rację, przestrzegając, że ciepła pogoda i wakacyjne wyjazdy osłabiają naszą czujność. Do dużych wzrostów liczby zachorowań doszło w tradycyjnie urlopowych krajach południowej Europy, przede wszystkim na Bałkanach i w Hiszpanii, gdzie turyści z całej Europy wymieszali się ze sobą, przekazując sobie i miejscowym wirusa. Niektóre kraje, np. Wielka Brytania i Norwegia, przywróciły już obowiązek kwarantanny dla osób powracających z Hiszpanii, podobnie w przypadku Bułgarii zrobiły Włochy, szczególnie dotknięte wiosenną falą koronawirusa. Niemcy zdecydowanie odradziły swoim obywatelom wyjazdy zagraniczne i rozważają właśnie wprowadzenie obowiązkowych testów dla każdego, kto wraca z urlopu za granicą, aby powstrzymać w ten sposób „import” koronawirusa. Otwarcie granic wraz z ładną pogodą zwiększyło znacząco mobilność Europejczyków, którym się wydaje, że najgorsze już za nimi. Tymczasem wcale tak nie jest.

Podczas wakacyjnych wyjazdów ludzie zapominają o niebezpieczeństwie. Piękna pogoda rozbraja, nikt w takich warunkach nie spodziewa się zagrożenia. W restauracjach, na deptakach, w hotelach trudno zachować dystans od innych i mało kto o nim myśli. Największą wylegarnią koronawirusa – zwłaszcza w Katalonii – okazały się kluby nocne, gdzie w dusznych, zatłoczonych pomieszczeniach zaraza ma doskonałe warunki do działania. Dotyczy to zresztą nie tylko śródziemnomorskich kurortów. W belgijskiej Antwerpii, gdzie również doszło do gwałtownego wzrostu zakażeń, wprowadzono nawet go-

dzinę policyjną, aby ograniczyć nocną aktywność mieszkańców, zwłaszcza młodzieży. Media donoszą też o sporym ognisku koronawirusa w Górnej Austrii. W popularnym kurorcie St. Wolfgang zanotowano w krótkim czasie 53 przypadki zachorowań, głównie wśród młodych stażystów pracujących w hotelach, którzy spędzali wspólnie wolny czas w barach.

Zwraca się też uwagę, choć z przyczyn politycznych bardzo nieśmiało, że koronawirus mocno dotyka środowiska imigranckie nieprzestrzegające sanitarnych zaleceń władz.

WIRUS WCIĄŻ ŻYWOTNY

W rezultacie znowu mamy przyrosty zachorowań w Europie. W Niemczech, gdzie na początku wakacji udało się zbić liczbę nowych przypadków zachorowań

**Faktyczna liczba zgonów
wywołanych koronawirusem
mogła przekroczyć
od początku pandemii
milion osób na świecie**

do poziomu 300, teraz notuje się niemal trzy razy tyle, w Hiszpanii liczba ta wzrosła w tym samym czasie z ok. 300 aż do 2 tys. na dobę, w Chorwacji z kilkunastu do stu. We wspomnianej Belgii z ok. 100 przypadków do ok. 500, podobnie jest w Serbii, a już zupełnie dramatyczne wzrosty notuje się w Rumunii, która mając miesiąc temu podobne wskaźniki do Polski, notuje dziś – dzień w dzień – ponad tysiąc nowych zachorowań. Duże przyrosty pojawiły się również w Czechach (29 lipca aż 434 nowe przypadki) i w Austrii.

Epidemiolodzy zwracają tu uwagę na ponowny wzrost wskaźnika reprodukcji wirusa w Europie. Wskaźnik ten, oznaczany literą R, określa średnią liczbę osób, którym jeden zarażony przekazuje wirusa. Jeśli wskaźnik wynosi 1, to mamy

do czynienia z sytuacją, w której jeden chory zaraża średnio jedną osobę. Jeśli więc wartość R jest wyższa od 1, to epidemia się rozwija, a gdy wartość R spada poniżej 1, to zaczyna hamować.

Przykładowo w Niemczech wskaźnik R, który jeszcze w pierwszych trzech tygodniach lipca był niższy od 1, w ostatnim tygodniu miesiąca ponownie przekroczył tę wartość i jeśli ten wynik się utrzyma, to będzie można mówić o początku kolejnej fali koronawirusa w tym kraju.

A zatem, czy na europejskim horyzoncie znów widać ciemne chmury? Epidemiolodzy spierają się co do tego. Niektórzy mówią o widocznej już drugiej fali, inni twierdzą, że można byłoby o niej mówić dopiero wtedy, gdyby pierwsza wygasła, a ta – jak dotąd – nadal trwa, zatem trafniej jest powiedzieć, że wkraczamy w kolejną fazę pandemii. Spór ten jednak dotyczy głównie definicji drugiej fali, bo nikt raczej nie ma wątpliwości, że zachorowań znów przybywa. A że przed nami jesień, to będzie ich coraz więcej. I lepiej wierzyć tu epidemiologom, bo ich pesymistyczne prognozy, jak dotąd, niestety się sprawdzają.

SKUTKI NIEFRASOBLIWOŚCI

Polska nie jest na mapie Europy żadnym wyjątkiem. Po okresie zbiccia liczby nowych zachorowań w drugiej połowie czerwca do poziomu 300 na dobę, znowu widać wyraźną tendencję wzrostową. 30 lipca zanotowano u nas 615 nowych przypadków choroby koronawirusowej, był to rekordowy wynik od początku pandemii. Wraz z tym rośnie oczywiście liczba chorych – choć na początku lipca udało się ją zmniejszyć do 8 tys., to pod koniec miesiąca przekroczyła już 9,5 tys. osób i nadal pięła się w górę.

Minister zdrowia Łukasz Szumowski uspokaja wprawdzie, że w Polsce mamy niewielką transmisję poziomą (np. zarażenia na ulicy) i skoki zachorowań wynikają z odkrywania lokalnych ognisk koronawirusa, zwykle zakładów pracy, gdzie jeden nosiciel zdołał zarażić inne osoby przebywające z nim we wspólnych pomieszczeniach. Przeprowadzane potem badania przesiewowe

pozwalają wykryć wszystkich – w tym również bezobjawowych – zarażonych, co podbija statystyki dobowe.

Mimo tych zapewnień liczba nowych przypadków podawana w codziennych komunikatach Ministerstwa Zdrowia zaczyna mocno niepokoić. Bo coraz rzadziej mamy do czynienia z jednorazowymi skokami, a liczba dobowych zachorowań wzrosła ostatnio do poziomu 500. Oznacza to, że ognisk koronawirusa jest więcej. I – jak wynika z doniesień medialnych – nie są to już tylko zakłady pracy (przede wszystkim śląskie kopalnie) oraz domy pomocy społecznej, ale zupełnie nowe źródła zakażeń: huczne imprezy towarzyskie, gdzie nie przestrzegano limitu zaproszonych osób, punkty usługowe, sklepy oraz kościoły, gdzie coraz mniej osób zakłada maseczki ochronne.

Co gorsza, po wykryciu takiego ogniska nie zawsze udaje się zlokalizować wszystkich zarażonych. Bo o ile w przypadku kopalni czy innego zakładu można przebadać jego pracowników, o tyle trudniej jest już dotrzeć do przypadkowych klientów sklepu. Kuriozalne stały się poszukiwania uczestników imprezy na katamaranie pływającym po Zatoce Gdańskiej. Choć doszło do niej 12 lipca, dotychczas udało się zlokalizować zaledwie 25 zakażonych na 240 obecnych na pokładzie. Oznacza to, że pozostali – mniej lub bardziej świadomie – mogą nadal zarażać innych. Z prawdziwą plagą zachorowań mamy też ostatnio do czynienia na weselach, przy czym tu łatwiej jest przynajmniej ustalić listę gości. Zanim się jednak do nich dotrze, rozjadą się po całym kraju i zainfekują innych. Ciągle też nie wiemy, jaki wpływ na skalę zachorowań będą mieli turyści, którzy przywloką wirusa z wakacji, zwłaszcza tych zagranicznych.

W tej sytuacji już dziś należy się zastanowić, czy wobec powszechnego lekceważenia ryzyka możliwe jest otwarcie szkół we wrześniu. Bo jeżeli nic się nie zmieni, a na razie niewiele na to wskazuje, możemy mieć do czynienia z prawdziwym wysypem zachorowań w szkołach i gwałtowną falą nowych przypadków.

Niezależnie bowiem od źródeł infekcji, nie ma chyba wątpliwości, że ros-

nąca plaga zarażeń w Polsce jest przede wszystkim skutkiem niefrasobliwości i całkowitego braku wyobraźni. Rzekoma dyscyplina, jaką Polacy wykazywali się na początku pandemii, skrzętnie unikając tłumów i karnie zakładając maseczki, była jedynie krótkotrwałym objawem strachu. Gdy strach minął, wszystkie zakazy zaczęto dość powszechnie ignorować.

Wskaźnik R utrzymuje się dziś w większości Polski na poziomie wyższym od 1 i – według danych z 23 lipca – wynosi 1,05. To wprawdzie spadek wobec czerwca (wtedy wskaźnik wynosił 1,11), ale jednocześnie wzrost w stosunku do maja, gdy większość jeszcze obawiała się zarażenia koronawirusem i R wynosiło 0,99.

Na razie trudno więc przesądzać o czymkolwiek, choć jedno jest pewne

Rzekoma dyscyplina, jaką Polacy wykazywali się na początku pandemii, była jedynie krótkotrwałym objawem strachu. Gdy strach minął, zakazy zaczęto dość powszechnie ignorować

– że pandemia w Polsce nie wygasa. Dokładniejsze dane poznamy za miesiąc, ale jeśli nadal będziemy odnotowywać podobne wzrosty, to z pewnością nie należy się spodziewać niczego dobrego.

WIELKA NIEWIADOMA

O ile dzisiejszy wzrost zakażeń jest skutkiem niefrasobliwości, o tyle na ten jesienno-zimowy, prognozowany przez epidemiologów, nie mamy już tak dużego wpływu. Choć oczywiście liczba chorych i ofiar zależeć będzie w przyszłości również od tego, czy zaczniemy wreszcie przestrzegać zasad bezpieczeństwa.

Zwłaszcza że wieści od wirusologów nie są wesołe. Nikt z nas nie wie, czy w przypadku zakażenia choroba przyjmie u niego lekki czy też ciężki przebieg.

Nadal bowiem nie znamy dobrze mechanizmów działania koronawirusa. Wiemy, że w grupie zwiększonego ryzyka są osoby starsze, mniej odporne, chorujące na nadciśnienie lub cukrzycę, ale ciągle nie rozumiemy, dlaczego np. niektórzy przechodzą zakażenie w ogóle bez objawów. Takich bezobjawowych nosicieli, potencjalnie bardzo niebezpiecznych dla otoczenia, bo nieświadomie zarażających innych, może być nawet 50 proc. lub więcej.

Poza tym nie wiemy, czy przejście choroby koronawirusowej chroni nas przed ponownym zakażeniem, a jeśli tak, to na jak długo. Ciągłe pojawiają się też informacje o możliwych mutacjach koronawirusa – ostatnio z Wietnamu – gdzie jakoby pojawiła się odmiana znacznie bardziej zakaźna i wywołująca szybszy oraz cięższy przebieg choroby. Nie znamy także długofalowych konsekwencji przebycia zakażenia. Lekarze twierdzą, że w wielu przypadkach osoby, które przeszły chorobę koronawirusową, wyszły z niej z mocno naruszonym systemem odpornościowym i ze zniszczonymi płucami. Niektórzy ozdrowieńcy zapadali również z niewyjaśnionych dotąd powodów na cukrzycę.

Ciągle też trwają spory o tzw. odporność zbiorową. Nabierają ją społeczeństwa, w których co najmniej 70 proc. populacji przeżyło chorobę i wirus utracił zdolność do reprodukcji. Niektórzy dowodzą, że blisko 40 proc. mieszkańców Szwecji (gdzie nie wprowadzono obostrzeń) osiągnęło już odporność na koronawirusa. Inni zaprzeczają temu, twierdząc, że może to być najwyżej 5 proc. populacji. Jeszcze inni dodają, że w przypadku koronawirusa w ogóle nie ma mowy o trwałej odporności z powodu mutacji.

Wszystko to powinno skłaniać każdego rozsądnego człowieka do konkluzji, że lepiej nie wystawiać się bezmyślnie na zagrożenie i – stosując podstawowe zasady higieny oraz dystansu społecznego – unikać zakażeń. Bo nawet jeśli koronawirus, jak twierdzi wielu epidemiologów, pozostanie z nami już na zawsze, to warto chronić się przed nim przynajmniej do czasu, gdy nie zostanie zbadana natura choroby, którą powoduje i nie zostaną opracowane skuteczne leki.

Bądźmy odpowiedzialni



Za wcześnie, by mówić o drugiej fali, bo liczba zachorowań na koronawirusa nie jest tak duża, by epidemia miała przyjąć niekontrolowaną postać. To, co na pewno czeka nas na jesieni, to zwiększona liczba pacjentów z grypą i oczekiwanie, że zostaną przebadani na obecność koronawirusa

Z Januszem Cieszyńskim, wiceministrem zdrowia, rozmawia Dorota Łosiewicz

Brytyjski premier Boris Johnson mówi, że w Europie są już oznaki drugiej fali epidemii koronawirusa. Mamy drugą falę?

Janusz Cieszyński: W Wielkiej Brytanii zachorowań jest zdecydowanie więcej niż w Polsce. To jest jeden z krajów, w których wskaźniki zachorowalności były najwyższe. Myślę, że to ze względu na to, że przyjęto tam zupełnie inną strategię niż w Polsce. Ograniczenia i lockdown wprowadzono ze znacznym opóźnieniem w stosunku do potrzeb i oczekiwań choćby służb medycznych. Na drugim biegunie była Polska, która zareagowała natychmiast. Przyznała to WHO i inni eksperci, którzy pokazali, że istnieje korelacja liczby zachorowań z szybkim zamknięciem życia społecznego i gospodarczego. Widać, że im szybsza reakcja, tym mniej chorych. I chociaż w ostatnim tygodniu mamy wzrost liczby nowych przypad-

ków, to jednak liczba zgonów na milion mieszkańców pokazuje, że Polska radzi sobie bardzo dobrze na tle Europy. Zresztą skala tych wzrostów jest u nas wielokrotnie mniejsza niż np. w Hiszpanii. Z doświadczenia wiemy też, że największe problemy napotykamy wtedy, gdy system ochrony zdrowia osiąga maksimum swojej wydajności. Wtedy mamy dantejskie sceny, jak z Włoch czy Hiszpanii, a pacjentom nie można udzielić niezbędnej opieki.

Czy podobne sceny wrócą jesienią?

Trudno to jednoznacznie stwierdzić. Na pewno wiemy więcej o koronawirusie, a to sprawia, że lepiej potrafimy z nim walczyć. Mieliliśmy też czas, by uzupełnić braki w sprzęcie ochronnym. Nawet więc jeśli liczba zachorowań wzrośnie, to takie obrazki, jakie spływały z innych krajów europejskich, nie powinny się powtórzyć.

A wzrost zachorowań, który mamy w Polsce, to już jest druga fala?

Za wcześnie, żeby mówić o drugiej fali, bo liczba zachorowań nie jest tak duża, by epidemia miała przyjąć niekontrolowaną postać. To, co na pewno czeka nas jesienią, to zwiększona liczba pacjentów z grypą, pojawienie się ich w przychodniach i oczekiwanie, że zostaną przebadani na obecność koronawirusa. Z ubiegłych lat wiadomo, że dzienna liczba zachorowań na grypę może sięgać 100–150 tys. pacjentów. Naszym zadaniem jest przygotowanie odpowiedniej ścieżki postępowania i testowania.

Jak więc będą podejmowane decyzje, kogo testować, a kogo nie testować w kierunku koronawirusa?

W ministerstwie jest zespół, który ma wypracować standardy postępowania i testowania. Głównie po to,

by w placówkach ochrony zdrowia nie doprowadzić do kontaktu osób zakażonych koronawirusem z tymi niezakażonymi.

Ale co może się zmienić w diagnostowaniu? Pewnie jak do tej pory testowane będą osoby, które miały kontakt z chorym. A przecież zarażać się można wszędzie: na basenie, w sklepie, w kościele, nie wiedząc, że ten kontakt się miało.

Testowane muszą być przede wszystkim osoby z grup ryzyka, czyli głównie osoby starsze, bo dla nich wirus jest najgroźniejszy. To także osoby z chorobami współistniejącymi, bo w ich przypadku ryzyko ciężkiego przebiegu choroby jest podwyższone. Na więcej szczegółów trzeba poczekać do czasu, aż prace skończy interdyscyplinarny zespół, który przygotowuje szczegółowe zalecenia, by przed jesienią do każdego podmiotu w ochronie zdrowia trafiła prosta instrukcja postępowania. To będzie zasadnicza różnica między tym, co mieliśmy na początku roku, a tym, co czeka nas na jesieni. Trwają też konsultacje społeczne odnośnie do standardów organizacyjnych związanych z teleporadami, które w trakcie epidemii zrobiły zawrotną karierę. Od prawie zerowego udziału do 80 proc. porad lekarzy rodzinnych.

Czyli w przypadku osoby, która ma objawy, ale nie ma wiedzy o kontakcie z osobą zakażoną, a nie wymaga hospitalizacji, nic się nie zmieni. O ile jej stan się nie pogorszy, będzie musiała odizolować się w domu.

Musimy poczekać na wyniki pracy zespołu. Ale w przypadku, w którym pacjent nie będzie z grupy ryzyka, a objawy będą łagodne, zalecana będzie samoizolacja. Taka osoba będzie pozostawała pod opieką lekarza rodzinnego. Ważne jest dla nas, by stworzyć jasne i jednolite procedury, by lekarze mogli wspierać się nimi, pomagając pacjentom z koronawirusem. Potrzebny nam także nowy model funkcjonowania szpitali jednoimien-

nych, bo niektóre z nich były mało obłożone, a nie możemy wyłączać szpitali z pomocy szerokiej grupie pacjentów chorych na inne schorzenia.

Pan wielokrotnie zachęcał, by szczepić się przeciwko grypie. W sytuacji kumulacji koronawirusa i grypy to może być szczególnie istotne. Czy szczepionka nie powinna być darmowa?

Szczepienia przeciwko koronawirusowi nie będą obowiązkowe. To będzie zdecydowana rekomendacja połączona z kampanią informacyjną

W ramach wielu programów samorządowych takie szczepionki są darmowe. To bardzo dobra ścieżka. Latami np. Warszawa nie wykonywała zaplanowanego na zdrowie budżetu i dzięki temu, że ministerstwo wyznacza takie kierunki, wreszcie to się zmieniło i te wydatki rosną. Zachęcam samorządy do brania na siebie tej części wydatków, bo NFZ ma narzędzia, by wspierać podmioty, które biorą na siebie te zadania. Ministerstwo, widząc, ile szczepionek było potrzebnych w ubiegłych latach, także uczestniczy w zakupach i szczepionki dla osób w grupach ryzyka będą refundowane. Taka szczepionka to mądra inwestycja we własne zdrowie, a jeśli są wątpliwości, to najlepiej porozmawiać z lekarzem rodzinnym, który udzieli nam fachowej porady.

Czy te szczepionki faktycznie mają sens, skoro i tak wirus grypy mutuje?

Ekspertci od lat mówią, że mają sens. Co roku WHO prognozuje, jaki szczep grypy będzie w danym roku najgroźniejszy i jaką szczepionkę warto stwo-

żyć. Prognozy bywają bardziej lub mniej trafione, ale szczepionka obniża ryzyko zachorowania na grype, a skoro tak, to warto z niej skorzystać. Lepiej zapobiegać, niż leczyć.

Podobnie będzie ze szczepionką przeciw koronawirusowi. Powstanie szczepionka, a wirus zmutuje. Co wtedy?

Naukowcy stale badają zachowanie wirusów i proponują nowe rozwiązania. Nie można mówić o stuprocentowej skuteczności, ale stanowisko Ministerstwa Zdrowia jest niezmiennie – kiedy powstanie szczepionka, która uzyska rekomendację ekspertów, będziemy zalecać korzystanie z takich szczepień.

Wtedy będzie obowiązek szczepienia?

Nie przypuszczam, żeby został nałożony obowiązek. To będzie zdecydowana rekomendacja połączona z kampanią informacyjną.

Mówi pan, że teraz wszystkie państwa są lepiej przygotowane do walki z epidemią. Nie zabraknie więc w Polsce maseczek, fartuchów? Skąd będą pochodziły?

Nie zabraknie. Na początku roku mieliśmy przygotowaną żelazną rezerwę i musieliśmy nią oszczędnie dysponować. Rząd świadomie postanowił, że będziemy dokonywać zakupów na taką skalę, jak to tylko będzie możliwe. Dziś opinia publiczna mówi tylko o tym, co budzi wątpliwości – rolą Ministerstwa Zdrowia jest udzielanie w tej sprawie rzetelnych odpowiedzi. Robimy to, ale do społeczeństwa rzadko przebijają się pozytywne informacje. Na przykład, jeśli chodzi o maseczki, to w tym samym czasie, kiedy kupiliśmy te, które stały się przedmiotem publicznej dyskusji, udało nam się zdobyć dziesięciokrotnie większą dostawę od renomowanej amerykańskiej firmy. Korzystając z tych samych procedur i według tych samych kryteriów. A to, że część zakupów nie spełnia norm, okazało się po zleconych przez samo ministerstwo badaniach. Ten sam problem dotyczył

sprzętu sprowadzonego przez Komisję Europejską czy WOŚP i tam też to dzięki Ministerstwu Zdrowia udało się ostrzec medyków przed wadliwym sprzętem.

Skoro mówimy o problemach, to na jakim etapie jest pański resort w odzyskiwaniu środków za respiratory, które do Polski nie dotarły? Przypomnijmy, że chodzi o zakup od spółki E&K (należącej do handlarza bronią) na kwotę 200 mln zł.

Ponieważ w grę wchodziły duże kwoty, Ministerstwo Zdrowia skorzystało z pomocy CBA w sprawdzeniu kontrahenta przed przekazaniem mu pieniędzy. Kontrahent nie zrealizował w pełni kontraktu (dotarło 200 w pełni sprawnych respiratorów) i dlatego zwrócił już ponad 14 mln euro, a resztę środków z przedpłaty dostawca zwraca na bieżąco. Jestem przekonany, że kontrakt będzie rozliczony wraz z karami umownymi, odsetkami i z pełnym zabezpieczeniem interesu skarbu państwa.

Dlaczego kontrahent się nie wywiązał?

Sprzęt, który zamówiliśmy (w sumie miało to być 1241 sztuk respiratorów), miał być zakupiony przez kontrahenta za granicą. Firmy, które dostarczają taki sprzęt, biorą udział w systemie rozdziału, gdzie centrale decydują o tym, ile sprzętu trafi na który rynek. Kontrahent zapewniał, że uda mu się ten sprzęt dla Polski zakupić. Później się okazało, że dostępność sprzętu jest inna, niż pierwotnie deklarował, i stąd problemy, o których słyszy dziś opinia publiczna.

Czy uczniowie wrócą we wrześniu do szkół?

Decyzje powinny być podejmowane przez dyrekcję szkoły w konsultacji z organem prowadzącym. Sytuacja może być różna w różnych powiatach. Na dziś nie ma powodu, by wyłączać tysiące szkół na terenie całej Polski. Może być taka konieczność w pojedynczych placówkach, ale to będą zawsze indywidualne decyzje.

Czyli jak zła powinna być sytuacja, by zdecydowano o dalszym zamknięciu wszystkich szkół? Mamy (na dziś) ponad 600 zachorowań dziennie, gdy zamykano szkoły, było ich znacznie mniej.

Ale przyrost był szybki. Także liczba zachorowań w innych krajach rosła bardzo szybko. To jest kwestia zarządzania ryzykiem. Mogliśmy nic nie zrobić i czekać, czy zachorowań będzie mniej niż w innych krajach.

Nie obawiamy się np. w sklepie zwrócić uwagę drugiej osobie na brak maseczki. Tu chodzi o zdrowie tej osoby, nasze i osób trzecich, które mogą być w grupie ryzyka

I wtedy groziło nam wejście na ścieżkę włoską. Wszystkie badania wskazują, że szybka prewencja dała najlepszy rezultat, a Polska przeszła lepiej epidemię niż kraje, do których chcielibyśmy się porównywać, jeśli chodzi o standard opieki zdrowotnej.

Może Polacy po prostu przestali się bać koronawirusa i stąd rozpręgnięcie widoczne gołym okiem od Bałtyku po Tatry?

Na pewno nastąpiło społeczne zmęczenie ograniczeniami. Z drugiej strony Inspekcja Sanitarna prowadzi tysiące postępowań związanych z nieprzestrzeganiem restrykcji, są nakładane kary za nieprzestrzeganie zasad. Zachęcam wszystkich do przestrzegania trzech najważniejszych: dystans, tam gdzie to nie jest możliwe, zasłanianie usta i nos, a we wszystkich miejscach, gdzie się da, dezynfekujemy ręce. W ten sposób ograniczymy rozprzestrzenianie się wirusa.

Wróćmy do punktu wyjścia: skąd te wzrosty zachorowań? Jaki jest ich

związek z wyborami, wiecami czy przywróceniem możliwości organizowania wesel?

Patrząc na dane, na pewno trudno przypisać wzrost zachorowań kampanii wyborczej. Nie wskazują na to wywiady epidemiologiczne, które przeprowadza się przy każdym potwierdzonym zakażeniu. Jest za to związek z weselami, pogrzebami i innymi większymi zgromadzeniami. Organizując taką imprezę, trzeba się zastanowić, jak ograniczyć liczbę gości i zminimalizować ryzyko. Najważniejszy jest oczywiście zdrowy rozsądek. Nie obawiamy się np. w sklepie zwrócić uwagę drugiej osobie na brak maseczki. Tu chodzi o zdrowie tej osoby, nasze i osób trzecich, które są w grupie ryzyka.

Widzi pan taką zależność, że osoby, które nie popierają rządu, mniej chętnie stosują się do rygorów sanitarnych? „No bo co mi tu jakiś pisowiec będzie mówił”.

Jest oczywiście grupa osób, które negują sens obostrzeń sanitarnych czy szczepień. Ale my się opieramy na naukowej wiedzy i rekomendacjach ekspertów. A ta się zmienia, dlatego Ministerstwo Zdrowia zmieniło stanowisko np. w sprawie maseczek.

Chińska wirusolog Li-Meng Yan twierdzi, że koronawirus nie jest patogenem, który występuje naturalnie w przyrodzie, nie pochodził z targu. Co pan na takie rewelacje?

Dobrze, że mamy wolność badań naukowych. Dobrze, że się dyskutuje o wynikach badań. Jednak, żeby powiedzieć coś więcej, musiałbym znać szczegóły badań tej pani, bo w przekazie medialnym łatwo to wypaczyć.

Grozi nam drugi lockdown?

W tym przypadku także odpowiem, że lepiej zapobiegać, niż leczyć. To w naszych rękach jako społeczeństwa leży to, aby dzięki przestrzeganiu zasad sanitarnych ograniczyć wzrost liczby zakażeń. To najskuteczniejsza broń przeciwko drugiemu lockdownowi.

To jest szturm! To tęcza. To atak

Mamy być bierni i bezbronni wobec aktów agresji środowisk LGBT+. Jeśli odpowiemy na prowokację i będziemy chronić polskie wartości, UE zabierze należne nam fundusze i ukarze za homofobię. Tak ma wyglądać ten nowy wspianiąty, zideologizowany świat



MARZENA NYKIEL

W tym samym czasie, gdy lewacy aktywiści z tęcową flagą sprofanowali figurę Chrystusa dźwigającego krzyż przed bazyliką Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, unijna komisarz ds. równości Helena Dalli ogłosiła, że z programu „Partnerstwo miast” nie będą mogły skorzystać samorządy, które przyjęły rezolucję odrzucającą ideologię LGBT lub przyjęły uchwały o obronie praw rodziny. Czy można dobitniej? Mamy się podporządkować rewolucji kulturowej i nie dyskutować z decyzjami narzucanymi nam przez inżynierów nowego ładu społecznego. Inaczej zostaniemy srogo ukarani.

TĘCZOWE PROWOKACJE

Skoro nie ma w Polsce realnej homofobii, trzeba ją sprowokować. Dyskusje o ochro-

nie rodziny i sprzeciw wobec wprowadzania ideologii LGBT+ do szkół to jednak za mało, by trwale zdyscyplinować Polskę jako homofobiczny kraj. Konieczne są akty agresji wobec środowisk mniejszościowych. Od lat kreowane są więc fałszywe ofiary, jednostkowe przypadki urastają do rangi ogólnonarodowych prześladowań, a w celu wyzwolenia fali niechęci pojawiają się co rusz kolejne prowokacje.

Sprofanowany wizerunek Matki Bożej, tęczone aureole, feretron w kształcie wagi, kpiny z Kościoła to już stałe elementy marszów równości i rozmaitych akcji mających upodlić katolików, przesunąć granice społecznej wytrzymałości, oswoić z bluźnierstwem, a tych, którzy się przeciwko temu buntują, oskarżyć o homofobię. I oczywiście wysłać ten komunikat w świat. Temu właśnie służyć miała ostatnia barbarzyńska akcja w Warszawie.

Niemal w przededniu rocznicy wybuchu powstania warszawskiego, w nocy z 28 na 29 lipca, grupa aktywistów przedstawiających się jako „Siej zamęt”, „Poetka” i „Stop bzdur” sprofanowała świętą dla warszawiaków figurę Chrystusa niosącego krzyż. W posąg, który przetrwał powstanie warszawskie,

a jego losy przypominał w czasie homilii na pl. Zwycięstwa (2 czerwca 1979 r.) św. Jan Paweł II, aktywiści LGBT włożyli tęcową flagę i przyczepili kartkę z napisem „Jeb...e się ignoranci”.

„To jest szturm! To tęcza. To atak! Postanowiliśmy działać. Tak długo, jak będę się bać trzymać Cię za rękę. Tak długo, aż nie zniknie z naszych ulic ostatnia homofobiczna furgonetka. To nasza manifestacja odmienności – ta tęcza. Tak długo, jak flaga będzie kogoś gorszyć i będzie »niestosowna«, tak długo uroczymy przyrzekamy – prowokować. Sorry... Nikt przecież nie powie, że polska flaga jest nieestosowna i że kogoś obraża... Gdy zabierane są nam kolejne prawa, los waży się na szalach władzy. Niepokoi milczenie polityków – przerażają ich słowa. Nie będziemy prosić o litość, błagać o szacunek i zrozumienie. Jesteśmy głosem za małych na to, by ich słuchano, za małych, by coś powiedzieć. Uciszanym przez rodziców. Zmęczonych codzienną batalią ze światem. Oduczyliśmy się grzeczności i narzuconej gry w normalność. Gdy system chce, byśmy skakali w ciemność sami, razem wypowiadamy mu walkę. Syrenka warszawska ma w dłoni miecz i tarczę. Ma tęczę i bandanę. To nasze wezwanie do walki. Jak długo będziemy za-

sypiać z myślą, że i tak nic się nie zmieni, tak długo będzie trzeba przypominać o tym, że istniejemy. Że nie jesteście sami i same. To miasto jest też nasze. Walczcie. Jeb...e się ignoranci” – napisali w swoim manifestie. Ofiarą tego lewackiego happeningu padły m.in. pomniki Ojców Niepodległości, warszawska Syrenka i pomnik Mikołaja Kopernika.

Niektórzy przekonują, że takie akty to pojedyncze przypadki, nieszkodliwe akcje, które w ogólnym obrazie nie mają żadnego znaczenia. Rzecz w tym, że to celowa strategia obliczona na totalną przebudowę myślenia społecznego, odwrócenie wartości, wygaszenie cywilizacji łacińskiej. Wszędzie zaczynało się tak samo. W każdym kraju, poddanym dziś bez reszty lewackiej ideologii, pojawiały się najpierw pojedyncze akcje, które powoli przesuwają granice. Długotrwała tresura socjotechniczna przyniosła oczekiwane rezultaty. Z jednej strony społeczne zobojętnienie i przyzwolenie, z drugiej coraz bardziej narastająca agresja, która momentami przybiera kształty niemal duchowego opętania i nieobliczalnych działań.

FAŁA PROFANACJI

Środowiska LGBT+ na oślep atakują Kościół, brutalnie łamiąc sacrum. Szczególnie obfity w akty profanacji był rok 2013, kiedy atak wkroczył w swego rodzaju wręcz barbarzyński ryt. Boże Narodzenie 2013 stało się obiektem zmasowanego bluźnierstwa ze strony aktywistek ruchu Femen. Akcję „Święta odwołane” przeprowadziły w kilku europejskich katedrach. Bluźniercze happenings rozpoczęły na pl. św. Piotra w Rzymie. Ukraińska liderka Femen, wykrzykując, że „Jezus został abortowany”, domagała się prawa kobiet do zabijania ich nienarodzonych dzieci. „Kościół nie daje nam spokoju, więc my także nie damy mu spokoju” – ogłosiła. Kilka dni później paleczkę przejął oddział hiszpański, który 23 grudnia stawiał się przed kościołem San Miguel y San Benito w Madrycie, by przeprowadzić symboliczne usunięcie „płodu”.

Do największej profanacji doszło w Boże Narodzenie w katedrze w Kolonii podczas mszy św. sprawowanej przez

kard. Joachima Meisnera. Półnaga aktywistka wskoczyła na ołtarz, przerywając Eucharystię. Na ciele miała napisane „Jestem Bogiem”. Następnego dnia w kościele św. Magdaleny w Paryżu półnaga kobieta wtargnęła do świątyni, gdzie dokonała symbolicznej „aborcji” Jezusa, przed ołtarzem układając kawalek zwierzęcej wątroby mający symbolizować płód. Później oddała mocz na schodach ołtarza i opuściła kościół. Na nagich piersiach miała napis „Dziwka nr 344”, stanowiący odwołanie do „Manifestu 343” Simone de Beauvoir z 1971 r. (343 kobiety ogłaszały publicznie, że poddały się zabiegowi aborcji i domagały się depenalizacji tego czynu).

Bożonarodzeniowa akcja profanacyjna otworzyła kolejny front. Na początku lutego 2014 r. Femen wkroczył do katedry

W tej wojnie nie ma granic. Zdziczałe ataki na katolików, liczne bluźnierstwa i profanacje są tego dowodem. Aktywiści LGBTQ+ dawno już przestali walczyć o swoje prawa. Walczą z Kościołem, z katolicyzmem, z rodziną, z narodową tożsamością, z ładem łacińskiej cywilizacji

w Sztokholmie. Aktywistki przerwały wieczorną mszę św., krzycząc: „Moje ciało, moje zasady!”. Na nagich piersiach miały wypisane hasła: „Kościół katolicki won z mojego ciała” i „Aborcja jest świętością”. Nie zabrakło bezpośrednich ataków na kapłanów. Pięcioosobowy hiszpański oddział Femenu napadł w lutym 2014 r. na arcybiskupa Madrytu kard. Antonia Marię Rouco Varełę przed kościołem Santos Justo y Pastor. Pięć obnażonych kobiet, z namalowanymi na plecach odwróconymi krzyżami, otoczyło kardynała i towarzyszących mu księży. Wrzeszcząc „Aborcja jest święta”, szarpały duchownego za sutannę, ktoś rzucił w jego stronę majtki poplamione na czerwono. Wcześniej dwukrotnie,

i jeszcze bardziej brutalnie, zaatakowany przez Femen został prymas Belgii André-Joseph Léonard.

WOJNA BEZ GRANIC

W tej wojnie nie ma granic. Zdziczałe ataki na katolików, liczne bluźnierstwa i profanacje są tego dowodem. Aktywiści LGBTQ+ dawno już przestali walczyć o swoje prawa. Walczą z Kościołem, z katolicyzmem, z rodziną, z narodową tożsamością, z ładem łacińskiej cywilizacji. Forsują zmiany w edukacji, nasączają mass media ideologią, dążą do zmiany prawa. Są doskonałym narzędziem dowódców rewolucji kulturowej. Ich celem jest globalistyczna pustynia ideowa, w której wykorzenione społeczeństwa, wypłukane z wartości, sformatowane w matrycach konsumpcjonizmu, realizować będą zamysły nowego ładu.

Dziela ma dopełnić odgórne sterowanie za pomocą wspólnego prawa i wspólnych funduszy. Stąd te bezwzględne ataki na Polskę i Węgry. Każda próba ochrony społeczeństwa przed brutalną i bezduszną ideologią jest ganiona, a często wręcz karana. W minionym tygodniu unijna komisarz ds. równości Helena Dalli oświadczyła, że odrzucono sześć wniosków o środki na projekty w ramach unijnego programu „Partnerstwo miast”. Dlaczego? Ponieważ zostały złożone przez władze lokalne, które przyjęły rezolucje dotyczące „stref wolnych od ideologii LGBT” lub „praw rodzinnych”. „Państwa członkowskie i władze państwowe muszą szanować unijne wartości i prawa podstawowe. Dlatego sześć wniosków o partnerstwo miast, w których składanie były zaangażowane polskie władze, które przyjęły rezolucje dotyczące »stref wolnych od LGBTI« lub »praw rodzinnych«, zostało odrzuconych” – napisała na Twitterze komisarz.

Tak ma wyglądać ten nowy wspaniały świat. Syci będziemy tylko wtedy, gdy pozwolimy nakarmić się ideologią. Za cenę własnego rozwoju, zdrowia społecznego i przynależności kulturowej. Czas to wreszcie zrozumieć, zanim naprawdę będzie za późno.

Pod opieką państwa

Na Westerplatte można się nabawić rozdwojenia jaźni. Z jednej strony to symbol bezprecedensowego bohaterstwa polskiego żołnierza, z drugiej zaś bylejakości i wieloletniej niemocy włodarzy Gdańska, którzy uczynili naprawdę niewiele, by podkreślić wyjątkowość tego miejsca. Nawet teraz, gdy do przywracania godności tej reducie polskości wzięło się państwo, pojawia się opór ze strony miasta

Prezydent Gdańska Aleksandra Dulciewicz w dość powszechnej opinii skompromitowała się przemówieniem z okazji 80. rocznicy wybuchu wojny. Uroczystości w jednym z najważniejszych miejsc naszej pamięci, przesiąkniętym krwią żołnierza polskiego, próbowała zamienić w tani wyborczy wiec

Słyszymy, że to święta ziemia, że miejsce drogie Polakom, że powinno łączyć, a nie dzielić, że to temat zbyt ważny, by nim grać politycznie. Ale to, niestety, tylko teoria, która nie wytrzymała konfrontacji z rzeczywistością, gdy „sprawdzam” powiedział jej minister obrony narodowej. Prawdopodobnie jeszcze w tym tygodniu wojewoda pomorski Dariusz Drelich wyda decyzję, która oficjalnie przekaze skarbowi państwa teren należący dotychczas m.in. do miasta. Wtedy nie będzie już żadnych formalnych przeszkód, by rocznicowe



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

uroczystości niemieckiej agresji na Polskę 1 września zorganizowało Wojsko Polskie, jak chce MON. A nie chodzi przecież tylko o to, kto będzie tutaj gospodarzem,

ale o zapewnienie naprawdę godnych obchodów bez politycznych wyskoków, jakie zdarzały się w przeszłości.

HOŁD ŻOŁNIERZOM

24 lipca minister obrony Mariusz Błaszczak podkreślił, że zależy mu na tym, by obchody miały charakter państwowy, a nie były wydarzeniem wyłącznie o skali lokalnej i nie były wykorzystywane politycznie. – Tak niestety było przez lata, kiedy władze Gdańska albo zamierzały nie zapraszać Wojska Polskiego, albo za-

praszały polityków typu Timmermans, którzy wygłaszali na Westerplatte przemówienia bardzo kontrowersyjne w swojej treści – mówił szef MON.

Frans Timmermans doskonale się wpisał w charakterystyczną dla gdańskich elit niechęć do nazywania zbrodniarzy po imieniu. W jego przemowie zabrakło słowa o Niemcach jako agresorach: – Jesteśmy tutaj w 80. rocznicę rozpoczęcia okropieństw, które spotkały polską ludność. Jesteśmy tu po to, aby pamiętać, co się stało. [...] Wyobraźcie sobie, że spośród was co piąta osoba znika. Taki los spotkał Polaków z rąk hitlerowców. Musimy też pamiętać o społeczności żydowskiej, szczególnie dotkniętej eksterminacją z rąk nazistów.

Padły z jego ust również słowa nawiązujące do narracji totalnej opozycji w trwającej wówczas kampanii wyborczej: – Nie możemy pozwolić, aby ludzie głoszący nietolerancję i nienawiść jako dobry sposób prowadzenia polityki, głoszący konflikt wzięli górę.

Jeszcze dalej poszła prezydent Gdańska. Aleksandra Dulkiewicz w dość powszechnej opinii skompromitowała się wpleceniem niskich lotów walki politycznej w przemówienie z okazji 80. rocznicy wybuchu wojny. – Każda wojna, wojna państwa z państwem, rządzących ze społeczeństwem, na tle różnic międzyludzkich, jest bowiem zła.

Prezydent nie sprostала doniosłości chwili. Uroczystości w jednym z najważniejszych miejsc naszej pamięci, przesiąkniętym krwią żołnierza polskiego, próbowala zamienić w tani wyborczy wiec.

Ale dostanie jeszcze jedną szansę. Bo organizowanie przez MON tegorocznych uroczystości nie oznacza okrojenia listy gości. Będą wśród nich m.in. kombatan ci, weterani, harcerze, ale też władze samorządowe. – To będzie uroczystość z pełnym ceremoniałem Wojska Polskiego, której przesłaniem będzie oddanie hołdu żołnierzom Wojska Polskiego, podkreślenie ich dzielności w 1939 r., podkreślenie postawy żołnierzy Wojska Polskiego, która jest wzorem dla dzisiejszych żołnierzy polskich sił zbrojnych – mówił Błaszczak.

JAK NIE NAZYWAĆ SPRAWCÓW

Dulkiewicz zareagowała na plan MON listem do premiera. „Są niestety w naszej

Ojczyźnie wyraźnie wytyczone linie podziałów. Polaryzacja i spór, jaki toczą nasi rodacy, budzą troskę i powinny skłaniać polityków do gotowości poszukiwania porozumienia ponad podziałami. Tym bardziej należy unikać wikłania w aktualne spory polityczne symboli świętych dla wszystkich Polaków. Takim miejscem i takim symbolem jest Westerplatte” – napisała prezydent Gdańska.

W obszernym dokumencie jest też przypomnienie hasła „Nigdy więcej wojny”, które wyeksponowane jest na półwyspie. „Ten wymowny cytat usytuowany na uświęconej polską krwią ziemi nie stracił na swojej aktualności i skłania nas do prowadzenia konstruktywnej i pokojowej debaty” – dodała Aleksandra Dulkiewicz. To zadziwiające, że pisząc o tak ważnej (jak podkreśla) dla siebie sprawie, pani prezydent ani razu nie zająknęła się o Niemcach – sprawcach tragedii. Jak widać, zarzut, który wobec niej sformułowaliśmy w artykule „Wojna Gdańska z Polską” z lipca ub.r. w tygodniku „Sieci”, jest wciąż aktualny. Władze Gdańska nie chcą (nie potrafią?) zadbać o pamięć o polskich bohaterach i z niezrozumiałego powodu unikają wskazywania narodowości sprawców. Mimo ożywionej, sprowokowanej przez nas debaty wciąż zero refleksji.

Tutaj dochodzimy do sedna protestu, który składa Aleksandra Dulkiewicz. Wie, że kończy się czas, gdy na Westerplatte można było sobie zaprosić kogoś z zagranicy, kto wypełni polityczne zlecenie i powie coś, czego Polakowi by nie wypadało, jak wspomniany już Frans Timmermans.

Tak naprawdę Aleksandra Dulkiewicz liczy chyba na to, że wojewoda nie zdąży wydać decyzji porządkującej własność gruntów i oficjalnie rozpoczynających budowę Muzeum

Westerplatte i Wojny 1939 r. Wiedząc, że jest wytyczona mapa drogowa do zmian na półwyspie, chce skorzystać z momentu przejściowego. Rzeczywiście na dziś teren formalnie wciąż należy do miasta. Jeszcze przez kilka dni... Nasi rozmówcy w rządzie zapytani o ewentualną obstrukcję ze strony miasta, które według specustawy ma prawo do zaopiniowania projektu (a ma na to ledwie 21 dni od złożonego 10 lipca wniosku), bagatelizują taką ewentualność. – Jeśli pani prezydent będzie chciała grać na czas, chcąc ponownie organizować polityczny spektakl 1 września, to się przeliczy. Ta opinia nie jest dla wojewody wiążąca. Nawet gdyby była negatywna, pozostaje tylko opinią – słyszymy.

SZACUNEK I BEZPIECZEŃSTWO

Platformerscy prezydenci miast nie zrezygnują z narracji o rzekomej walce rządu z samorządowcami. Po stronie Dulkiewicz stanął już Rafał Trzaskowski: – Obecne władze państwa mają kłopot z niezależnymi samorządami. Widzimy, że trend ograniczania prerogatyw samorządu będzie kontynuowany – powiedział prezydent stolicy, udowadniając, że jednak chodzi o kompetencyjną przepychankę, a nie o godne obchody.

Ale każdy, kto w ostatnich latach odwiedził Westerplatte, sam zauważył, że to miejsce woła o nadrobienie wieloletnich zaniedbań i przywrócenie mu należnej godności.

Wielką w tym rolę Muzeum II Wojny Światowej, które jest najbardziej zaangażowane w rewitalizację półwyspu. – Przypomnę, że od roku 1926 to polski żołnierz jest na Westerplatte gospodarzem, a więc jest to powrót do głębokiej tradycji

z okresu międzywojennego, krew żołnierza polskiego wsiąkała w tę ziemię. Nie widzę nic kontrowersyjnego w reakcji ministra – mówił w Radiu Gdańsk dyrektor placówki. Dr Karol Nawrocki podkreślał, że przejęcie organizacji przez MON podniesie prestiż wydarzenia.

W oświadczeniu z 24 lipca Nawrocki wskazuje:





„Aktualnie to właśnie jednostki Wojska Polskiego i Straży Granicznej, znajdujące się na Westerplatte, stanowią naturalną kontynuację oddziałów strzegących bezpieczeństwa Polski. Dla Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku oczywistym jest, że Westerplatte jest symbolem o charakterze ogólnopolskim, nie regionalnym. Tym samym coroczne uroczystości upamiętniające wybuch najtragiczniejszej katastrofy w dziejach ludzkości, jaką była II wojna światowa, powinny być realizowane przez Wojsko Polskie, będące spadkobiercą tradycji westerplatteczków. [...] Przełomem w upamiętnianiu się o pamięć o żołnierzach z Westerplatte stały się odkrycia szczątków poległych westerplatteczków, dokonane w trakcie misji archeologicznej prowadzonej przez Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Przez ponad 80 lat w beziemiennych mogiłach spoczywała większość poległych obrońców Westerplatte, czekając na godny pochówek”.

Niebawem ten pochówek będzie możliwy. Jeszcze w sierpniu ruszy konkurs na projekt cmentarza na półwyspie. – Gdy zostaną zidentyfikowani wszyscy odnalezieni żołnierze, musimy mieć gdzie ich pochować – słyszymy w muzeum.

To będzie jedna z pierwszych tak widocznych zmian na Westerplatte. Nie znaczy to jednak, że w pozostałych obszarach dzieje się niewiele. Wręcz przeciwnie. To imponujące, z jaką pieczołowitością i dalekowzrocznością przygotowuje się Muzeum Westerplatte

Każdy, kto w ostatnich latach odwiedził Westerplatte, sam zauważy, że to miejsce woła o nadrobienie wieloletnich zaniedbań i przywrócenie mu należytej godności

i Wojny 1939 r., bo tak, zgodnie z ubiegłoroczną specustawą, będzie się nazywała placówka.

Aleksandra Dulkiewicz drwi, że zamiast zapowiadanego okazałego muzeum rząd szykuje tylko jakąś tablicę. Prawda jest jednak taka, że trwają prace archeologiczne (3 sierpnia ma ruszyć ich trzeci etap) i geologiczne. Priorytetem jest bowiem szacunek dla poległych oraz bezpieczeństwo – na półwyspie wciąż znajdowane są niewybuchy, nad którymi chodzą zarówno turyści, jak i oficjele podczas uroczystości.

Gotowe są założenia programowe dla całego muzeum, scenariusze wystaw dla konkretnych budynków, szykowany przez architektów program funkcjonalno-użytkowy znajduje się zaś na końcowym etapie. Będzie on kluczowym elementem projektu całego muzeum.

Można więc powiedzieć, że cała inwestycja pod kątem formalnym i muzeologicznym jest w zasadzie gotowa. Udało się to ukończyć w ciągu roku od przyję-

cia ustawy, niezależnie od epidemii koronawirusa. – Widzimy projekt w całości, ale realizujemy go we fragmentach, takie możliwości daje nam specustawa. Mamy świadomość, że na przestrzeni kilku lat mogą się zdarzyć różne rzeczy, nie unikniemy zależności od polityki. Nie możemy więc ryzykować, że zmieni się władza i cała koncepcja zostanie wyrzucana do kosza. Chcemy jak najszybciej realizować mniejsze etapy, by nikt nie mógł ich już zniszczyć – mówi nam jedna z osób odpowiedzialnych za kształt przyszłego muzeum.

ZANIEDBANIA OD LAT

To wielka inwestycja (jej koszt wyniesie 200 mln zł), na którą Polacy czekają od dekad. Choć zadanie jest karkołomne i nowatorskie, a partner (miasto) niezbyt skory do współpracy, wszystko – jak na razie – idzie zgodnie z planem. Władze Gdańska niekoniecznie wydają się z tego zadowolone.

Ożywiona dyskusja o tym, co powinno być, a czego nie ma na Westerplatte, powróciła w ubiegłym roku podczas przygotowań do okrągłej 80. rocznicy napaści Niemiec na Polskę. W portalu wPolityce.pl pokazaliśmy fotografie miejsca, które miasto Gdańsk nazywało świętym, a zaniedbało jak leśny śmietnik. Pomijając to, że półwysep wygląda jak peerelowski skansen, w którym trudno odnaleźć dumę z bohaterstwa polskiego żołnierza.

Władze Gdańska rozpetwały histerię, gdy narodził się pomysł, by to państwo polskie stworzyło tutaj muzeum pola bitwy z prawdziwego zdarzenia. Gdy mimo zapowiedzi wielomilionowych inwestycji z budżetu centralnego usłyszeliśmy argumenty, że „PiS chce gdańszczanom zabrać Westerplatte”, stało się jasne, że nie chodzi o godne upamiętnienie żołnierzy września 1939 r., ale o stworzenie politycznego antyrządowego szanca.

I o ile jest nawet zrozumiałe, że ekipa rządząca Gdańskiem od ponad dwóch dekad prowadzi swoją politykę, że obecnie jej wrogiem numer jeden jest rząd Zjednoczonej Prawicy – i to się zapewne nie zmieni – o tyle trudno pojąć, dlaczego polem tej wojny ma być właśnie ten skrawek ziemi.

K

ULTURY

20 lat temu zagrał
oscarową rolę
– superpozytywnego
bohatera w „Gladiatorze”
Ridleya Scotta.
Dziś „Nieobliczalny”
i fizycznie odmieniony
Russell Crowe kreuje
postaci, których nie
chcielibyśmy spotkać
na swojej drodze

Typ niepokorny

Fot. materiały prasowe



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Wśród hollywoodzkich ekip nie ma dobrej opinii. Na planie to typ niepokorny i klient z tych awanturujących się. Nie akceptuje kompromisów. Mówi: „Interesuje mnie efekt końcowy i jeśli ktoś pałęta się pod nogami, to niech lepiej spada mi z drogi”.

Bywa też medialnie nieprzewidywalny. Jak podczas gali Australijskiej Akademii Filmu i TV, gdy 25 lat po premierze „Romper Stomper” (1992) – obrazu o grupie skinheadów, który rozkręcił jego karierę – wspominał gwałt, jaki wtedy nagrano. Wypowiedź wycięto, a aktor tłumaczył potem, że nie chciał nikogo obrazić, tylko podkreślić, że aktorstwo wiąże się z gotowością brania udziału czasem w zawstydzających, dziwacznych czy ekstremalnych wydarzeniach.

– Ironia losu – dodawał – polega na tym, że wrażliwość wymagana do wykonywania tego zawodu musi iść w parze z umiejętnością pozbycia się wstydu i gotowością do stawienia czoła upokorzeniu.

NA CAŁY GŁOS

Ta wypowiedź sprzed trzech lat koresponduje z rolami, które aktor ostatnio przyjmuje. I z opiniami, jakie wiąże się z przygotowaniem do nich. Zdjęcia zarośniętego, niechlujnego i otyłego Russella wywoływały przeróżne komentarze. Zestawiano je ze zdjęciami z 2000 r., gdy – imponując sprawnością i muskularną – wszedł do historii kina rolą zdradzonego rzymskiego generała, który nie traci swej wielkości nawet jako niewolnik idący na śmierć.

Teraz – wykorzystując skrajnie odmienną fizyczność – aktor wciela się

w postaci, delikatnie mówiąc, kontrowersyjne. Takie jak w miniseriale „Na cały głos” (który od 1 sierpnia, w kolejne w soboty, emituje Cinemax), gdzie ukryty za charakterystyczną zagrą wieloletniego szefa stacji Fox News Rogera Ailesa, jednego z najbardziej wpływowych ludzi amerykańskich mediów i polityki, człowieka wyjątkowo skutecznego nie tylko w zawodowych działaniach, zadufanego w sobie, bezwzględnego i odpychającego. Za tę rolę otrzymał Złoty Glob 2020.

NIE MA OPCJI!

W miniony piątek do polskich kin trafił „Nieobliczalny”. Tytułowy bohater to kolejna burząca spokój widzów postać zagrana przez Crowe’a.

Ponoć pierwszą jego reakcją po przeczytaniu scenariusza było katagoryczne: – Nie ma opcji, żebym zagrał w tym filmie! Ten człowiek jest zbyt mroczny!

Chwilę potem pojawiła się jednak refleksja: „Od kiedy przestałem reagować na wyzwania i zamknąłem się w bezpiecznym aktorstwie?”, i decyzja, by zasiąść za kierownicą furgonetki, która utknęła w filmowym korku.

Grany przez Crowe’a bohater nie wytrzymuje napięcia. Narastająca od lat frustracja, poczucie krzywdy i wyrzucenia poza społeczny nawias potrzebują ledwie iskry, by nastąpiła erupcja gniewu i szaleństwa. Ich obiektem staje się młoda kobieta, która zatrąbiła na bohatera na światłach.

Tornado niszczących emocji przed kamerą – paradoksalnie – pozwoliło aktorowi inaczej spojrzeć na otaczający świat. – Ten film, niby tylko intensywne kino rozrywkowe, bardzo mocno dotyka naszej współczesności. Przestaliśmy jako

ludzie zauważać innych, normalnie z sobą rozmawiać, bez pyskówek i uszczypliwości. To smutne, ale tym bardziej warto na takie tematy dyskutować.

SYMPATYCZNY GOŚĆ

W kontrze do ról, jakie teraz gra, Crowe buduje swój pozafilmowy wizerunek – człowieka sympatycznego i dowcipnego, ale też gotowego do pomocy i, gdy trzeba, zaangażowanego.

Na ceremonii Złotych Globów (w pierwszym tygodniu stycznia 2020) nie dotarł, bo w Australii szalały w tamtym czasie katastrofalne upały i pożary buszu. Jego dom, choć znajduje się na terenach objętych zniszczeniami, ocalał z pożogi. Wielu ludzi nie miało takiego szczęścia. Crowe włączył się w akcje wspomagające pogorzelców i walczących z żywiołem strażaków. Na galę, która odbywała się w Los Angeles, wysłał list (odczytany przez Jennifer Aniston), w którym zwrócił uwagę na katastrofalne w skutkach zmiany klimatyczne.

Globalną kwarantannę odbył w Australii (do której jako czterolatek przeniósł się w 1968 r. z rodzinnej Nowej Zelandii). Nie odmawiał w tym czasie udziału w wideorozmowach. W jednej wspominał, że jego dwaj nastoletni już synowie (17-letni Charles i 14-letni Tennyson) zamiast z ojcem na farmie w buszu wybrali lockdown w Sydney („bo tam mogą im dowieźć jedzenie z restauracji”). W innej – pokazując zakupioną na aukcji nagrodę Grammy przyznaną Johnny’emu Cashowi – wspominał, jak z pozłacanej tuby, która jest częścią statuetki, popijali whiskey z Edem Sheerem. Taki z niego sympatyczny gość. 

Zawsze moja „Noc listopadowa”

TVP wypełnia pustą przestrzeń po niepowstających wciąż z powodu pandemii spektaklach Teatru Telewizji starymi produkcjami. Dzięki temu oglądaliśmy czasem arcydzieła. Inne są wieszane w necie. Dzięki Łukaszowi Jasinie przypomniałem sobie „Noc listopadową” Stanisława Wyspiańskiego w wersji Andrzeja Wajdy. W roku 1978 było to jedno z moich największych przeżyć artystycznych.

To zbiór obrazów z dwóch dni. Wieczoru 29 listopada 1830 r., kiedy wybuchło powstanie, oraz dnia następnego. Wydaje się, że poeta wyraził w swoim dramacie myśl klarowną – poszedł za powstańcami uniesieniami, przyznał im rację.

Co ciekawe, animują je nie postaci ze świata wiary chrześcijańskiej, ale boginie i bogowie ze świata antyku. W teorii można by się tu dopatrywać przewrotności. Atena wysyła podchorążych na śmierć, a potem blisko finału ich opuszcza. Ale myśl zasadniczą wyraża Kora, córka bogini, skazana na życie przez pół roku pod ziemią, w Hadesie. „Umierać musi, co ma żyć” – padają słowa pełne wiary w sens cierpienia i zgonu jako zaczynu czegoś nowego. U Wajdy słowa te śpiewa piękna Anna Dymna.

Reżyser najpierw wystawił widowisko w krakowskim Starym Teatrze, potem przeniósł do telewizji. W efekcie kwiat ówczesnych krakowskich aktorów grał w filmowych scenach mających za tło warszawskie plenery. Zetknąłem się z opinią, że ekspresja tego spektaklu już cokolwiek trąca myszką, że hektolitry patosu się zestarzały. Wyrażała ją wobec mnie nawet osoba sympatyzująca z tradycyjnym teatrem, a przy okazji z prawicą.

Istotnie początek odegrany w formie narodowej opery, kiedy Barbara Bosak śpiewa kwestie Ateny w stylu Ewy Demarczyk, do muzyki Zygmunta Koniecznego, wraz z wieloma innymi aktorkami, ba moment, kiedy Jerzy Stuhr jest jako Piotr Wysocki nieskazitelnie romantycznym bohaterem, któremu obiecuje się

ślawę, zaskakuje w pierwszej chwili patosem. Zgubiliśmy taki teatr. Czy dobrze?

Mnie to jednak wciąż bierze, brzmienia Koniecznego kojarzą mi się z polską martyrologią, nie tylko z roku 1830 (piękna scena poległych zabieranych do Hadesu). Kontrastują z tym sceny z Belwederu, w których Jan Nowicki i Teresa Budzisz-Krzyżanowska odgrywają w sarkastycznym tonie psychodramę księcia Konstantego i jego polskiej żony Joanny. To nie tylko popis aktorstwa, lecz i materia do szerszej refleksji. Na pół szalony Konstanty w finałowej scenie zawstydza Polaków, wytykając ich elitom małoduszność – rzuca to w twarz generałowi Wincemu Krasińskiemu, znanemu ugodowcowi. Można się z taką wizją zgadzać lub nie. Trudno nie widzieć jej teatralno-filmowej sugestywności. Wielki Nowicki, piękny aktor grający samą mimiką brzydala i błazna! Na nim powinny się uczyć pokolenia.

A poza wszystkim te nagrane w gorączkowym, chwilami prawie groteskowym rytmie sceny łapiące zdarzenia tamtej nocy to kawał polskiej historii, od której coraz bardziej się odwracamy. Jest w tym również kontekst czasu inscenizacji. Wajda, oskarżany



o oportunizm wobec PRL, był w czasach gierkowskiej malej stabilizacji budzicielem sumień. To dotyczy i innych jego filmów, a serial „Z biegiem lat, z biegiem dni”, gdzie pojawia się Piłsudski, to już wprost przecucie odrodzenia w Sierpniu 1980.

I tak odbierałem wtedy, jako licealista, tamtą „Noc listopadową”. To wprost do mnie śpiewał w kapitalnej sekwencji teatru w teatrze Mieczysław Grąbka jako aktor Kudlicz: „Polacy, żadnych marzeń”. Wtedy wezwania do czynu miały bezpośrednie odniesienie, więc sens. A dziś?

Piotr Zaremba

Bas stulecia

Żegnamy Bernarda Ładysza. Śpiewak, obdarzony jednym z najpiękniejszych głosów operowych XX w., aktor filmowy, artysta estradowy zmarł 25 lipca 2020 r., dzień po swoich 98. urodzinach. Podczas wojny walczył w 6 Brygadzie Wileńskiej AK, po aresztowaniu przez NKWD dwa lata spędził na zsyłce w Kałudze



ADAM CIESIELSKI

Wilno, gdzie urodził się 24 lipca 1922 r., ukształtowało jego pogodny kresowy charakter. Moralne podstawy dała zaś rodzina. Także ona wydaje się odpowiadać za uzdolnienia wokalne. „Ojciec, matka, dwóch starszych braci i ja, plus wuj i dwie ciotki śpiewaliśmy w chórze Hasło prowadzonym przez prof. Jana Żebrowskiego w kościele ojców Bernardynów” – wspominał po latach Ładysz. To był ceniony zespół, na ogólnopolskim konkursie w Warszawie w latach 30. znalazł się zaraz za renomowanym stołecznym Towarzystwem Śpiewaczym „Harfa”.

Muzyka była od święta, w dni powszednie przyszły as operowy uczył się w gimnazjum mechanicznym, potem na tajnych kompletach, a poza szkołą pracował w piekarni. Skrzętną egzystencję niezasobnej rodziny rze-

mieślniczej (ojciec był szewcem – kamasznikiem) przerwała wojna. Podczas okupacji 17-letni Bernard wstąpił do AK i przyjął pseudonim Janosik. W 1944 r. brał udział w operacji „Ostra Brama”. Po zdradzieckiej akcji Sowieci znaleźli się wśród kilku tysięcy akowców rozbrojonych przez NKWD i, po odmowie złożenia radzieckiej przysięgi wojskowej, siłą wcielonych do 361 pułku zapasowego Armii Czerwonej w Kałudze. Polacy pracowali przy wyrębie lasów. Warunki były surowe, wyżywienie – skandaliczne. Dwa spędzone tam lata wystarczyły, by Ładysz stracił zęby. Mimo że przez jakiś czas pracował jako kucharz. Wtedy spotkał go w obozie inny wileński akowiec, późniejszy słynny dyrygent i kompozytor Henryk Czyż. Szukał głosu basowego do zespołu estradowego, tworzonego przez siebie w drugim roku uwięzienia, gdy poluzowano restrykcje, bo zaczęła się rysować perspektywa powrotu do kraju.

„– Ty tu kucharz? – zapytałem tęgiego draba przy kotle...” – relacjonował Czyż w swej książce „Pamiętam jak dziś” (wyd. Tryton Warszawa, 1991). „Mówią – ciągnąłem, że masz głos i ładnie śpiewasz. Zostaw gary. Jeśli jest tak, jak mówią, to załatwię ci przeniesienie do naszego batalionu i będziesz u mnie

za artystę. No, pokaż, co umiesz! Zaśpiewaj! Patrzył na mnie spode łba. – A ty się odp...! Powiedział krótko i odwrócił się tyłem”. Po dalszej wymianie podobnych obozowych uprzejmości kucharz, szczękając garnkami i pokrywkami, zaśpiewał jednak „Ave Maria” Schuberta. „– O, cholera!?” – mruknąłem, gdy skończył. – Co, cholera? – zapytał rzeczowo. – Ale ty masz oddech! I kopyto! – Jak, kopyto?... – Kawał głosu. Niesamowity! – A, kawaleczek... śmiał się. – Biorę! – powiedziałem. – Co bierzesz? – Ciebie do zespołu. – Wiesz ty, co ty możesz sobie wziąć? Ty możesz sobie... – podszedł do mnie blisko. – Mnie tu kuchnia ważna! Ot, co! Pomachał mi chochlą przed nosem. – A śpiewać... czasem mogę. [...]. Gościnnie. Ręka? – Ręka. [...] Tak poznałem Bernarda Ładysza. I śpiewał nam wspaniale. Różne zapamiętane arie i piosenki”.

Drogi znajomych z obozu miały się przeciąć jeszcze wielokrotnie. Do Polski wrócili w 1946 r. Ich rodziny opuściły Wilno wcześniej, miasto stało się stolicą radzieckiej już Litwy. Ojciec Bernarda zmarł na dworcu w Toruniu, gdy tylko wysiadł z pociągu repatriacyjnego. Jego mały przesiedleńczy dobytek rozkradziono, gdy żona poszła załatwiać sprawę pochówku. Wdowa z synem znalazła się w Warszawie.

„Przyjechaliśmy do miasta gruzów i ono nas przysparnęło. Stało się moją drugą – obok Wilna – miłością” – wspominał Ładysz. 24-latek próbował uzupełnić opóźnioną przez wojnę i obóz edukację, ale na zajęcia w szkole muzycznej miał czas dopiero po pracy zarobkowej dla utrzymania siebie i matki. Szczęściem trafił do Zespołu Pieśni i Tańca Wojska Polskiego, gdzie z członka chóru szybko stał się solistą. – Miał nie tylko fantastyczny bas-baryton i zdolności aktorskie, ale też niesamowitą pamięć muzyczną, pozwalającą błyskawicznie opanować role i długo ich nie zapominać – relacjonuje mi Bohdan Kezik – kolega Bernarda z sekcji basów w zespole WP, potem kompozytor, band lider i producent, także filmowiec, autor m.in. dostępnego w sieci dokumentu o Ładyszu „Siedząc na ganku”.

W 1950 r. śpiewak dostał angaż do Opery Warszawskiej. Debiutował w partii księcia Gremina w „Eugeniuszu Onieginie” Czajkowskiego. Była to nie-duża rola w nagłym zastępstwie, ale interpretacja kilkunastuminutowej arii uświadomiła wszystkim, że oto pojawił się ktoś wyjątkowy. Na miarę legendarnego Adama Didura. Jako solista stołecznej sceny stworzył dużo wielkich kreacji – od pamiętnego Skołuby w „Strasznym dworze” Moniuszki, poprzez Filipa II i Wielkiego Inkwizytora w „Don Carlosie” Verdiego, do Borysa Godunowa Musorgskiego, podziwianego nie tylko w Warszawie, lecz także w Teatrze Bolszoi w Moskwie. Objechał kulę ziemską. Był jednym ze znaczących wykonawców polskiej muzyki współczesnej, m.in. śpiewał w prapremierach „Pasji wg św. Łukasza”, „Jutrzni” i „Diablach z Loudun” Krzysztofa Pendereckiego.

Parnas światowej muzyki zdawał się dlań na wyciągnięcie ręki, gdy w 1956 r. bezapelacyjnie wygrał silnie obsadzony międzynarodowy konkurs wokalny w Vercelli. Z miejsca zapragnęła go mieć La Scala, przed sezonem w Mediolanie proponując wyjazd z zespołem na tournée po RFN i do Palermo. Ten plan zrealizował Polak tylko w części, nie podejmując na dobre tak obiecującej współpracy z La Scala.

Podobnie nie wykorzystał szansy, jaką dało mu w 1959 r. zaproszenie do

Londynu na nagranie dla Columbii „Łucji z Lammermoor” Donizettiego z będącą u szczytu sławy Marią Callas w roli tytułowej, z plejadą innych gwiazd i orkiestrą pod batutą słynnego Tullio Serafina. Ta płyta jest białym krukiem do dziś, a Ładysz nagrał też dla Columbii – jako pierwszy Polak – własną płytę z ariami Verdiego i kompozytorów rosyjskich.

W obu przypadkach zastanawiający był brak ciągu dalszego, czyli regularnej współpracy z czołowymi scenami i koncertami płytowymi. Artysta tłumaczył to potem rozmaicie. A to niechęcią dyrekcji Opery Warszawskiej do jego zagranicznych inicjatyw, a to donosami zawistnych kolegów lub intrygami urzędników. To możliwe, ale zdaje się, że i sam śpiewak – po trudnych przeżyciach wojennej młodości – nie był psychicznie gotowy na radykalną zmianę trybu życia. Zostać spokojny etat i sukcesy w Teatrze Wielkim, rozstać się z ukochaną matką (własnej rodziny wtedy jeszcze nie założył) i urokami życia towarzyskiego w Warszawie, na rzecz bezustannego pilnowania się, szlifowania formy, życia na międzynarodowych salonach? To

było trudne do pogodzenia z jego bujną kresową naturą.

Jeszcze jeden motyw. W końcówce wspomnianego filmu „Siedząc na ganku” Ładysz konstatuje, że brak mu było dobrego menedżera czy impresaria, który by go zmotywował do międzynarodowych ambicji. Racja! Więcej szczęścia mieli tu młodsi od Ładysza Teresa Żylis-Gara i Wiesław Ochman, którzy zdolali zabłysnąć nie tylko w Europie, lecz i w USA, torując drogę obecnym naszym gwiazdom Metropolitan Opera z Aleksandrą Kurzak, Piotrem Beczałą, Tomaszem Koniecznym czy Mariuszem Kwietniem na czele.

Bernard Ładysz, nie kwapiąc się do światowego wyścigu po sukces, często śpiewał w Polsce. Jeszcze kilka lat temu pojawiał się na estradach. Ostatnio zdrowie nie pozwalało nestorowi polskiej wokalistyki na występy. Dożył pięknego wieku. Zostawił nam swoje nagrania. ▀

Bernard Ładysz – zostanie pochowany 5 sierpnia 2020 r. w alei zasłużonych Cmentarza Wojskowego na Powązkach. Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się o godz. 10 w Katedrze Polowej Wojska Polskiego.



Fot. MAC

Musimy się iskać

Twórcą robota, który postawiony przy łóżku starszych ludzi w domu opieki miał im służyć do zamawiania posiłków, komunikowania się z personelem i do rozrywki, ponosił symptomatyczną klęskę. Samotni ludzie używali tylko jednej funkcji tej maszyny: kontaktowali się z pracownikami zajmującymi się obsługą klienta. Starsi ludzie chcieli porozmawiać o tym, co ich trapi, opowiedzieć historie ze swego życia, poskarżyć się na nieodwiedzające ich dzieci. Dlaczego przedsiębiorca stworzył tę maszynę? Ponieważ miał wyrzuty sumienia: oddał swych rodziców do domu spokojnej, samotnej starości.

Czego potrzebuje dzisiejszy świat? Miłości. Empatii, więzi, współczucia, współodczuwania, przyjaźni. Pandemia postawiła przed nami potężne wyzwanie: rodzinne relacje. Jaki będzie tego efekt? Polaryzacja. Część rodzin zostanie rozbita, część połączy jeszcze silniejsze niż dotąd więzi.

Człowiek jest stworzony do relacji, bez drugiego człowieka choruje. Jesteśmy małpami, musimy mieć siedemdziesiąt małp, których twarze rozpoznajemy, kilka, którym ufamy, i jedną, której z wzajemnością pozwalamy się iskać.

Z tej potrzeby powstają barwy. Kibice piłkarscy, emo, punki, K-popy. Ubierają się tak, by się wyróżniać i roz-

poznawać. Ustawki kibolskie, Pruszków kontra Wołomin, wieś z wsią na zabawie w remizie, to również odrobinę przejaśkrawiona forma okazywania wierności swej wspólnotie. Nowożytność jest czasem alienacji, dystrofii tkanki społecznej, indywidualizacji. W Odessie ludzie przesiadują na ławeczkach przed blokami, w Polsce można jeszcze wpaść do przyjaciół bez zapowiedzi. Społeczeństwa zachodnie są już złożone z monad. Rozwody, zanik więzi międzypokoleniowych, utrata instynktu macierzyńskiego, takie są efekty postępu rozkładu.

Kiedy słyszę: „Warszawskie dzieci idziemy w bój, za każdy kamień twój, stolico damy krew”, mam łzy w oczach, choć jako prowincjusz na 40-letnim już wygnaniu nie trawię Warszawy. Czy nasze dzieci mają ideę, za którą będą skłonne zaryzykować życie? Czy będą czuły porywy serca, czy wiedzą, co to jest miłość ojczyzny? Wiedziały to Orleńskie, wiedzieli to uczniowie i harcerze, którzy we wrześniu 1939 r. bronili Grodna przed atakującymi miasto sowieckimi tankami, w tym 13-letni syn służącej, Tadzik Jasiński, który poszedł do walki z butelką z benzyną i którego po pojmaniu bohaterowie sowieci przywiązali do pancerza czołgu, i który zmarł na rękach matki, po tym jak, ryzykując życie, wyrwały go z rąk bestialców polskie sanitariuszki.



ROBERT TEKIELI

„Mój ziomo bandyta, mój ziomo zoofil, mój ziomo artysta/ Mój ziomo pedofil, mój ziomo nekrofil, mój ziomo intelektualista/ My to patointeligencja, katolickie przedszkola, strzeżone osiedla/ Kurator angielski i gegra, kurator, dilerka dla sportu, nie po to, by przetrwać/ Szkoła, korty, dodatkowe zajęcia, korki, butelki i elki na zdjęciach/ Harnaś, perelka w plenerkach, rzucamy chu...mi i niejemy mięsa/ Dobrze wychowani, wciążą jest kreska w bawelnianych sweterkach/ My to patointeligencja/ W wakacje pod palmą albo na językowych campach/ Opener w Sopocie i emka w apartamentach przy nakryciu co święta/ Łosoś, jazzowa kolęda, srebrna choinka, podłoga w prezentach/ Zaczęłam tu robić te rapy, bo miałem już k...wa tak dość tego ciepła i piękna/ A nigdy nie chciałem być biały i zawsze tu chciałem być gang sta/ I zawsze tu chciałem być z bloków i zawsze tu chciałem być z getta/ I pier...lę mamę i tatę za to, że oddaliby mi nerki, wątroby i serca/ My to patointeligencja”.

Jak szybko zapomnieliśmy ten tekst. Spoko. Popatrzmy w twarze Gajcego, Baczyńskiego i „Inki”.



WŁĄCZ KANAŁ

W POLSCE PL



CYFROWY
POLSAT

NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825

Warte

KULTURA

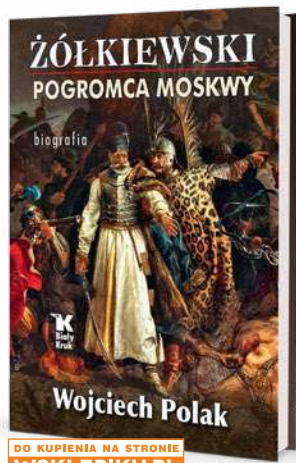
Czego trzeba dokonać, by po 400 latach wspominano twoje nazwisko w Polsce z zachwytem i dumą, a w Rosji ze strachem? Bohatersko zginąć dla ważnej sprawy, a wcześniej iść na polach dziesiątków bitew wroga, który po latach upokorzył Rzeczpospolitą i do dziś miesza się w nasze sprawy wewnętrzne, próbując przywrócić swą nad nami dominację.

Stanisław Żółkiewski, triumfator spod Kłuszyna, wzór chrześcijanina, żołnierza i patrioty. Surowy i ascetyczny, energiczny, hojny, wobec żołnierzy wymagający. Dobrze wykształcony, pracowity, obowiązkowy. Zgodnie z duchem Rzeczpospolitej, w której katolicy, prawosławni, kalwiniści i luteranie żyli zgodnie obok siebie, fundował nie tylko kościoły katolickie, lecz i prawosławne. Miał również swoje wady, ale legenda je zapomniała. Poniósł śmierć w obronie ojczyzny, ale wcześniej, po zwycięskiej bitwie pod Kłuszynem, wkroczył do Moskwy, gdzie car Wasyl Szujski został zdeponowany i na tron wstąpił polski król Władysław. Zwycięstwo zostało zaprzepaszczone w wyniku ambicji króla Zygmunta III, który pragnął carskiej korony dla siebie.

Mieliśmy polskie orły na Kremlu, czemu nie czcimy zwycięstwa 1610 r.? Czemu żaden uczeń, w przeciwieństwie do rosyjskiej elity, nie pamięta tej daty?

Polski patriotyzm ma charakter heroiczny, romantyczny. Innego patriotyzmu polskiego po prostu nie ma. Ta słuszna uwaga autora książki, Wojciecha Polaka, otwiera nas na zrozumienie prawdy, że pamięć historyczna, czczenie pamięci poległych pod Grunwaldem, Kircholmem, Wiedniem, Warszawą, poległych w powstaniach oraz Żołnierzy Wyklętych, robotników Poznania, Gdyni, Radomia nie jest nekrofiliją. Abyśmy tak myśleli, chcąc drapieżni do dziś sąsiedzi. Ta pamięć heroicznych ofiar doprowadziła nas do Solidarności i w efekcie do dzisiejszej wolności. Stanisław Żółkiewski powoli odzyskuje należne mu miejsce w polskim Panteonie. Polecam jego biografię.

„Żółkiewski, pogromca Moskwy”, Wojciech Polak, Biały Kruk, 2020



DO KUPNIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

w elfy, które rzekomo wysłuchują jej modlitw i to dziwactwo czyni ją w świecie przedstawionym filmu wyjątkową. Powodem do dumy są w tej fabule: inwersje seksualne, transwestytyzm i rozwiązłość seksualna. Odbiegające od normy jest normalne: przecież wszyscy się różnimy. W produkcji Netflix zagraли m.in. Will Ferrell, Conchita Wurst, Pierce Brosnan oraz Demi Lovato.

Reż. David Dobkin, komedia/muzyczny, USA, 26 czerwca 2020



W Polsce mamy pierwszą markę modową, która zaprezentowała kolekcję swoich ubrań i dodatków w formie digital. Instalacja wideo „Modern Art” Deni Cler to propozycja na jesień–zimę 2020/21. Kolekcja jest piękna, kobieca, elegancka, a to rzadkość w dzisiejszym świecie mody.

Inna, światowa tym razem i rozchwytywana marka – Jacquemus – jako jedna z nielicznych pomimo pandemii zorganizowała pokaz swojej kolekcji wiosna–lato 2021 w tradycyjny sposób. Pokaz był piękny, zmysłowy i sielski. Modelki chodziły po wybiegu wśród pola zbóż, a goście siedzieli dwa metry od siebie. Jacquemus, który nie kryje swego homoseksualizmu, pokazał kreacje dla kobiet, które są kobiece, a dla mężczyzn zdecydowanie męskie, i dlatego o tym tu piszę.

Ostrzegam

Na platformie Netflix pojawiają się w tym roku nowe sezony dwóch satanistycznych seriali. „Lucyfer” traktuje o nieszczęśliwym i znudzonym Lucyferze Morningstarze, który porzuca stanowisko władcy piekieł i udaje się do Los Angeles, gdzie zostaje właścicielem luksusowego klubu nocnego. Drugą, okultystyczną propozycją jest seria „Chilling Adventures of Sabrina”, o czarownicy, w której żyłach płynie krew wiedźm i ludzi. Próbuje

ona łączyć życie zwykłej śmiertelniczki z rodziną tradycją: przynależnością do Kościoła nocy. Czarna magia, okultyzm, satanizm, czyli wszystko to, co powinni ludzie oglądać, szczególnie młodzi.

Robert Tekieli, Polskie Radio



Niewarte „Eurovision Song Contest: Historia zespołu Fire Saga”, czyli Netflix o Eurowizji.

Brzmi prząśnie? Na ekranie zakochana para, która marzy o wygranej. Nie umieją grać, są okropni i dlatego dostają się do finału. I oczywiście robią wielką karierę. Komedia jest kiczowata jak sama Eurowizja, wiadomo, lud jest ciemny i każdą tandetę kupi. Pokazuje dwójkę mocno dorosłych ludzi, którzy wciąż mieszkają ze swoimi rodzicami, a Sigrít (Rachel McAdams), wokalistka, wierzy

POP KULTURA

POP KULTURA



Wojciech Stanisławski

Blokowisko w cieniu moreli

*Sowiecka arkadia, smutek małego miasta,
kilkanaście życiorysów splecionych jak
wyszzywanka i zapis transformacji,
o której okrucieństwie nie mamy pojęcia.
Razem wzięwszy – świetna ukraińska proza*

Jednym ze szlachetnych komunalów sztuki pisarskiej jest zalecenie, by – jeśli chcesz, żeby czytał cię cały świat – opisać swoją wioskę. I owszem, wielu się to udało: za sprawą literatury tysiące zaczęły wyobrażać sobie Nymburk Hrabala i Salinas Faulknera, Grochów Stasiuka i Brętowo Huellego. Stada czytelników z nosami w ulubionych książkach tropią miejsca, w których łączą się rzeczywistość materialna i wyobrażona, cegła z akapitem, potykając się o krawężniki Jeżyc, Dublina, Wilna.

Ale Czerkasy? Jakies postsowieckie miasto fabryczne, z wszelką przeszłością sprzed 1917 r., szlachecką, kozacką czy carską, zmieloną na gruz przez buldożery? Labirynty blokowisk, trujący krąg fabryk plujących acetonem, zbyt szerokie, koślawe ulice, rozjeżdżane przez ciężarówki?

A jednak. Od kilku tygodni wędruję Czechryńską i Kałaszyką, jeżdżę od pętli do pętli jedynką, która „płynęła, zatapiając się w czarnym cieniu kasztanowców, wpadała do starych kwartałów z jednopiętrowymi domami, pojawiała się gdzieś na końcu bulwaru, za politechniką, w rejonie cukrowni, robiła kilka ostrych powrotnych zakrętów i zatrzymywała się na ulicy Czterdziestolecia Października, która ciągnęła się wzdłuż chruszczówek i sektora budownictwa jednorodzinnego po jednej stronie, a wzdłuż fabryk i zakładów po drugiej”, nie wynurzam się z podwórek, które zarosły, pod hojnym słońcem południa, morelami i orzechami, słucham opowieści o wujku Koce, o Aliku i jego ojcu, o zapitym Sani, o rodzinie Wilszuszkinów, o dziewczynach, o bójkach,

o rodzinie Katorżnych. Cały ten kosmos 200-tysięcznego miasta gdzieś pośrodku Ukrainy został poskładany z okrucichów przez Artema Czecha.

Zwykle, kiedy myślimy o trudzie archeologa składającego naczynie z okrucichów, wyobrażamy sobie malowaną amforę, ale przecież z podobną delikatnością kleić można drzazgi zwykłej flaszki. Czech zdobył się na tę czułość, wiernie opisał Czerkasy i siebie porzucającego wiek niewinności: nastolatka ze wszystkimi wtajemniczeniami i odczarowaniami, które niesie przepoczwazanie się dziecka w dorosłego, i Czerkasy, jedno z setek miast w Sowietach porzucających „lata osiemdziesiąte, które dawały poczucie bezpieczeństwa i zapewniały dostatek. Letnie noce były ciepłe i gwiaździste, a zimy długie i spokojne. Wykrochmalone prześcieradła i miękkie poduszki, kotlety z kury, słodka herbata i kruche ciasteczka, kilku wiernych przyjaciół, z którymi zawsze można zapalić przed kłatką schodową. Czegoż więc jeszcze pragnąć? Po co masz szukać kłopotów, jak masz kochającą mamę, pełne talerze i lodówki? Ambicje? Pragnienia? Cele? Na co i komu to potrzebne?”. To się skończyło: przyszedł czas ambicji, kleju,

dealu, mafii, pokątnych „hurtowni klimatyzatorów”, wojny, marskości i śmierci.

W tym kalejdoskopie opowiadań najbardziej pewnie zdumiewające, przypominające mistrzostwo starych matrosów, wznoszących trójmasztowce we wnętrzu butelki, jest wpisanie znanej formuły literackiej w zupełnie nieoczekiwane ramy. Bo pożegnanie z arkadią dzieciństwa to wątek wiecznie żywy: każdy wspomina jakiś ład, który zetlał lub się rozpruł, czasem zostają po nim strzępy, a czasem bliźny. Ale żeby umieścić taki ład w sercu sowieckiego blokowiska? „Mężczyźni stali w kolejce, aby pograć w domino, tłumy młodych matek z wózkami krążyły wokół placu zabaw, zgrażając chłopczyków z każdego kolejnego pokolenia obsiadały huśtawki, ławki, płoty, drzewa, chowały się za palisadkami oraz na dachach kotłowni i garaży, oddając się swoim szalonym zabawom, łamiąc ręce i obdzierając sobie kolana aż do samych kości”.

Okazuje się, że i tak być mogło. W świetnym, choć ostatnimi laty zamęczanym przez politruków wierszu „Państwa fałszystowskie” Wiktor Woroszyłski opisywał kraje, w których „słońce wschodziło i zachodziło o normalnej porze opromieniając / dachy domostw i wzgórz zieloną

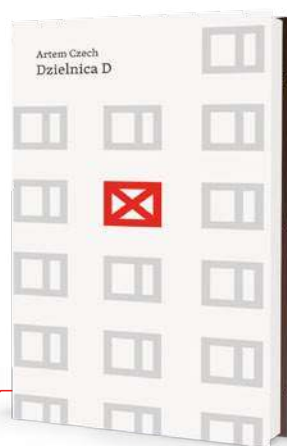
ort ekstremalny

spadziństwo W oborach / łagodnie ryczało bydlę Matki o świecie / budziły dzieci całując je w czoło Ojcowie wracając z pracy / ze znużeniem radosnym w kościach wdychali / dym domowego ogniska zaś po obiedzie / zasypiali w fotelu bądź też majsterkowali wytrwale – po czym nieublaganie, z żarem Katona, pointował: „A jednak były to państwa faszystowskie”.

Tak i tu. Mężczyźni stali w kolejce, aby pograć w domino, dzieciaki goniły się w cieniu moreli i orzechów, na starszą panią z drugiego piętra pokrzykiwano „banderówka”, bo starsi pamiętali, że wróciła z łagru i z jakiego paragrafu tam siedziała; ale na stołach piętrzyły się kotlety z kury, parowała herbata i nie były takie złe te lata 80., nie były złe... A jednak było to państwo sowieckie i warto przeczytać opis jego ostatnich lat dokonany z perspektywy blokowskiego w cieniu moreli – nie, żeby wybaczyć lub uszlachetnić jego istnienie, ale żeby zrozumieć sieroty po nim.

Szczególnie – w zestawieniu z kolejnymi laty, które przeczesaly Czerkasy

grzebieniami nędzy, emigracji i narkotyków orającymi tak głęboko, że nawet z doświadczeniem dramatów polskiej transformacji lat 90. trudno to pojąć. Takiego obrazu prowincjonalnego



Artem Czech, „Dzielnica D”,
przełożył Marek S. Zadura,
Warsztaty Kultury, Lublin 2020

miasta na Ukrainie przełomu wieków – Ukrainie niby barwnej (dżinsów ile chcieć, nowe marki samochodów, reklamy piwa w telewizji i możliwość zarobku w Szwecji), a jednocześnie rozpaczliwie biednej i zagubionej – nie mieliśmy jeszcze w książkach ani u teatralizującego świat Andruchowycza, ani u Żadana z jego twardo ciosanymi bohaterami.

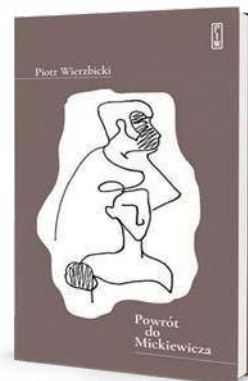
Artem Czech połączył wiele: kroniki wielkiej przemiany (z socjologiczną niemal ostrością diagnoz) i spłot kilkunastu życiorysów, które ustępują sobie nawzajem miejsca na pierwszym planie narracji, tworząc wzór misterny jak najpiękniejsza wyszywanka. Do tego dwuznaczny liryzm małego miasta, jak z Czechowicza czy Grochowiaka – i wreszcie tłący się, nigdy nieukoiony żal za podwórkiem sprzed 30 lat. Kiedy zerkasz z tej perspektywy na grupkę skupioną wokół piaskownicy lub stołu do ping-ponga, z daleka nie odróżnisz: komsomolcy to, zadymiarze czy walkonie? 

Mickiewicz: zbiór definicji

Każdy (niemal) musiał o nim napisać i już na poziomie tytułów często widać przekonanie, że w nim całość (a przynajmniej całe doświadczenie polskie) się zawiera. „M jak Mickiewicz”. „Mickiewicz, czyli wszystko”. „Mickiewicz – słowo i czyn”. To z tych najbardziej „holistycznych” tytułów, bo oprócz Łubińskiego, Rymkiewicza i Witkowskiej mamy wszak i tuziny innych, od nader podniosłych („Droga geniusza”) przez symboliczne („Monsalwat”) i pocieszne („Mickiewicz jako socjalista”) po specjalistyczne: są studia o świecie owadów w III części „Dziadów”, istnieje praca o aspektach prawnych sporu Horeszków z Soplicami, jest, jak wiadomo, dziesięciotomowy słownik języka Mickiewicza, słownik jego rymów i kalendarium. Co robić: z niego my wszyscy.

A teraz oddech, teraz esej w szczupłym tomiku niemal in octavo, szlachetnie powściągliwym typograficznie. Skoro tyle już zostało powiedziane,

wystarczy zapisać tylko to, co własne i najważniejsze zarazem, wydobyć w tużninie rozważań najbardziej zasadnicze rysy osobowości, charakteru, dzieła i wpływu Mickiewicza. „Morze faktów, spraw, także zagadek. W tym zwięzłym eseju dotykam tylko paru obszarów newralgicznych” – deklaruje autor i daje nam to, co obiecuje, równoważniki zdań oczyszczone z ozdobności. Rzadko zdarzają się uznanie i podziw tak wolne od zbytecznych komplementów, tak niewymuszone i tak zwięzłe. To zestaw definicji wydobywających istotę rzeczy, pokazujących daremność wysiłków „popularyzatorów”, by już nie mówić o autorach bryków. „Wierny w przyjaźni, życzliwy młodszemu poetom, uczynny w serwowaniu krytycznych uwag, pochwalał, dobrych rad. Lubi konfitury. Pije wino”. „Na Alpach w Splügen» – przykryty idyllą ból fatalnego nieziszczenia. »Do matki Polki« – groza. »Śmierć Pułkownika« – czułość. »Reduta Ordona« – potęga”. To esej



Piotr Wierzbicki, „Powrót do Mickiewicza”,
PIW, 2020

olimpijski niemal w dystansie do spraw dzisiejszych, dystansie, spod którego jednak raz i drugi błyska sławetne niczym Rózczałka Maćka Dobrzyńskiego, pamiętne z traktatów i pamfletów żądło.

„Powrót do Mickiewicza” jest tak fenomenalnie skondensowany, że wydaje się niemal klonem innej PIW-owskiej serii, „Poetów do kwadratu”. Jeśli da początek nowej serii – szkicem Wierzbickiego o największych polskich autorach – skorzystamy na tym wszyscy. 



O wartości trzeba się bić

Żeby istniało kino ambitne i poruszające sprawy ważne, nieślizgające się po powierzchni i niepoprzedzające na efekciarskim ogrywaniu utartych ścieżek, potrzebny jest widz, który będzie chciał czegoś więcej. A od lat obserwujemy kroczącą rewolucję ideologiczną i światopoglądową, która ma wychowywać odbiorców mniej wymagających od siebie i od świata

Z Arkadiuszem Gołębiewskim, reżyserem filmowym, twórcą i dyrektorem Festiwalu „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci”, rozmawia Marcin Wikło

Dlaczego jeśli dzisiaj mówimy o sztuce lub kulturze, to pierwszym skojarzeniem jest lewica, a konserwatystom jakoś trudno przychodzi robienie dobrych filmów i spektakli?

Arkadiusz Gołębiewski: Polska nie jest tutaj odosobnionym przypadkiem. Trend jest taki, że wszędzie na świecie o wartości konserwatywne trzeba się wręcz bić, nie przychodzi to łatwo. Przyjęło się, że sztuka, szczególnie kino, jest zdominowana przez nurt lewicowy i mam wrażenie, że Europa to sobie już odpuściła, pogodziła się z tym.

Gdzie tkwi błąd? Czego brakuje prawicy?

Przyczyn trzeba szukać głębiej i wcześniej. Bo żeby istniało kino ambitne i poruszające sprawy ważne, nieślizgające się po powierzchni i niepoprzedzające na efekciarskim ogrywaniu utartych ścieżek, potrzebny jest widz, który będzie chciał czegoś więcej. A od lat obserwujemy kroczącą rewolucję ideologiczną i światopoglądową, która ma wychowywać odbiorców mniej wymagających od siebie i od świata.

topoglądową, która ma wychowywać odbiorców mniej wymagających od siebie i od świata. W odwrocie są dziś widzowie, którzy potrafią samodzielnie myśleć i chcą sięgać do historii, opierać się na niej i świadomie wybierać. Odcina się nas od naszych korzeni i wpycha w nowy styl życia, gdzie nie rodzina ma być centrum, gdzie odważnie wkraczają skrajności, gdzie ideologia LGBT przemycą i skutecznie propaguje swój światopogląd. Środowiska konserwatywne muszą się nauczyć skuteczniej walczyć o młodego człowieka. Przekaz z domu już nie wystarcza.

Diagnoza słuszna, ale ja chcę od pana usłyszeć, dlaczego tak się dzieje. Dlaczego dosyć znany raper pokazuje w swoim teledysku przez sekundę obrażający prawicę szyfr ośmiu gwiazdek i natychmiast robi się z tego niemal ruch społeczny?

To jest przez lata konsekwentnie budowana machina. Dzięki niej tacy artyści mają przed sobą rozwiniętą au-

tostradę do sukcesu. Prawdziwy problem robi się na wyższych uczelniach, gdy młody człowiek wychodzi spod skrzydeł rodziny i zaznaje samodzielności, ale w otoczeniu lewicowego naporu. Czy będzie w stanie się przed nim obronić, gdy wokół ma większość zauroczoną taką ideologią? Strona liberalna, lewicowa nie tylko skupia niemal wszystkie instytucje zajmujące się edukacją, lecz posiada również cały mechanizm wyłuskiwania talentów, wspierania możliwości debiutów. To spuścizna po PRL, której jesteśmy zakładnikami. To bardzo ważne, a wręcz kluczowe, zwłaszcza gdy chodzi o ten duży ekran, filmy fabularne. W zawód wejdą na poważnie tylko ci, którzy się dostosują. Ten dyktat narzucają ci, którzy najgłośniejsze krzyczą o wolności, to przykry paradoks.

No dobrze, ale szkoła to początek. Można z niej wziąć warsztat, a też samości nie stracić.

Tak, ale to bardzo trudne, bo presja środowiska jest ogromna i trzeba

mieć niezwykle silny charakter, by wytrwać w pionie. Silniejsza często jest pokusa pójścia na skróty. A środowiska konserwatywne przez te 30 lat nie miały możliwości, a może i nie potrafiły zbudować alternatywy dla liberalno-lewicowego zaplecza polskiej kinematografii. Nie ma tzw. inkubatorów, gdzie twórcy o wrażliwości konserwatywnej mogliby szlifować swój talent, robić pierwsze filmy. Mechanizmy rynkowe w tym nie pomagają. Potrzebne jest realne, zdecydowane wsparcie państwa. W sferze produkcji filmów dokumentalnych to się dzieje przy udziale PISF czy TVP, ale na te fabularne dzieła ciągle czekamy...

Druga kadencja rządów Zjednoczonej Prawicy i konserwatysty nie mają narzędzi? Nie ma pieniędzy?

Problem leży gdzie indziej, pieniądze nawet by się znalazły i one są. Ale ten łańcuch przerwany jest wcześniej. Wspominałem już o systemie edukacji czy zapleczu produkcyjnym dla środowiska zajmującego się tematyką historyczną, konserwatywną. Potrzebuje ono stałego i systematycznego wsparcia. Słucham czasem wypowiedzi różnych ważnych osób zarządzających mediami lub kulturą, że „prawica nie ma ciekawych propozycji”. To bardzo niesprawiedliwa ocena. Owszem środowisko twórców mających odwagę podejmować tematy konserwatywne jest bardzo rozdrobnione, nie ma zaplecza, ale posiada duży potencjał twórczy, który jako szef festiwalu NNW czy też członek Zarządu Stowarzyszenia Twórców dla Rzeczypospolitej obserwuję. Wiele projektów odpada w fazie pomysłu, ponieważ autorowi często brakuje czasu, środków na rozwój projektu, dopracowanie wniosków aplikujących o środki.

Pańskie Stowarzyszenie Scena Kultury od lat jest taką protezą w działaniach instytucji państwa. Jest pan organizatorem wielu projektów edukacyjnych przeznaczonych dla środowisk filmowych, z których najważniejszy jest Festiwal „Niepokorni Niezłomni Wyklęci” w Gdyni

(XII edycja odbędzie się w dniach 24–27 września br.). To tam prowadzone są warsztaty Pitching Forum, warsztaty filmowe, panele dyskusyjne, promocje książek i cały projekt Młodzi dla Historii. To miejsce, które ma wychowywać filmowców?

Przez ostatnie 12 lat formuła festiwalu się zmienia, stale reagujemy na potrzeby środowiska filmowego. Dziesięć lat temu powołaliśmy projekt MDH, w którym opieką filmową otaczamy gimnazjalistów i licealistów, a od pięciu lat mocno inwestujemy w środowisko zawodowców. Profesjonalistom stwarzamy szansę pozyskania środków, a początkującym twórcom pomagamy stworzyć dobry scenariusz, co ma im utorować drogę do sponsorów. Projekt edukacyjny trwa cały rok, a finał naszych działań będzie na festiwalu w Gdyni. Efekty są bardzo budujące. Z ponad 50 projektów uczestniczących przez te pięć lat w Pitchingach blisko połowa zyskała finansowanie.

To będzie już XII edycja festiwalu, który z roku na rok poszerza swoją ofertę. Co nowego w tym roku?

Mimo zagrożenia nawrotem pandemii zdecydowaliśmy się na organizację stacjonarnej formuły festiwalu. Będzie to połączenie tradycyjnej formy z relacjami online. Taka hybryda. Dlatego czekamy na zgłoszenia (e-mail: biuro@festiwalnnw.pl) od osób, które chciałyby dostać od nas bezpłatną akredytację, dzięki której będzie można śledzić relacje internetowe i oglądać pokazy konkursowe. Najważniejszą zmianą w tym roku jest konkurs filmów fabularnych. Liczba i jakość zgłaszanych obrazów z całego świata bardzo pozytywnie nas zaskoczyły. Cieszy mnie, bo to będzie kolejna ważna gałąź festiwalu, ten pomysł zrodził się już kilka lat temu. Idziemy też z duchem czasu i chcemy promować formy jeszcze bardziej nowoczesne, stąd kolejna nowość, czyli rywalizacja twórców wideoklipów. Łącznie pięć konkursów, w tym dwa międzynarodowe. Szykuje się znów spore przedsięwzięcie. „NNW” już dawno przestał być ciekawostką na

mapie polskich festiwali filmowych, dziś jest realnym miejscem debaty nie tylko o kinie i kulturze, lecz również o kształcie Polski i Europy.

To będą też cztery dni próby zasypywania pewnych podziałów? Festiwal „NNW” wyciąga rękę do twórców z „tamtej strony”?

Staramy się robić to od samego początku istnienia festiwalu. Tematyka festiwalu jest wymagająca i niesie pewne ryzyko. Ostatnimi laty środowiska liberalne starają się zepchnąć nas do narożnika. Są pewne łatki, które łatwo się przyczepia. Oznacza się nie swoich i to wystarczy, by wiedzieć, z kim nie należy się stykać, by nie podpaść swojemu środowisku. Gdyby pokusić się o sprawiedliwą ocenę zawartości Festiwalu „NNW”, to nie ma powodu, by nas wytykać palcami.

Polityka jest barierą w świecie sztuki?

Czasem czytam groteskowe wypowiedzi poważnych filmowców, że Festiwal „NNW” ma zmarginalizować lub też wypchnąć z Gdyni festiwal filmów fabularnych. Ani to nie jest możliwe, ani tego nie chcemy. Nie mamy kompleksów, ale znamy swoje miejsce. Z jednej strony jest to więc śmieszne, ale pokazuje, że stajemy się chyba niewygodni dla części liberalnego środowiska filmowego, skoro tak straszy naszych partnerów. Także twórców, często moich kolegów, którzy z jednej strony gratulują mi przedsięwzięcia, a z drugiej zarzucają, że wpisuję się w linię polityczną obecnie rządzących i filmu zgłosić nie chcą.

Te skrajne postawy da się jakoś skleić?

W odpowiedzi mogę tylko dalej robić swoje. Zapraszam wszystkich do udziału w festiwalu i przekonania się, jak jest naprawdę. Wierzę, że wyjadą wzmocnieni i wewnętrznie bardziej wolni. Od początku chciałem, by to było miejsce nie tylko do oglądania filmów, ale też ważnych dyskusji w gronie, które gwarantuje spór, bo tylko w taki sposób może powstać coś ciekawego.



Prowokacja władz czy rosyjskie przygotowanie do inwazji?



MAREK BUDZISZ

Personel znajdującego się pod Mińskiem sanatorium Białoruszczka od razu wiedział, że z przybyłymi coś jest nie tak. Grupa 33 mężczyzn z Rosji, ubranych w stroje

przypominające polowe uniformy wojskowe, nie zachowywała się tak jak zwykli rosyjscy kuracjusze. Nie pili alkoholu, nie odwiedzili dyskoteki, czym sprawili zawód licznie gromadzącym się tam okolicznym niewiastom, a przy tym chodzili grupkami i dokładnie zbadał otaczające sanatorium tereny.

W nocy z 28 na 29 lipca wszystko się wyjaśniło, kiedy specjalny oddział A białoruskiego KGB, wspierany przez OMON, wpadł do sanatoryjnego budynku i aresztował wszystkich nietypowych kuracjuszy. Jak następnego

dnia poinformowała oficjalna Agencja Bielta, zatrzymani to rosyjscy najemnicy z dobrze znanej Grupy Wagnera. Niedługo potem Aleksander Łukaszenka zwołał nadzwyczajne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa, w trakcie którego szef KGB Waleryj Wakulczyk powiedział, że Rosjanie pojmani w sanatorium i jeszcze jeden najemnik, Białorusin, mający też obywatelstwo rosyjskie, ujęty na południu kraju, przybyli po to, aby wzniecać zamachy i zdestabilizować sytuację wewnętrzną w kraju po zaplanowanych na 9 sierpnia wyborach



Nie można wykluczyć, że mamy do czynienia z akcją, której celem jest zarówno osłabienie fali opozycyjnej aktywności, jak i przygotowanie się obozu władzy prezydenta Łukaszenki do „prawidłowego policzenia” głosów po wyborach 9 sierpnia

Fot. Sergei Gritsa/PEASTNEWS

prezydenckich. Sekretarz białoruskiej Rady Bezpieczeństwa Andriej Rawkow doprecyzował, że zatrzymani to głównie snajperzy, specjaliści od materiałów wybuchowych i sieci IT. Niedługo potem się okazało, że 14 z tej grupy dało się poznać w Donbasie, gdzie walczyli po stronie separatystów, co zresztą potwierdził wkrótce pisarz Zachar Prilepin, twórca i dowódca jednego z „batalionów ochotniczych”, oraz ukraiński portal Mirotworiec, zajmujący się dokumentowaniem tego, co się działo na wschodzie kraju.

Po posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa wydarzenia zaczęły się rozgrywać w tempie przyspieszonym. Białoruś wzmocniła swą wschodnią granicę, kolumny wozów pancernych, które zmierzały wcześniej do Mińska, zostały przesunięte na wschód, a Rawkow w trakcie spotkania z kandydującymi w wyborach prezydenckich, które odbyło się następnego dnia, miał powiedzieć, że Rosja formuje dwie grupy dywersyjne, jedną pod Pskowem, drugą pod Newlem. Zaznaczył też, że zdaniem białoruskich służb specjalnych na terenie kraju znajduje się jeszcze 170 rosyj-

skich dywersantów, najprawdopodobniej uzbrojonych, a to oznacza, że muszą być zachowane zwiększone środki bezpieczeństwa, w tym ograniczenia w zakresie przedwyborczych zgromadzeń.

AKCJA BIAŁORUSKICH SŁUŻB

Cała sprawa wzbudza od początku немало wątpliwości. Rosyjskie media, ale też część białoruskich analityków, otwarcie sugerują, że zatrzymanie wagnerowców to prowokacja przygotowana przez białoruskie służby specjalne. Przypominają przy tym wydarzenia z lat ubiegłych, szczególnie historię z Białym Legionem, rzekomo terrorystyczną organizacją zdemaskowaną w trakcie fali protestów, która przelała się przez Białoruś w 2017 r. w związku z kontrowersyjną „ustawą o trutniach”, która nakładała podwyższone podatki na oficjalnie niepracujących obywateli Białorusi, faktycznie żyjących z tego, co zarobią poza granicami. Akcja, która rozpoczęła się z wielkim szumem wczesną wiosną, jesienią umarła śmiercią naturalną, nie wniesiono nawet oskarżeń pod adresem zatrzymanych

wówczas konspiratorów, którzy, jak głosiła propaganda, mieli przygotowywać Majdan. Zwolennicy teorii o działaniach białoruskich władz powołują się na materiał, który już w czerwcu opublikował kanał Nexta na platformie Telegram, w którym informowano, że miejscowe KGB przystąpiło do organizowania „grubej prowokacji”. O tym, że władze wiedziały o przybyciu wagnerowców na Białoruś, mają też świadczyć słowa samego Aleksandra Łukaszenki, który w trakcie odwiedzin Brygady Specjalnego Przeznaczenia w Mirnoj Górze powiedział, że „wszystkie wojny zaczynają się od ulicznych protestów, demonstracji, a potem następują majdany. Na Majdan, jeśli naszych brak (u nas mało majdanowców), przywozi się ich z zewnątrz. To profesjonalni żołnierze, bandyci, którzy są specjalnie w tym celu szkoleni, szczególnie w ramach prywatnych firm wojskowych”. Łukaszenka swe proroctwa wygłaszał akurat tego dnia, kiedy w Mińsku pojawili się ludzie z Grupy Wagnera.

DECYZJA KREMLA

Rosyjskie media lansują tezę, że najemnicy z Grupy Wagnera po prostu byli na Białorusi przejazdem (za wiedzą i zgodą tamtejszych służb specjalnych) do jednego z krajów afrykańskich lub też odpoczywali, co w przeszłości wielokrotnie się zdarzało. Za taką wersją wydarzeń przemawiałoby to, że mieli oni przy sobie, pokazane przez państwową telewizję, materiały pisane po arabsku oraz walutę Sudanu i karty telefoniczne z tego kraju, gdzie ludzie Prigożina zajmują się ochroną wydobycia złota. Jednak w białoruskich niezależnych mediach słychać też głosy, że takie wyjaśnienie jest mało wiarygodne, bo dotychczas wagnerowcy przewożeni byli samolotami wojskowymi z międzylądowaniem w rosyjskiej bazie w Syrii. Ich obecność na Białorusi świadczyć może o czymś innym, a zgoda na pojawienie się w Mińsku musiała być udzielona przez Kreml. Rosyjski dziennik „Kommiersant” napisał z kolei, że zatrzymanie wagnerowców w Mińsku jest rodzajem przedstawienia odgrywanego na użytek liderów państw zachodnich. Ma ich ono przekonać, że suwerenność kraju jest zagrożona, za moment nastąpi

rosyjska agresja i w związku z tym nie należy przesadzać z praktykowaniem demokracji.

OSŁABIĆ OPOZYCJĘ

Tego samego dnia, kiedy poinformowano o zatrzymaniu rosyjskich najemników, doszło do aresztowania, które może świadczyć o tym, iż władze przygotowują jeszcze inne „niespodzianki”. Zatrzymany został Witalij Szklarow, rosyjski politolog i specjalista od marketingu politycznego, który doradzał przebywającemu w areszcie opozycjnemu blogerowi Siarhiejowi Cichanouskiemu. Niejako „w zastępstwie” w wyborach prezydenckich kandyduje jego żona Swietłana, która obecnie stała się, dość niespodziewanie, liderem ruchu sprzeciwu wobec rządów Aleksandra Łukaszenki. Jak informuje niezależny portal tut.by, zatrzymanie Szklarowa może być związane z próbą przedstawienia go jako tego, który faktycznie kieruje, na zlecenie Moskwy i za jej pieniądze, kampanią wyborczą opozycji. Nieco wcześniej pojawiły się też rewelacje ukraińskiego portalu InformNapalm o tym, iż Cichanouski przebywał po 2014 r. na anektowanym Krymie i jest powiązany z rosyjskimi kręgami nacjonalistycznymi.

W dzień kiedy zjednoczone wokół Swietłany Cichanouskiej sztaby opozycji planowały zorganizowanie największego w historii niepodległej Białorusi wiecu wyborczego w Mińsku, władze „z powodów bezpieczeństwa” poinformowały o ograniczeniach. Pokaz siły opozycji i nastrojów Białorusinów, którzy chcą zmian, jest z pewnością nie na rękę Łukaszence i być może w całej sprawie chodzi o osłabienie impetu opozycji. O ile w prowincjonalnym Homlu na wiec Cichanouskiej przyszło kilkanaście tysięcy osób, o tyle w czterykrotnie większym Mińsku można było liczyć na dziesiątki tysięcy. A to oznaczać mogło tylko jedno – ludzie zobaczą, jak wielu Białorusinów chce zmian i tej fali nie będzie można łatwo zatrzymać. Zapowiedziano wprowadzenie bramek i ogrodzenie terenu. Ale już same ostrzeżenia o ryzyku zamachów bombowych

i krążących po kraju moskiewskich snajperach może osłabić chęć Białorusinów do uczestnictwa w wiecach wyborczych opozycji. Równolegle władze zapowiedziały wprowadzenie ograniczeń i blokady internetu. Zresztą już wcześniej organizatorzy wieców wyborczych mówili o dziwnych zakłóceniach łączności.

Nie można zatem wykluczyć, że mamy do czynienia z akcją, której celem jest zarówno osłabienie fali opozycyjnej aktywności, jak i przygotowanie się obozu władzy do „prawidłowego policzenia” głosów 9 sierpnia. Na rzecz takiej interpretacji przemawia wiele działań podjętych w ostatnich dniach przez lojalną wobec Łukaszenki szefową Państwowej Komisji Wyborczej Lidziję Jarmoszynę. Nie zarejestrowała ona

Zdaniem białoruskich służb specjalnych na terenie kraju znajduje się jeszcze 170 rosyjskich dywersantów, najprawdopodobniej uzbrojonych, a to oznacza, że muszą być zachowane zwiększone środki bezpieczeństwa, w tym ograniczenia w zakresie przedwyborczych zgromadzeń

olbrzymiej większości obserwatorów zgłoszonych przez opozycję, a ostatnio poinformowała, że robienie zdjęć kartom wyborczym jest dopuszczalne, ale wyłącznie po uzyskaniu zgody szefów komisji wyborczych, co w praktyce wydaje się mało prawdopodobne. A na tym polega pomysł opozycji, by głosy zostały uczciwie policzone i nie nastąpiły „cuda nad urną”. Każdy głosujący powinien zarejestrować się na stronie inicjatywy Uczciwi Ludzie, która znajduje się na serwerach poza granicami

kraju, poza zasięgiem władz, i ma już 550 tys. uczestników, sfotografować swoją kartę wyborczą oraz członków swojej rodziny i wysłać ją. Jednak jeśli łączność komórkowa i internet zostaną zablokowane, to pomysłu tego nie uda się zrealizować.

ROSJA NIE PRZEBACZA

Andriej Porotnikow, prowadzący Belarussian Security Blog, napisał, że to, co się stało, będzie miało „katastrofalny” wpływ na stan relacji rosyjsko-białoruskich. O ile wcześniej Łukaszenka skrzętnie unikał oskarżeń pod adresem rosyjskich władz, mówiąc jedynie o tym, że oligarchowie kryjący się za Gazpromem dążą do destabilizacji sytuacji na Białorusi, o tyle obecnie tego rodzaju narracja nie będzie możliwa, jako że Grupa Wagnera podlega operacyjnie rosyjskiemu Sztabowi Generalnemu, a decyzje o jej „misjach” zapadają na Kremlu. Wciągnięcie jej przez władze Białorusi „w pułapkę” zostanie w Moskwie odebrane jako akt wrogi, z arsenału tych, o których się nie zapomina ani nie przebacza. Łukaszenka musiał to wiedzieć i w związku z tym to, co się stało, trzeba traktować w kategoriach jasnego sygnału wysłanego na Kreml – jesteśmy gotowi do konfrontacji, a nawet całkowitego zerwania relacji.

Nie można też odrzucić wersji, że w rzeczywistości szykowana była jakaś rosyjska prowokacja. Przemawia za tym to, iż 14 spośród zatrzymanych to ludzie wcześniej aktywni w Donbasie, walczący po stronie separatystów w batalionach ochotniczych. Możemy zatem mieć do czynienia z czymś na kształt „prywatnej inicjatywy”, podobnej do tego, co działo się na Ukrainie w 2014 r.

Do wyborczej niedzieli 9 sierpnia na Białorusi pozostało już tylko kilka dni, ale wydaje się, że jeszcze wiele może się wydarzyć, a dzień głosowania nie uspokoi sytuacji. Zwolennicy opozycji na wiecach śpiewają przelutniane na rosyjski „Mury”. Wkrótce się przekonamy, czy sierpień 2020 r. na Białorusi będzie przypominał ten sprzed 40 lat w Polsce.



MÓJ BANK JEST TAM, GDZIE JA

- Swoje sprawy załatwiam bezpiecznie przez aplikację IKO lub serwis iPKO.
- Mogę korzystać z wideorozmowy z doradcą – usługa dostępna dla klientów firmowych, a wkrótce także dla klientów indywidualnych.



Bank Polski
dzień dobry

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora.

Usługa doradcy online (wideorozmowa) dotyczy wsparcia dla firm oraz ogólnych informacji o produktach i usługach PKO Banku Polskiego. Wideorozmowy mogą być realizowane w dni robocze, w godzinach 9:00-17:00. Więcej o usłudze, w tym o jej dostępności, na pkobp.pl i w oddziałach naszego banku.

Poślizg na chińskim murze

Sekretarz stanu USA
Mike Pompeo



JAN ROKITA

W polityce ważne zwroty dokonują się czasem niepostrzeżenie. Tak się dzieje zwłaszcza wtedy, gdy uwaga opinii publicznej koncentruje się na krzykliwym i teatralnym aspekcie życia publicznego. Niemal tuż po drugiej turze wyborów, gdy przez Polskę przetaczała się jeszcze fala skrajnych uczuć wywołanych ich wynikiem, Mateusz Morawiecki obwieścił na łamach angielskiej gazety o zasadniczej reorientacji polskiej polityki. 17 lipca konserwatywny „Daily Telegraph” opublikował artykuł polskiego premiera, z pozoru poświęcony tematyce nowoczesnych systemów cyfrowych. Skądinąd wiemy, że rządowi piarowcy lubią zamieszczać w mediach zachodnich teksty podpisane nazwiskiem premiera, promujące

go nie tylko jako zwolennika, lecz i eksperta od „innowacji” i „modernizacji”.

Tym razem jednak polityczne znaczenie tekstu Morawieckiego polegało na tym, że nie owijając w bawełnę, po raz pierwszy oznajmia się w nim, iż Polska odmówi chińskiemu koncernowi Huawei prawa udziału w budowie systemów cyfrowych piątej generacji (tzw. 5G). A nawet więcej: że Polska uważa, iż cała Unia Europejska winna tak postąpić, gdyż (jak pisze premier) „wybór jest tu oczywisty”. Ze względu na bezpieczeństwo musimy wybierać „zaufanych europejskich dostawców” zamiast „firm kontrolowanych przez autorytarny reżim”. Wedle Morawieckiego istotą naszego wyboru jest bowiem odpowiedź na pytanie: „Komu ufamy?”.

AMERYKAŃSKA PRESJA

Polityczny kontekst i wybór miejsca tej publikacji nie jest bynajmniej przypadkowy. Artykuł Morawieckiego ukazał się trzy dni po tym, jak brytyjski minister ds. cyfryzacji, kultury i mediów Oliver Dowden wydał zakaz zakupów sprzętu produkowanego przez Huawei

przez brytyjskich operatorów telekomunikacyjnych oraz nakazał im całkowite usunięcie zainstalowanych do tej pory chińskich elementów systemu 5G najpóźniej do 2027 r. W Izbie Gmin Dowden wyjaśniał angielskiemu posłom, że Zjednoczone Królestwo dostosowuje w ten sposób swoje regulacje do sankcji nałożonych przez USA. Z właściwą sobie bezceremonialnością odniósł się do tego kroku Donald Trump, oznajmiając triumfalnie, iż decyzja Anglików to w gruncie rzeczy jego zasługa, sugerując tym samym „ograniczoną suwerenność” rządu w Londynie.

Warto pamiętać, że Brytania długo wahała się w kwestii Huawei, początkowo wprowadzając tylko ograniczone obostrzenia co do bezpieczeństwa technologii 5G, bez wykluczania jednak ofert Huawei. Zaostrzenie stanowiska gabinetu Borisa Johnsona jest oczywistym skutkiem presji amerykańskiej. Polska jest więc drugim unijnym krajem, który choć nie wprowadza (na razie) formalnych zakazów wobec chińskiej technologii, tekstem publicystycznym premiera ogłasza swoje analogiczne stanowisko, apelując zarazem

17 lipca konserwatywny „Daily Telegraph” opublikował artykuł polskiego premiera



Czy stanięcie premiera

Mateusza Morawieckiego w awangardzie wojny z wpływami firmy Huawei oznacza, że ze „strategicznego partnera” Polska może się stać dla Pekinu „strategicznym wrogiem”

do całej Unii o solidarność. Można postawić pytanie, czy gdy idzie o tak strategiczną decyzję państwa, jak wejście w ostry konflikt z Pekinem, publikacja artykułu w zagranicznej gazecie jest najlepszą formą ogłaszania nowej polityki. Jest przecież jasne, że deklaracja Morawieckiego z „Daily Telegraph” to nie tylko kwestia technologiczna, lecz koniec pewnego ważnego etapu polskiej polityki zagranicznej.

POLSKA NA SZLAKU

Pamięć w polityce nigdy nie była cenną. Jednak pomimo to rządząca w Polsce prawica powinna jakoś wyraźniej i otwarciej podsumować wieloletni okres swej fascynacji wizją bliskich więzi Polski z komunistycznymi Chinami. W jakiejś mierze była to zapewne próba podążania drogą wytyczoną już przez Viktora Orbána, którego „zwrot na Wschód” stał się niemal symbolem nowej polityki Węgier. W Polsce ów entuzjazm chiński zaczął się (to trzeba przyznać) jeszcze pod władzą Platformy, a symboliczna w tej mierze była dalekowschodnia podróż prezydenta

Komorowskiego, którego pod niebiosa wychwalał wtedy prochiński lobbysta Radosław Pyffel za to, iż „nie rozdrażniał Pekinu poruszaniem kwestii łamania w tym państwie praw człowieka”.

Ale prawdziwy chiński entuzjazm ogarnął polską politykę dopiero wraz ze zwycięstwem wyborczym PiS. Do Pekinu z autentycznym politycznym zapalem udał się w roku 2015 Andrzej Duda, niezwłocznie po swoim wyborze na głowę państwa. Następnego roku Xi Jinping był już w Warszawie, gdzie wraz z Dudą ogłaszał „polsko-chińskie” strategiczne partnerstwo. To wtedy ówczesny wicepremier Morawiecki zapowiadał po rozmowach, iż Chińczycy będą w Polsce budować „terminale przeładunkowe, drogi i linie kolejowe”.

Entuzjazmu nie zmniejszała wcale kompromitacja chińskiego koncernu Covec przy budowie autostrady A2 ani afery przemysłowa Bank of China, który dla owej firmy wystawiał gwarancje finansowe. W 2017 r. premier Beata Szydło polecała do Pekinu na wielką propagandową imprezę Xi Jinpinga, który budował właśnie wtedy zręby nowej tyranii wzorowanej na rządach

Mao. Impreza miała promować chińską Inicjatywę Pasa i Szlaku (BRI), którą w Polsce ogłoszono wówczas niemal jako zapowiedź cudu gospodarczego dla naszego kraju. Miała ona otwierać przede wszystkim wielkie horyzonty przed polskim eksportem, przyspieszając rozwój naszego kraju i tworząc miejsca pracy.

Po trzech latach od tamtej wyprawy Szydło na inaugurację BRI realia nie wyglądają dobrze. Owszem, wymiana handlowa postąpiła wyraźnie naprzód, ale dlatego, że komunistyczne Chiny jeszcze bardziej uzależniły nas od załewu swoich produktów. Stosunek polskiego importu do eksportu pogorszył się do poziomu relacji 7:1, a ujemne polskie saldo handlowe sięga aż 20 mld dol., co przy całych obrotach handlowych w granicach 28 mld dol., trzeba przyznać, wygląda dość żałośnie. Gospodarczych realiów nie da się oszukać polityczną ideologią. Reglamentując ściśle swój rynek wewnętrzny, a na zewnątrz z impetem walcząc o wolny handel, Chińczycy sprytnie stworzyli taki system, w ramach którego nie sposób z nimi wygrać. Nie przypadkiem Trump musiał rozpocząć wojnę celną (i nie tylko celną), aby wymusić jaką taką poprawę relacji handlowych z Chinami nawet tak silnej gospodarki jak amerykańska.

ANTYCHIŃSKI GLOBALNY FRONT

Brytyjski zakaz dla Huawei i artykuł polskiego premiera tylko o kilka dni uprzedziły przygotowywaną od dawna, fundamentalną mowę sekretarza stanu Mike’a Pompeo, wygłoszoną 23 lipca w Bibliotece i Muzeum Prezydenta Richarda Nixona w Yorba Linda (Kalifornia). Odwołując się do przyszlórocznego 50-lecia tajnej misji Henry’ego Kissinger’a, z jaką Nixon wysłał go do Pekinu, Pompeo ogłosił ostateczne fiasko polityki osławiania komunistycznych Chin, jaka wtedy została rozpoczęta. A globalny konflikt z Pekinem określił mianem „zimnej wojny nowoczesnych czasów”. „Wskrzesiliśmy upadającą gospodarkę chińską po to tylko, aby zobaczyć, jak Pekin kasa ręce, które go wykarmiły” – mówił szef dyplomacji USA, wywołując burzę okłasków

Foto: David Swanson/EPA/PAF

zgrupowanej republikańskiej publiczności (w tym rodziny Nixona). I kontynuował: „Jeśli chcemy, aby wiek XXI był wiekiem wolności, a nie stuleciem Chin, jak to sobie wymarzył Xi Jinping, musimy skończyć z tym ślepym zaangażowaniem”. Pekin to ożywiony przez Zachód nowy Frankenstein, co według Pompeo miał zauważyć już dawno temu pelen obaw sam prezydent Nixon.

Od czasu pamiętnego reaganowskiego „imperium zła” (odnoszącego się, jak wiadomo, do Sowietów czasu Breżniewa), Ameryka nigdy z taką determinacją i takimi słowami nie ogłaszała wejścia w frontalny spór z innym mocarstwem nuklearnym. Ale co najważniejsze, Pompeo odwołał się do sławnej mowy z 1947 r. jednego ze swoich poprzedników – George’a Marshalla, który w obliczu rozpoczynającego się wtedy globalnego konfliktu z Sowietami zwracał się do całego świata: „Jeśli staniecie po stronie Ameryki, będziecie mogli liczyć na Amerykę”. Trudno zaiste o bardziej dosadne wyrażenie politycznego zamiaru zbudowania globalnego frontu antychińskiego pod wodzą Waszyngtonu. Liczne zaś posunięcia rządu Trumpa w ostatnich tygodniach dowodzą, że mowa Pompeo nie jest bynajmniej li tylko przejawem politycznej retoryki. By wspomnieć m.in. o ostrych sankcjach technologicznych, odnowie relacji z Tajwanem, zamknięciu konsulatu chińskiego w Houston, aresztowaniach wysoko postawionych szpiegów, cofnięciu przywilejów finansowych dla Hongkongu czy zapowiedzi powstrzymania militarnych roszczeń Pekinu na Morzu Południowochińskim.

Staniecie w takiej sytuacji przez Morawieckiego w awangardzie wojny z wpływami Huawei oznacza, że ze „strategicznego partnera” (z deklaracji Xi i Dudy sprzed raptem czterech lat) Polska może stać się dla Pekinu „strategicznym wrogiem”. Problem Huawei skupia bowiem w sobie wszystkie kluczowe aspekty politycznej wojny, jaką chińskiej tyranii wypowiedziała Ameryka. Pekin nie daruje nikomu, kto staje dziś u boku Trumpa w zamiarze zduszenia chińskiej perły w koronie cyfrowej

gospodarki. Dla całej Unii, z Niemcami i Francją na czele, stanowisko w kwestii Huawei staje się papierkiem lakmusem gotowości podporządkowania się amerykańskiemu wezwaniu do zimnej wojny. Można przypuszczać, że Europa będzie teraz wyczekiwać na to, czy wybrany w listopadzie następny prezydent USA z równą energią przystąpi do budowania antychińskiej koalicji. Pomimo jednak całej anormalnej nienawiści, jaką żywi amerykańska lewica do Trumpa, w sprawie Pekinu lewicowy Joe Biden wydaje się coraz wyraźniej podzielać asertywność swojego konkurenta. A chińska polityka Trumpa ma duże i dwupartyjne poparcie na waszyngtońskim Kapitolu.

Podobnie jak Ameryka czy inne państwa unijne Polska musi znaleźć sposób, aby obronić się przed geometrycznie rosnącym deficytem w handlu z Chinami, ale to nie znaczy, że powinna teraz zrywać wszelkie gospodarcze związki z Pekinem

UTRZYMAĆ POLE MANEWRU

Nie ulega dziś wątpliwości, że pisowski entuzjazm wobec Pekinu był politycznym błędem. Zwłaszcza że wiązał się także z ostantacyjnym porzuceniem moralnego aspektu polskiej polityki, tradycyjnie wspierającej choćby Dalajlamę i Tybetańczyków. Oczekiwania związane z Pasem i Szlakiem okazały się (delikatnie mówiąc) przesadne, a obecny ostry zwrot Ameryki zmusił polski rząd do całkowitej rewizji własnej polityki. Szkoda tylko, że nie odbywa się to wszystko w asyście poważnej debaty publicznej prowadzonej w Polsce. Przydałby się jakiś uczciwy bilans nadziei i zawodów pokładanych dotąd w przyjaźni z komunistycznymi Chinami.

Przydałby się także spokojny namysł nad tym, co Polska – we własnym narodowym interesie – winna czynić wspólnie z Ameryką w ramach globalnego frontu ogłoszonego przez Pompeo, gdzie zaś możemy utrzymać pewne pole manewru.

Chodzi bowiem o to, że choć wizja świata zdominowanego przez komunistów chińskich istotnie przypomina apokalipsę Witkacego z „Nienasycenia” (Pompeo i Witkacy znaleźliby pewnie wspólny język w tej materii), to długofalowy zwrot całego Zachodu w stronę przewlekłej zimnej wojny z Chinami wcale niekoniecznie musi leżeć w polskim interesie. Nieuchronnie stawałby on bowiem wcześniej czy później pytanie o szanse przeflancowania Rosji na stronę Zachodu w tym konflikcie, co nie od dziś postulują w Unii np. Włosi. Z niedawnego wydania prestiżowego włoskiego magazynu geopolitycznego „Limes”, poświęconego najbardziej strategicznym celom włoskiej polityki, można się dowiedzieć, iż misją cywilizacyjną Italii jest „wykorzystanie obecnej sytuacji tak, aby popchnąć Rosję w stronę Zachodu, uwalniając ją z chińskich objęć”. Tej kwestii dotyczyło także pierwsze pytanie, jakie po mowie w Yorba Linda postawił sekretarzowi stanu dyrektor tamtejszej biblioteki i muzeum Nixona, lecz Pompeo dyplomatycznie wywinął się od odpowiedzi.

Podobnie jak Ameryka czy inne państwa unijne Polska musi znaleźć sposób, aby się obronić przed geometrycznie rosnącym deficytem w handlu z Chinami, ale to nie znaczy, że powinna teraz zrywać wszelkie gospodarcze związki z Pekinem. W każdym razie relacje z nowo wyłaniającym się azjatyckim mocarstwem stanowiąc będą na przyszłość jedną z najtrudniejszych łamigłówek polskiej polityki.

Kiedy w 2015 r. Andrzej Duda wybrał się na wycieczkę po oblodzonym chińskim murze, poślizgnął się tam tak mocno, że trzeba go było ratować przed upadkiem. Fotografia tamtego poślizgu prezydenta na szczycie muru obiegła wówczas świat. Dziś może stanowić symbol poślizgu, w jaką wpadła rozpoczęta wtedy polityka.

POZNAJ 365 TWARZY BUDAPEST

📍 PARISI UDVAR

*Spice
of Europe*

WWW.SPICEOFEUROPE.COM

Index na indeksie

Odejście większości zespołu redakcyjnego z najbardziej opiniotwórczego portalu na Węgrzech to wynik zamachu rządu na wolność słowa czy rezultat wojny domowej w obozie opozycji?



GRZEGORZ GÓRNY

Media lewicowe i liberalne w Europie biją na alarm, ostrzegając przed Viktorom Orbánem, który przejmuje kontrolę nad kolejnymi środkami masowego przekazu na Węgrzech. Koronnym dowodem ma być zwolnienie redaktora naczelnego najbardziej poczytnego, a zarazem krytycznego wobec Fideszu portalu internetowego Index.

Szabolcs Dull otrzymał wypowiedzenie 22 lipca, a wkrótce wraz z nim zdecydowało się odejść z redakcji ponad 70 dziennikarzy, którzy zapowiadają już stworzenie nowego medium. 24 lipca w centrum Budapesztu odbyła się kilkutysięczna demonstracja, któ-

rej uczestnicy protestowali przeciw zmianom w Indexie, wnosząc okrzyki: „Wolny kraj, wolne media”.

Według dominującej narracji za całą akcją stoi Viktor Orbán, który w ten sposób przejmuje kontrolę nad najpopularniejszym i najbardziej opiniotwórczym opozycyjnym portalem. Przy bliższym spojrzeniu sprawa wydaje się jednak wcale nie tak oczywista.

„CAŁKOWITA UTRATA ZAUFANIA” DO NACZELNEGO

Po pierwsze, w portalu nie nastąpiła w ostatnim czasie żadna zmiana właścicielska. Jest on w posiadaniu tych samych podmiotów co do tej pory, kojarzonych raczej z węgierską opozycją.

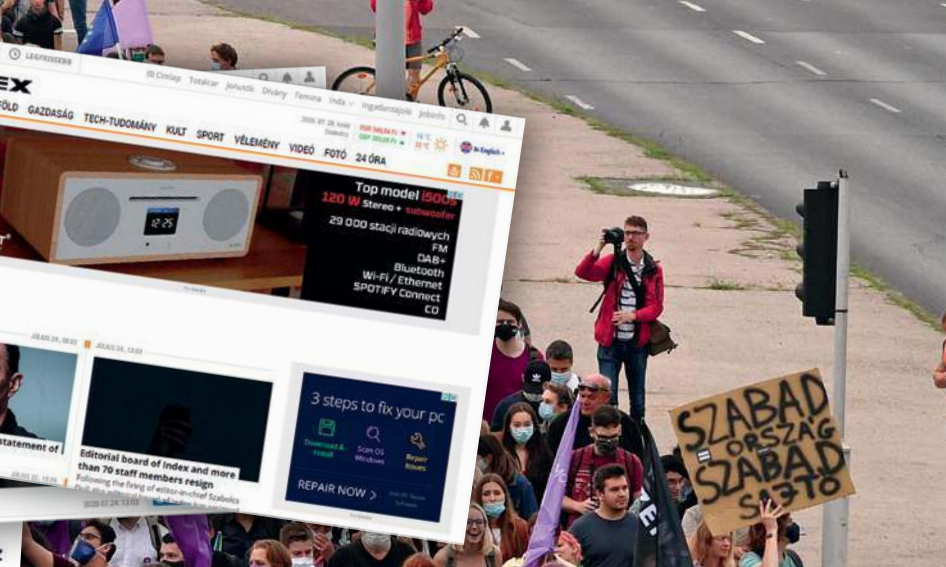
Po drugie, jedyna osoba związana z Fideszem, która pojawia się w tej historii, to przedsiębiorca Miklós Vaszily, który w marcu kupił 50 proc. akcji w firmie Indamedia, zajmującej się obsługą reklamową portalu Index, jednak nie mającej wpływu na funkcjonowanie redakcji.

Po trzecie, głównymi antagonistami w sporze wewnątrz Indexu są dwaj sympatycy opozycji: przewodniczący rady nadzorczej László Bodolai oraz redaktor naczelny Szabolcs Dull. W ostatnich tygodniach obaj brali udział w wielu zamkniętych dyskusjach dotyczących zmian organizacyjnych w portalu. Zdaniem kierownictwa restrukturyzacja jest konieczna, by medium utrzymało swoją rentowność.

Okazało się jednak, że treść poufnych rozmów wyciekła do konkurencyjnych portali: 24.hu i hvg.hu. Bodolai zarzucił Dullowi, który najmocniej sprzeciwiał się projektowanym zmianom, wynoszenie poufnych informacji oraz ujawnianie tajemnic biznesowych. W efekcie rada nadzorcza zdecydowała się zwolnić redaktora naczelnego, ogłaszając „całkowitą utratę zaufania” do niego.

„KONIEC INDEXU, JAKI ZNALIŚMY”

Zdaniem dziennikarzy prawicowego portalu Origo w przypadku Indexu



Fot. Zsolt Szegedy/MTI via AP/East News

mamy do czynienia nie tyle z zamachem Viktora Orbána na niezależne medium, ile raczej z wojną domową w obozie opozycji. Świadczyć może o tym doko-optowanie do zarządu Indexu dwóch nowych członków: Andrása Stankóczygo (dyrektora w telewizji publicznej za czasów postkomunisty Gyuli Horna) oraz Pála Szombathygo (szefa redakcji politycznej w radiu publicznym za rządów Ferenca Gyurcsány). To właśnie oni negocjowali z zespołem redakcyjnym pozostanie w redakcji, jednak nic nie wskórali.

W konflikcie wzięła więc górę jedna frakcja nad drugą. Żadna z nich nie przypuszczała jednak, że spór o wpływ na najbardziej opiniotwórczy węgierski portal wymknie się spod kontroli i zakończy odejściem zespołu redakcyjnego. Bodolai zarzucił Dullowi, że w ostatniej fazie nie dążył on do porozumienia, lecz w porozumieniu z zaprzyjaźnionymi politykami eskalował konflikt. Dull oskarża jednak o to samo Bodolaia.

Jak pisze na łamach czeskiego tygodnika „Respekt” publicysta Tomáš Brolík: „W praktyce oznacza to koniec Indexu, jaki znaliśmy do tej pory. Z pewnością nie zniknie on, lecz jego dalsze istnienie w nowej formie jako medium równie niezależnego, co wpływowego jest zasadniczo wykluczone”.

UDZIAŁ W WOJNIE KULTUROWEJ

W rzeczywistości założony w 2000 r. Index miał już najlepsze lata za sobą. Kiedy powstał 20 lat temu, stał się pierwszym i najważniejszym opiniotwórczym portalem informacyjnym w kraju. Był głównym beneficjentem zmian na rynku medialnym związanych

z pojawieniem się internetu. Z czasem jednak rosła konkurencja, koszty utrzymania przeinwestowanej struktury z rozbudowaną redakcją były coraz większe, klikalność zaś stale malała. Pierwsze poważne kłopoty zaczęły się, gdy w 2011 r. z Indexu odszedł ówczesny redaktor naczelny Péter Uj, który w 2013 r. założył nowy portal – 444.hu, ściągając do niego najlepszych dziennikarzy ze starej redakcji.

Wielu dotychczasowych czytelników zraziła też zmiana ideowa Indexu, której symbolem stała się postać lewicowego dziennikarza Andrása Földesa. Choć od początku portal miał charakter liberalny, to jednak dopuszczał do głosu także opinie konserwatystów. Z czasem jednak stał się aktywnym i coraz bardziej nieprzejednanym uczestnikiem wojny kulturowej, wspierając m.in. postulaty środowisk gejowskich i lobby LGBT, politykę imigracyjną George’a Sorosa czy działania Antify. To spowodowało odpływ części odbiorców do innych mediów.

Za tezę o wojnie domowej w obozie opozycji może przemawiać również to, że po odejściu większości zespołu redakcyjnego kierownictwo portalu zaczęło poszukiwać nowych dziennikarzy nie w środowiskach sympatyzujących z Fideszem, lecz raczej wrogich Orbánowi.

ZMIENIĆ WARUNKI GRY

Węgierski publicysta Zsolt Jeszenszky w portalu Pesti Srácok napisał, że „choć z powodów ekonomicznych (lewicowy) właściciel firmy pozbysła się kiepsko działającego (też lewicowego) kierownika firmy, to jednak całkowicie fałszywa narracja (»prawicowy rząd

niszczy wolność prasy«) znów dociera do elektoratu opozycji poprzez opozycyjne media propagandowe”. Jego zdaniem takim lewicowo-liberalnym portalem, jak 24.hu, hvg.hu czy 444.hu, zależy na fałszywej interpretacji i podgrzewaniu konfliktu, ponieważ w ten sposób wykańczają najgroźniejszego konkurenta, ich pozycja zaś rośnie.

Pál Dippold na łamach „Magyar Hírlap” stwierdził, że kierownictwo Indexu nie poradziło sobie z nowymi warunkami ekonomicznymi, w jakich dziś przychodzi funkcjonować mediom w internecie. W tej sytuacji nie można swych porażek biznesowych składać na karb walki rządu z wolnością słowa, jak próbuje to robić część publicystów.

Sprawa stała się na tyle głośna w całej Europie, że podczas swej wizyty w Portugalii minister spraw zagranicznych Péter Szijjártó został zapytany przez agencję Reutera, dlaczego państwo węgierskie nie wkracza do akcji, skoro przyszłość tak znanego i niezależnego medium jak Index znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie. Szef dyplomacji najpierw upewnił się, czy dobrze rozumie pytanie, a następnie wykluczył możliwość interwencji władz, dodając, że byłoby to ograniczenie wolności prasy.

Zmiany w redakcji Indexu nie są więc wynikiem bezpośredniej ingerencji polityków Fideszu, natomiast można powiedzieć, że są one w jakiejś mierze rezultatem procesów uruchomionych przez obóz rządowy na rynku medialnym. Uwidoczniło się to zwłaszcza w okresie pandemii, gdy – na skutek kryzysu gospodarczego – spadły wydatki reklamowe większości firm. W tej sytuacji najbardziej stabilne okazują się przedsiębiorstwa państwowe, które nie pałą się jednak, by kupować reklamy w atakujących je mediach.

Przeciwnicy Viktora Orbána zachwycają się dziś mistrzostwem Fideszu. Ich zdaniem partia nie musi nawet ingerować w funkcjonowanie największego medium opozycyjnego. Wystarczy tylko, że zmieni warunki gry i w ten sposób wymusza korzystne dla siebie zmiany. Obóz lewicowo-liberalny w Europie się boi, że węgierska prawica daje tym przykład innym konserwatywnym rządów na naszym kontynencie.



Duże inwestycje szansą na szybkie wyjście z kryzysu

Polska, mimo kryzysu wywołanego przez pandemię koronawirusa, to dobre miejsce do inwestycji – oceniają przedstawiciele największych zagranicznych firm. Natychmiastowe działania rządu, by ratować sytuację przedsiębiorców, są wzorem do naśladowania nie tylko w całej Europie. Doceniają je także zagraniczni inwestorzy, którzy wraz z wicepremier i minister rozwoju Jadwigą Emilewicz wzięli udział w debacie Forum wGospodarce.pl

Uczestnicy debat starali się odpowiedzieć na ważne, szczególnie w okresie po pandemii, pytania. Czy Polska jest dobrym miejscem do inwestowania dla kapitału zagranicznego? Czy kapitał polski i zagraniczny korzysta z tarczy? Czy planowane są dalsze działania mające na celu pobudzenie gospodarki?

W trzeciej debacie Forum udział wzięli: wicepremier i minister rozwoju Jadwiga Emilewicz, Marta Pawlak, dyrektor ds. prawnych i polityki publicznej Amerykańskiej Izby Handlowej w Polsce, Wojciech Niewierko, członek zarządu ds. relacji zewnętrznych na Polskę i kraje bałtyckie Philip Morris International,

Adrian Jabłoński, dyrektor ds. korporacyjnych i komunikacji JTI Polska, Andrzej Lachowski, partner zarządzający działem konsultingu Deloitte, Anna Borys-Karwacka, dyrektor ds. korporacyjnych McDonald's, Sławomir Żygowski, prezes zarządu General Electric, Jacek Siwiński, prezes zarządu firmy Velux.



Dział przygotowywany we współpracy
z miesięcznikiem

GAZETA BANKOWA
MIESIĘCZNIK KAPITAŁU ZAGRANICZNEGO W POLSCE

Forum wGospodarce.pl

Redakcja ekonomiczna Grupy Medialnej Fratria, wydawcy portalu wGospodarce.pl i „Gazety Bankowej”, prowadzi w tym roku drugą edycję ogólnopolskiego programu Forum wGospodarce.pl, będącego platformą wymiany doświadczeń dotyczących budowy nowego ładu gospodarczego i lepszego zabezpieczenia strategicznych interesów Polski po pandemii oraz roli inwestorów zagranicznych w wyjściu z kryzysu gospodarczego.

Fot. Andrzej Wilk

WYBORY INWESTORÓW

– Polska radzi sobie całkiem nieźle z tą nieznaną dotąd sytuacją. Doświadczenie sprawia, że jesteśmy przygotowani na kolejne kryzysy. Porównujemy skalę obecnego do tego „wielkiego” z lat 20. ubiegłego stulecia. Mamy nadzieję, że obecne zmagania będą skuteczniejsze i wyjdziemy z nich wszyscy umocnieni – powiedziała wicepremier Jadwiga Emilewicz.

Jak zapewniła, najnowsze dane pozwalają myśleć o stosunkowo niskim bezrobociu na koniec roku, nawet niższym niż zakładane przez rząd, z prognoz wynika też niższy spadek PKB, najmniejszy w odniesieniu do strefy

euro i prawie dwa razy niższy niż w innych krajach Unii. – Do czasu wynalezienia skutecznej terapii będziemy jednak żyć w niepewności – zastrzegła wicepremier.

– To, że inwestorzy zagraniczni czują się w Polsce dobrze, to nie dekret ministra. Wskazują na to ich indywidualne wybory. Polska jest dla nich takim wyborem. 20 lat temu był to wybór spowodowany niskimi kosztami, obecnie decydują o tym inne walory – powiedziała Emilewicz.

Wicepremier przypomniała, że inwestycje z ostatnich lat notowały trwały wzrost. W 2019 r. to niemal 40-proc. przyrost napływu bezpośrednich inwestycji (wobec 2017 r.). Według danych

EY w 2019 r. Polska – z 200 nowymi przedsięwzięciami zaplanowanymi przez inwestorów zagranicznych – zajęła pierwsze miejsce w Europie Środkowo-Wschodniej oraz siódme w całej Europie. – Dzisiaj poziom zaawansowania technologicznego inwestycji jest dużo wyższy niż kilkanaście lat temu, kiedy byliśmy „stołem montażowym Europy” – dodała wicepremier.

Jak podkreślała, część inwestorów, którzy dobrze się w Polsce zadomowili, wykorzystuje polskie zaplecza badawczo-rozwojowe, współpracując nie tylko z uniwersytetami, lecz także budując dostęp do pracowników. – Co ciekawe, numer jeden polskiego eksportu stanowią obecnie usługi biznesowe. – Tu też zadziałała ewolucja. Zaczynaliśmy od prostych call-center, a dzisiaj są to coraz bardziej zaawansowane usługi biznesowe, które świadczą wysokiej klasy specjaliści. Są to pożądane i oczekiwane przez młodych miejsca pracy – powiedziała Jadwiga Emilewicz.

Uczestnicy debaty opowiedzieli o tym, jak ich firmy przeszły przez lockdown. Zdecydowana większość doświadczyła spadków, choć ich wysokość jest uzależniona od branży, w jakiej działają. Przedstawiciele koncernów z udziałem kapitału zagranicznego wyrazili też opinię na temat działań rządu, które stwarzają realne podstawy do pobudzenia inwestycji nad Wisłą po lockdownie.

MIEJSCA PRACY

AmCham reprezentuje 340 firm amerykańskich, które działają w Polsce. – Ostatnio zrobiliśmy badanie wśród firm zrzeszonych w Amerykańskiej Izbie Handlowej i się okazało, że ok. 70 proc. firm operujących w Polsce utrzyma zatrudnienie na niezmiennym poziomie sprzed epidemii. Niemniej jednak trzeba się przyjrzeć poszczególnym sektorom, bo sektor sektorowi nierówny. Dla przykładu sektor usług lotniczych odnotował spadek prawie o 80 proc. zamówień usług – mówiła Marta Pawlak, dyrektor ds. prawnych i polityki publicznej w Amerykańskiej Izbie Handlowej w Polsce (AmCham).

Jak zapewniła, narzędzia pomocowe wprowadzone przez rząd były powszechnie wykorzystywane, głównie do ochrony miejsc pracy. Amerykańskie firmy działające w Polsce dobrze oceniły ten instrument. Jak zapewnia Pawlak, były też sektory, które zyskiwały w czasach pandemii. Takim przykładem mogą być branże wyspecjalizowane w technologiach czy farmaceutyka, które odnotowywały zwiększony popyt na swoje usługi. Zaapelowała o stabilność regulacyjną i nienakładanie na przedsiębiorców dodatkowych obciążeń, w szczególności podatku cukrowego.

Wojciech Niewierko, członek zarządu ds. relacji zewnętrznych na Polskę i kraje bałtyckie Philip Morris International, stwierdził, że czasy kryzysu to dobry moment, by zobaczyć, że inwestorzy zagraniczni mają znaczący i pozytywny wpływ na gospodarkę. Dzieje się tak z uwagi na skalę ich biznesu oraz wsparcie, jakiego udzielają małym i średnim przedsiębiorstwom, przyczyniając się do ich dalszego rozwoju.

Mimo to, jak przyznał przedstawiciel Philip Morris International, firma też odczuła skutki pandemii: – Zauważyliśmy trend spadkowy, w niektórych miesiącach nawet 30-proc. – mówił Wojciech Niewierko. Jego zdaniem jedną z głównych przyczyn tych spadków było zamknięcie granic i całkowite wstrzymanie turystyki.

Jak zapewnił, firma od samego początku pandemii miała na uwadze bezpieczeństwo ekonomiczne pracowników i zapewniła ich, że ze względu na koronawirusa nikt nie straci pracy. Pomimo lockdownu wywiązała się też ze wszystkich kontraktów z polskimi partnerami. Jego zdaniem udało się przejść przez ten okres bez większych perturbacji dlatego, że lockdown trwał stosunkowo krótko. Philip Morris w Polsce zaangażował się również w pomoc służbie zdrowia, przekazując 4 mln zł darowizny i przedstawiając część linii w krakowskiej fabryce z produkcji papierosów na produkcję płynu dezynfekującego. Mimo trudnej sytuacji rynkowej firma nie zamierza rezygnować z dalszych inwestycji nad Wisłą i współpracy z polskimi innowatorami z sektora MŚP. Wśród nich

są firmy zaliczane do grona najlepiej patentujących w kraju, dostarczające m.in. rozwiązania technologiczne do produkcji wkładów tytoniowych do podgrzewania w systemie IQOS. Po blisko czterech latach analiz badań naukowych prowadzonych nad tym produktem amerykańska Agencja ds. Żywności i Leków (FDA) przyznała, że dzięki podgrzewaniu, a nie spalaniu tytoniu, IQOS w znacznie mniejszym stopniu niż papierosy naraża użytkowników na działanie substancji szkodliwych. FDA zezwoliła na informowanie o tym fakcie pełnoletnich palaczy w Stanach Zjednoczonych, ponieważ w jej ocenie przyniesie to korzyść w skali całej populacji. Z tego też powodu agenda rządowa USA uznała podgrzewacz tytoniu IQOS za „właściwy dla promocji zdrowia publicznego”.

– Zmieniamy się jako firma w sposób bezprecedensowy. Chcemy się wycofać z produkcji papierosów i zastąpić je lepszymi alternatywami dla palaczy. To realne w ciągu najbliższych 10–15 lat. Warunkiem jest ekosystem solidnych partnerów oraz sprzyjające otoczenie regulacyjne. Dlatego rozwijamy się w kierunku nowych technologii i nauki. A razem z nami rozwijają się nasi polscy partnerzy, wnosząc istotny wkład w naszą globalną transformację. Często byliśmy ich pierwszym dużym klientem w kraju. Teraz eksportują swoje maszyny i technologie produkcyjne na cały świat, w tym do naszych fabryk. Współpraca z nami otwiera im drzwi do wielu firm spoza naszego sektora – skomentował Wojciech Niewierko.

STRATEGICZNE INWESTYCJE

Adrian Jabłoński, dyrektor ds. korporacyjnych i komunikacji w Japan Tobacco International Polska, podkreślał znaczenie branży tytoniowej dla polskiej gospodarki, ale także wskazał tego- roczne wyzwania.

– Polska jest drugim największym producentem wyrobów tytoniowych w Unii Europejskiej. Ponad 80 proc. rodzimej produkcji trafia na zagraniczne rynki, a łączne dochody budżetu państwa z tytułu produkcji i sprzedaży wyrobów tytoniowych w zeszłym roku wyniosły blisko 29 mld zł. Ten rok nie

jest jednak łatwy dla branży, ponieważ oprócz pandemii mierzymy się z 10-proc. podwyżką podatku akcyzowego oraz wprowadzonym w maju z inicjatywy UE zakazem sprzedaży papierosów o charakterystycznym aromacie, które stanowiły w Polsce ok. 30 proc. rynku – wyjaśniał Adrian Jabłoński.

Jak jednak zapewniał, Japan Tobacco International właśnie w Polsce lokuje swoje strategiczne inwestycje. – Zainwestowaliśmy już w naszym kraju ponad 1 mld dol. Co kilka lat otwieramy w Polsce kolejną dużą inwestycję, na której korzystają również lokalni przedsiębiorcy, czy to przy budowie, czy też jako dostawcy. Tworzymy także nowe miejsca pracy i sprowadzamy do Polski nowoczesne technologie. Jako jedyna firma tytoniowa produkujemy w naszym kraju nowatorskie wyroby tytoniowe – mówił dyrektor ds. korporacyjnych i komunikacji JTI Polska.

Pod koniec ubiegłego roku JTI ogłosiło utworzenie w Warszawie swojego kolejnego ważnego przedsięwzięcia. W stolicy powstaje Globalne Centrum Usług Biznesowych, które będzie stanowiło centrum wiedzy dla całej grupy JTI. Pracę znajdzie tam dodatkowe 850 osób, a całkowite zatrudnienie w firmie przekroczy 3 tys. pracowników. – Do dalszego rozwoju z całą pewnością potrzebujemy przewidywalnej polityki regulacyjnej i podatkowej. Liczymy, że wszelkie decyzje administracji państwowej, zwłaszcza te dotyczące kształtowania polityki akcyzowej, nie będą się odbywały z pominięciem głosu branży – dodał Jabłoński.

MODELE BIZNESOWE

Z kolei Andrzej Lachowski, partner zarządzający działem konsultingu w Deloitte, przyznał, że branża, którą reprezentuje, jest „barometrem rynku”. – Stan naszego biznesu jest wypadkową kondycji naszych klientów. Największe skutki pandemii zaobserwowaliśmy w marcu–kwietniu tego roku. W maju nastąpiło wyraźne ożywienie, które daje nadzieję, że pewne spowolnienie, zaobserwowane w pierwszych miesiącach od momentu wybuchu pandemii, uda się nadrobić w drugiej połowie roku. Z niecierpliwością czekamy na koniec



roku, kiedy firmy podliczą swoje wyniki i zaplanują inwestycje na kolejny okres. Plany finansowe na 2021 r. będą najlepszym sprawdzianem tego, jaki rzeczywisty wpływ pandemii miała na poszczególne sektory rynku, oraz pokażą, jakie są prognozy na rok przyszły – komentował szef konsultingu Deloitte.

Zdaniem Lachowskiego jednym z możliwych scenariuszy jest druga fala pandemii, która nadejdzie jesienią. Jednak jej wpływ na gospodarkę będzie mniejszy niż ten obserwowany na początku pandemii. – Jesteśmy teraz zdecydowanie lepiej przygotowani, bo wiemy, z czym się mierzymy. Niemniej nie można wykluczyć, że część firm będzie zmuszona do restrukturyzacji w celu utrzymania wskaźników finansowych na wymaganym poziomie. Przewidujemy, że wiele firm dokona przeglądu swoich modeli biznesowych w poszukiwaniu takich, które najlepiej sprawdzą się na rynku, na którym kontakty międzyludzkie są mocno ograniczone. Na naszych oczach dokonuje się rewolucja cyfrowa, która za sprawą wirusa jeszcze bardziej przyspieszyła. W dwa miesiące zaszła zmiana, której analitycy oczekiwali najwcześniej za dwa lata. Niezależnie od dalszego rozwoju sytuacji dla wielu firm transformacja cyfrowa jest zjawiskiem nieodwracalnym, który zmieni krajobraz rynku znany z przeszłości – mówił Lachowski.

Jak stwierdził ekspert Deloitte, podczas pandemii zmaterializowało się ryzyko nadmiernej koncentracji produkcji. – Duże firmy, kierując się rachunkiem ekonomicznym, masowo przenosiły produkcję do Azji, obniżając tym samym koszty działania i poprawiając konkurencyjność swoich produktów. Teraz widzimy, jakie to niosło z sobą ryzyko. Obecna sytuacja niewątpliwie będzie impulsem dla dużych firm do rozważenia alternatywnych łańcuchów dostaw. Zawrócenie części produkcji do Europy może być dobrym kompromisem między niskimi kosztami produkcji, ciągłością produkcji oraz bezpieczeństwem łańcucha dostaw.

– W tym kontekście Polska jest krajem, który ma olbrzymi potencjał. Jest szybko rozwijającym się rynkiem z dostępem do wyspecjalizowanych kadr. Jest to dla nas bardzo dobry moment, by umocnić się na rynkach międzynarodowych. Dobrym przykładem jest tutaj oddział Deloitte w Polsce, który w ciągu ostatnich kilku lat urósł dwukrotnie, przede wszystkim dzięki eksportowi usług. Kraje zachodnie mają problem demograficzny, a co za tym idzie – braki wśród specjalistów i inżynierów. Polska doskonale wypełnia te luki m.in. w Niemczech, w Szwajcarii oraz innych krajach europejskich – dodał Andrzej Lachowski.

ŁAŃCUCH DOSTAW

Jedną z branż, która najmocniej i w pierwszej kolejności ucierpiała w czasie pandemii jest gastronomia. Jak twierdzi Anna Borys-Karwacka, dyrektor ds. korporacyjnych McDonald's, ta branża „krwawi”.

– Pod naszą marką działa wiele małych i średnich firm, nasi franczyzobiorcy prowadzą 90 proc. restauracji McDonald's w Polsce. W Polsce zlokalizowana jest też większość dostawców dla naszej sieci. Polska jest hubem w łańcuchu dostaw produktów, które wykorzystujemy w naszych restauracjach. Na przykład wołowina w Polsce jest dostarczana do dziewięciu państw w regionie. Pandemia wpłynęła nie tylko na nasz biznes, lecz także na wszystkie podmioty w łańcuchu dostaw. Nasi dostawcy musieli reagować zarówno na to, co się działo u nas, jak i w pozostałych krajach, do których dostarczają swoje produkty – wyjaśniła Borys-Karwacka.

McDonald's zatrudnia obecnie 25 tys. osób, a łącznie ze wspomnianym łańcuchem dostawców daje zatrudnienie aż 45 tys. osób. Jak mówiła Borys-Karwacka, choć restauracje zostały dotknięte skutkami lockdownu, firmie udało się uniknąć zwolnień.

Franczyzobiorcy korzystali z tarczy, pomagała też firma. – Doceniamy dialog

z rządem i błyskawiczną pomoc otrzymaną w ramach tarcz, które pomogły naszym francyzobiorcom utrzymać miejsca pracy – podkreśliła dyrektor Borys-Karwacka.

McDonald's chce szybko wrócić na ścieżkę rozwoju i kontynuować inwestycje zgodnie z harmonogramem. Kilka dni temu udało się otworzyć w Skarżysku Kamiennej pierwszą po pandemii restaurację McDonald's w Europie, a współpracujący z siecią producent opakowań przenosi obecnie do Czeladzi produkcję słomek papierowych wykorzystywanych w restauracjach.

INWESTYCJE

W inwestycjach nie chce zwalniać także General Electric. Jak twierdzi Sławomir Żygowski, prezes zarządu GE, pandemia doświadczyła reprezentowaną przez niego firmę dosyć wcześnie. – W Wuhanie, epicentrum pandemii, mamy dużą fabrykę, dlatego te wczesne doświadczenia pozwoliły nam się oswoić z nową sytuacją i wykorzystać doświadczenia naszych kolegów, którzy już się z tym zmierzili, w bieżącym i sprawnym reagowaniu na sytuację w naszych siedmiu zakładach oraz Inżynieryjnym Centrum Projektowym EDC w Polsce.

Jak firma patrzy na rzeczywistość postcovidową? – Musimy z tym żyć. Patrząc z polskiej perspektywy, możemy przekazać pani wicepremier prośbę o elastyczne podejście. Pierwsze instrumenty wsparcia w ramach kolejnych tarcz antykryzysowych były bardzo dobre, ale w tej chwili rząd musi mieć pomysły na pobudzenie poszczególnych sektorów, a więc działać w formule krawca i szyc odpowiednie instrumenty na miarę – mówił prezes GE.

Zdaniem Żygowskiego to dziś zapadają kluczowe decyzje w korporacjach międzynarodowych, jeśli chodzi o budowanie na nowo strategii i łańcuchów dostaw, a to może być duża szansa dla Polski na przyciągnięcie części zaawansowanych funkcji i elementów łańcucha dostaw (np. działalność B+R, inżynieria, zaawansowana produkcja i usługi). GE zatrudnia dziś w Polsce blisko 6 tys. osób, głównie inżynierów, oraz współpracuje z ponad 5 tys. lokalnych dostawców, dlatego bieżąca sytuacja stwarza duże możliwości dla

polskich firm na rynku międzynarodowym. – Widzimy to po własnych doświadczeniach, kiedy brakowało przysłowiowej śrubki z Chin, by kontynuować produkcję i nie można było jej przesłać – mówił.

EDUKACJA

Niewątpliwie w czasie lockdownu najmniej ucierpiała branża budowlana. Jacek Siwiński, prezes zarządu firmy Velux, przyznaje, że branża radzi sobie całkiem dobrze, chociaż również zaobserwowali pewne spowolnienie w pierwszym miesiącu walki z epidemią.

– Skupiliśmy się na tym, by pomóc naszym partnerom biznesowym. To w większości małe firmy dystrybucyjne czy wykonawcze, które często poszukiwały przede wszystkim sprawdzonych informacji i praktycznych wskazówek o tym, jak skorzystać z tarczy. Dlatego, przy współpracy z Polskim Funduszem Rozwoju, zorganizowaliśmy szkolenia dla naszych partnerów biznesowych, podczas których mogli się dowiedzieć tego, jak w praktyce skorzystać z rządowej tarczy antykryzysowej. Zainteresowanie było bardzo duże. Ponadto zaangażowaliśmy się w przygotowanie całego programu działań i wytycznych, jak bezpiecznie obsługiwać klientów. To również spotkało się z dobrym odzewem i w rezultacie całej branży szybko udało się powrócić na ścieżkę wzrostu – mówił szef Velux.

Dzisiaj rynek coraz prężniej rusza do przodu i branża z pewnością zakończy rok na plusie. – Jesteśmy dużym producentem, który eksportuje co roku towar za ok. 2 mld zł. W efekcie lockdownu na naszych rynkach eksportowych byliśmy co prawda zmuszeni zamknąć trzy nasze fabryki na dwa tygodnie. Cały czas jednak priorytetem byli pracownicy. Wszyscy dostali za ten okres 100 proc. wynagrodzenia. Straty już nadrobiliśmy i obeszło się bez zwolnień czy redukcji pensji. Perspektywy na ten rok są dobre. O tym, jak będą wyglądały kolejne lata, zdecyduje głównie to, jak głęboką recesję przejdą nasze rynki zbytu w Europie Zachodniej. Wierzę jednak, że Polska gospodarka wyjdzie z tego obronną ręką – dodał optymistycznie.

Jego zdaniem budownictwo mieszkaniowe to sektor, który ma szansę zapew-

nić zrównoważony wzrost, także w regionach słabiej rozwiniętych. To będzie bardzo ważne przy wychodzeniu kraju z kryzysu. Dlatego, jak twierdzi Siwiński, branża oczekuje przede wszystkim znoszenia barier, a taką barierą mogą być nowe wymagania dla materiałów budowlanych, które mają wejść od nowego roku. Dzisiaj tarcze już mamy, zostały z wdzięcznością wykorzystane, więc teraz musimy już mówić o tworzeniu silników wzrostu.

PO TARCZY CZAS NA MIECZ

– Dobrze od państwa słyszeć, że już bardziej potrzebny jest miecz, nie tarcza – podsumowała wicepremier Emilewicz. Jej zdaniem takim właśnie mieczem, który ma pobudzać gospodarkę, będą przygotowane już projekty kolejnych ustaw i ułatwień. „Estoński CIT”, ulga robotyzacyjna, która ma pobudzić przedsiębiorstwa do automatyzacji, szykowane na 1 sierpnia przez rząd duże uproszczenia w prawie budowlanym, które usprawnią postępowania urzędowe online czy 12 mld zł dla samorządów – to rozwiązania, które mają pobudzać inwestycje – mówiła Emilewicz.

Jej zdaniem kartą, dzięki której mamy szansę również zaistnieć na międzynarodowych rynkach, jest demograficzna struktura Polski i młodzi inżynierowie, którzy zapewne znajdą zatrudnienie w anonsowanych właśnie największych inwestycjach Microsoftu i Google'a.

– Wszystkie duże inwestycje będą szansą na szybkie wyjście z kryzysu. Nie powinniśmy już teraz koncentrować się na technologii dystrybucji środków unijnych, pomocowych, ale powinniśmy stworzyć listę projektów indykacyjnych, dużych, potrzebnych, nazwanych. Projektów tworzących olbrzymią część rynku, bo aby je wykonać, wiele podmiotów, cały łańcuch firm, musi się do tego przygotować – powiedziała wicepremier.

Zaprosiła też największe firmy inwestujące w Polsce do współtworzenia tej listy projektów, bo będą one realizowane również przez stronę prywatną, nie tylko przez domenę publiczną. – Jesteśmy otwarci na sugestie i wskazania – zapewniła.

**Oprac. Maksymilian Wysocki,
Maciej Kamiński**



TOKIO 2020

WIDZIMY SIĘ ZA ROK

#JESTEŚMYJEDNĄDRUŻYNĄ
#TEAMPOLSKA

#TEAMPOLSKA

PIOTR MAŁACHOWSKI

Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej Tokio 2020



Sponsor Strategiczny



Sponsor Generalny



Sponsor



Sponsor Kolekcji
Olimpijskiej



Główny Partner
Medyczny



Oficjalny
Przewoźnik

Bardzo dobry miks

To jest bardzo dobry miks. Świetnie przyrządzona margarita. W środku jest słodko, a wokół brzegu – sól. I jest perfekcyjnie włożona słomeczka. Ekologiczna. I świetnie wykrojony kieliszek. Wszystko jest przygotowane idealnie, a my staramy się jak najlepiej wypełnić tego drinka i ponieść tę historię...

To nie przypadek, że podobny opis serialowej produkcji, do której zdjęcia właśnie trwają, przedstawiła Sonia Bohosiewicz. Aktorka, która na Instagramie, kanale YouTube „Leniwa żona” i w książce o takim tytule dała się poznać jako osoba z talentem do smakowitego nieutrudniania sobie życia w kuchni.

Jej filmiki o gotowaniu to dynamiczne skecze doprawione humorem, czasem śpiewem lub choreografią, na którą pozwala niewielka przestrzeń.

Jeśli jakimś cudem nie zachęcą do przygotowania przedstawionych dań (przepisy są proste i – jak można przeczytać w komentarzach – dają smakowity efekt), z pewnością podniosą poziom endorfin. Niczym filiżanka kakao, choćby w wersji deseru z PRL-u. „Taki mi robiła mama... jak byłam grzeczna – uśmiecha się lobuzersko do kamery Sonia Bohosiewicz. A po przygotowaniu słodkiego cuda z dzieciństwa (w rytmie odpowiadających czasem muzycznych przebojów) dodaje też sposób na jego kosztowanie. Najważniejsze, żeby nabierać od

dołu, gdzie jest kakao, potem przebijając się przez ubite z cukrem (także wanilinowym) białko, docierając do warstwy kogla-mogła posypanej wiórkami z czekolady. I jeszcze jedna ważna rzecz: przy wykorzystywaniu jajek, zwłaszcza na surowo. Trzeba najpierw „wykurzyć”, czyli... wyparzyć.

Poza tym – to informacja dla niecierpliwych – pewnych czynności, nawet ułatwionych przez profesjonalny sprzęt, nie da się w kuchni przyspieszyć. Takie na przykład ucieranie...

„Nic się nie dzieje... polskie kino po prostu. Ucieramy... Musi się utrzyć i koniec” – komentuje aktorka.

Na kontach Soni Bohosiewicz najintensywniejsze kulinarne propozycje pojawiały się w ubiegłym roku (zabawne filmiki podpowiadały, jak zabłysnąć, przygotowując m.in. sernik z Mokotowa, gofry bajeczne czy pankejkę Wandzi z Londynu), choć i wcześniej można było się dowiedzieć, m.in. jak ugotować zupę z „gwoździa”.

Dziś na Instagramie „wiszą” co prawda przepisy na tartę cytrynową i muffiny Leo, ale zdjęcia i nagrania z piekarnikiem w tle

zastąpiły wpisy o sportowych aktywnościach oraz ćwiczeniach według zaleceń guru fitnessu Ewy Chodakowskiej.

Aktorka najwyraźniej przygotowywała się m.in. do wejścia na plan wznowionego po dłuższej przerwie serialu „Usta usta”. Trwają właśnie zdjęcia do czwartego sezonu. Poprzednie (z lat 2010–2011) można oglądać od poniedziałku do czwartku w TVN7 oraz przez cały czas na Player.pl. W połowie lipca brała też udział w nagraniach do familijnego filmu pt. „Skarbek”.

Nowe „Usta usta” pojawia się już w jesiennej telewizyjnej ramówce, a 28 sierpnia na duże ekrany wejdzie film „Zieja” z udziałem aktorki. Jego dystrybucję tuż przed uroczystą premierą wstrzymało ogłoszenie powszechnej kwarantanny. Wtedy zaczął się czas, gdy zamknięci w domach odkrywaliśmy m.in. uroki rodzinnego gotowania. Na stół miała szansę trafić zupa z „gwoździa” lub dietetyczny sernik. Ciekawe, czy dziś będą smakować inaczej.

Jolanta Gajda-Zadworna

Zupa z „gwoździa”

Wykonanie: 2 szklanki wody, pół słoiczka przecieru pomidorowego, kostka rosółowa, kostka warzywna, 3 łyżeczki cukru, sól, pieprz, 2 łyżeczki maggi. Zagotować. Do kubeczka: jajko, 2 łyżki mąki i 2 łyżki wody – wybełtać. Wlewamy powoli na wrzącą zupę. Do brudnego kubeczka wlewamy 1/3 kubka śmietany oraz 1/3 kubka zupy, mieszamy i do zupy. Na chwilę zawrze i już. Koniec. Całość jest dla czterech osób.

Przygotowanie – 6 min. Nie wolno opowiadać, że to takie proste, szybkie i z „gwoździa”. Podawać w zastawie, na obcasach i robić dumną minę. #leniważona opowiada jeszcze, że to z pomidorów malinowych z zeszłego roku ze swojego przecieru, który robiła jesienną nudą.



Dietetyczny sernik leniwej żony

Wykonanie: Nastawić piekarnik na 180 stopni. Wziąć 8 jaj. Oddzielić białka od żółtek. Białka ubić na sztywno. Dodać 6 łyżek cukru/ksylitolu/słodzika. Dodać 1 cukier wanilinowy. Dalej ubijać. Dodać wszystkie żółtka (8). Dalej ubijać. Dodać ser twarogowy mielony do serników 1 kg. Dalej miksować. Dodać 2 łyżki mąki ziemniaczanej. Pomieszać łyżką powoli, dokładnie. Tortownicę wyłożyć papierem do pieczenia (papier, żeby lepiej się układał w tortownicę: oderwać odpowiedniej wielkości kawałek i zmiąć w kulę, potem rozłożyć na tortownicę). Przełożyć ciasto do tortownicy. Do piekarnika na ok. 40 min.

Test patyczka (czy ciasto się klei po wbiciu i wyciągnięciu). Smacznego!!!



SŁODKO-SŁONY



Lebiodka na noc

ANNA MONICKA

Wzorem pewnego projektanta naturalistycznych angielskich ogrodów postanowiłam, że i mój będzie dziki. Trawy nie koszę od dawna, próbuję ją zastąpić ziołami. Mam więc poduchy macierzanki, poletko bluszczyku kurdybanka, nieokielzane mięty i melisy, a kilka lat temu zrobiłam eksperyment i wysypałam na trawę stare przyprawy i nasiona. Nie wszystkie zaskoczyły, ale czarnuszka damasceńska z roku na rok wygląda ładniej i bujniej, a tegoroczna lebiodka wyrosła dobrze nad kolana i właśnie pięknie kwitnie. Pszczoły je uwielbiają, więc w moim niekoszonym zielonym bałaganie kwitnienie życie towarzyskie różnych owadów, którym nawet specjalnie zrobiłam poidło w starej blaszce do tarty wyłożonej kamykami. Przychodzą do niego nawet żaby.

Nie tnę moich ziół wtedy, gdy jest na to najlepszy czas, czyli na przełomie maja i czerwca. Czekam na kwiaty – nie są może aż tak wonne jak młode listki, ale też pyszne.

Lebiodka, czyli tak naprawdę oregano, jest rośliną, dla której mam wielki szacunek. Ziemię mam fatalną, piaszczystą, a 10 worków czarnoziem, którym próbowałam ratować sytuację, wywiał wiatr i wyniosły mrówki. Lebiodka się tym nie przejmie, jest wyższa niż trawa. Przeniosła się tylko bliżej parkanu (sama!), bo tam ma więcej słońca. Zawdzięczamy jej smak pizzy, spaghetti, pasty z suszonych pomidorów, kaparów i tuńczyka, serowych awanturek, a nawet ziołowe napary, które, zwłaszcza wieczorem, działają znacznie lepiej niż pobudzające herbaty.

Cały duży pęd z kwiatami zalewamy wrzątkiem i parę minut parzymy pod przykryciem. Imbryczek pachnie jak kominek do aromaterapii, bo olejek tymolowy, który sprawia, że oregano jest silnym ziołem leczniczym, ma mocną, lekko kamforową woń. Systematycznie popijany reguluje pracę jelit, wspomaga wątrobę, dezynfekuje. Olejek z dzikiego oregano zamknięty w kapsułkach jest jednym z najsilniejszych roślinnych antybiotyków.

Warto się w to ziółko zaopatrzyć przed jesienią. I doprawiać nim zupy, sosy, salatkę, można nawet posypywać fioletowymi kwiatkami (i świeżymi, i suszonymi) kanapki z masłem. Dla smaku i zdrowia. 

WILCZYM OKIEM



Sum na kwoka

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Dwa tygodnie temu jechałem rowerem wzdłuż Wisły pod Wawelem. Wieczór był bardzo ciepły, parny, gdzieś na horyzoncie widać było odległe jeszcze rozblyski nadchodzącej burzy. Brzegi Wisły w rejonie królewskiego zamku są bardzo popularne; zawsze pełno tam rowerzystów, turystów, biegaczy i spacerowiczów.

W pewnym momencie, wśród miejskiego gwaru, moją uwagę zwróciła łódka, wolno pływająca w rejonie środkowego nurtu rzeki. Woda przy brzegach jest tam płytka, ale zaraz koryto, pogłębione dla żeglugi, opada na głębokość trzech – czterech metrów. Jeden z ludzi na pokładzie co jakiś czas rytmicznie uderzał drewnianym przedmiotem o powierzchnię wody, co powodowało charakterystyczny odgłos.

Przystanęłam, żeby się przyjrzeć i nagle oświeciło mnie. Przedmiotem, którym mężczyzna z łódki uderzał o wodę, był tzw. kwok. Odgłos miał naśladować dźwięki wydawane przez żerującego suma i przyciągać te ryby, kryjące się gdzieś w nieprzejrzystych wiślanych głębinach, do wędkarzy.

Metoda połowu sumów na kwoka jest bardzo stara, pochodzi przypuszczalnie od dawnych rybaków naddunajskich. Do Polski trafiła stosunkowo niedawno, a może raczej niedawno zyskała na popularności, opisywana bywała bowiem przed laty w prasie wędkarskiej jako ciekawostka.

Sum, jedna z największych ryb słodkowodnych świata (oficjalne rekordy mówią o ok. 140 kg, dawne źródła wspominają o sumach nawet 300-kilogramowych), przy poszukiwaniu zdobyczy posługuje się nie wzrokiem, lecz receptorami zapachowo-smakowymi i słuchem, a także tzw. linią boczną, wykrywającą ruch wody – dlatego nie przeszkadza mu, a nawet wręcz przeciwnie, mulista woda Wisły. Kiedy po okresie królowania karp do hodowli w stawach powróciły inne ryby, sumy zyskały na znaczeniu gospodarczym. Dla wędkarzy ceniących nie tylko samą rybę, lecz także wielodniowe czasem podchody czy też wręcz tropienie tego giganta sum zawsze stanowił obiekt niemal mityczny.

Przetrącając scenę na środku rzeki, nie myślałem jednak o walorach gospodarczych czy smakowych sumów, lecz o pierwotności rozgrywającej się pośrodku miasta sceny, jakby żywcem przeniesionej z innych, zamierzonych czasów, kiedy człowiek, dla zdobycia pożywienia, musiał się zbliżyć do przyrody, stać się jej częścią. 



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Psychoza 2020

Jak sobie kraj poradzi, gdy za-
wiedzeni miłośnicy Rafała
Trzaskowskiego sprzedadzą
swoje domy, dworki i letnie rezyden-
cje, zlikwidują konta i wyjadą w po-
dróż dookoła świata? Tak jak to już za-
powiedziała słynna pisarkocelebrytka
Manuela Gretkowska?

POLSKIE PALANTY

Adam Michnik, gdy salony pedi-
kiuru nieczynne, kroksy, pamiętamy
– przyjmował w nich Order Orła
Białego, zamienił na wielkie sandały
i odwiedził onetową redakcję To-
masza Lisa. W nadzwyczaj dobrym
nastroju, jak na ponure czasy, uciął
powyborczy monolog i zwiastował
kolejną prawdę. Tym razem nie o za-
konnicy, ale od niechcenia rzucił słów
kilka z zakresu ontologii wyborców
prezydenta Andrzeja Dudy. Z wła-
ściwą sobie swadą zapowiedział: „Pol-
ski tym palantom nie wolno oddać”.
Ogłosił też, po raz kolejny, lansowaną
do znudzenia głównie w zachodniej
prasie, swoją koncepcję reżimowego
PiS, czyli że „koncepcja reżimu pi-
sowskiego to jest putinowski model

państwa, zakorzeniony w okresie
międzywojennym i Peerelu”. Po prze-
granej Trzaskowskiego nie wykluczył
w Polsce „majdanu”. Płynęły te słowa
jak miód na schorzone serce redaktora
Lisa, po ostatnim udarze wciąż w sta-
nie rekonwalescencji.

Trudno się dziwić, gdyż w publicy-
styce, którą redagował, już kolejny ty-
dzień dominowała oniryczna retoryka,
jaka może się przydarzyć tylko w stanie
skrajnej frustracji: „Wyobraź sobie, że
pewnego dnia inni ludzie obejmują
władzę. Nasi. Że jest nowy prezydent,
nasz. Nowy Sejm, też nasz. Że tamto
wszystko gaśnie powoli w niepamięci,
niczym powidoki”. Ale. Obudź się – to
marzenie senne. Subtelny pana, co
chodzi w kapeluszu nawet sypiać.
W ten sposób rockman Zbigniew Hoł-
dys marzy o czasie „niezemsty”. Obok
drze włosy z głowy Cezary Michalski,
pomstując na wszystkich. I na Trza-
skowskiego, i na PSL. Na Kosiniaka-
Kamysza i na Hołownię. „Hołownia
nie jest politycznie mądrzejszy od
Petru, Kukiza i Zandberga” – pisze
Michalski. Szkoda tylko, że objawia to
tak późno. Już jasnowidz z Człuchowa
miał lepszego nosa, bo przewidział

przed wyborami, iż przysięgę prezy-
dencką znów złoży Andrzej Duda.

HISTERIA

Na moralnym dygocie po wyborach
obudziła się inna gwiazda Springera
i napisała łzami zroszony tekst „Po lo-
mocie”. „Tak naprawdę pieprznięło we
wtorek. W niedzielę liczyłem na cud”
– pisał Marcin Meller, relacjonując
swoje powyborcze cierpienia. Czytel-
nik dowiadyuje się, że jego nadzieja na
zwycięstwo Trzaskowskiego została
dźgnięta i dobita rankiem. A potem już
wiadomo, co było. Obudził się we wto-
rek i nie chciało mu się – jak zapewnia
– z łóżka zwlec. Obezwładniony lomo-
tem, trwał w łóżu i myślał sobie „A było
tak blisko”. Później dowiadujemy się, że
spojrzał w lustro i pomyślał o umyciu
zębów. Łatwo zgadnąć, co nim targało,
zanim skończył swój tekst.

W social mediach zagrzmiało. Twit-
tery i Facebooki miały błyskawice.
Grzał się elektronicznie poległy elek-
torat. Podnosił groźną pięść, gdy tym-
czasem Meller szedł do łazienki. Falo-
wanie cyfrowych przekaziorów było
donośne. Andrzej Duda wygrał. Ten

„złomiarz demokracji rozkręcający każdą kolejną śrubę demokratycznego państwa na rozkaz PiS” – twitterowała Kamila Gasiuk-Pihowicz.

Ale na pociechę, „złomiarza” wybrali małorolni. Niewykształceni z małych miast, przekupiona za 500 plus ciemnota ze wschodniej ściany kraju i inna „palanteria”. Już nikt nie zechce kupować ich plonów. To „Polska podstawówek, zawodówek, emerytów i owczarń proboszczów” subtelnie objaśniał Waldemar Kuczyński, minister w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, dziś na głębokiej emeryturze. A media i dziennikarze pracujący w telewizji publicznej, czyli „pisowskie świrny” i „żałosne flu...y”, powinni porzucić swoje miejsca pracy i przy ul. Czerskiej rozstawiać kompot do obiadu w stołówce, ewentualnie stać tam na zmywaku.

ZDOŁOWANIE

„W redakcji wszyscy zdolowani” pisał w powyborczy poniedziałek Tomasz Lis na Twitterze. Później już kolejny numer jego gazety zamieszczał obszerny wywiad z psychiatrą i terapeutą. Główna myśl prof. Bogdana de Barbaro brzmiała uspokajająco i perswadującą zarazem: „Gdyby do urn poszło 90 procent uprawnionych i 90 procent z nich zagłosowało na Andrzeja Dudę, to sam bym powiedział: wyjedźmy do Portugalii. Jednak zabrakło niewiele ponad 1 procent! Następnym razem, jak się wysilimy, damy radę!”

Kto tam jednak w czasie narodowej apatii słucha psychiatry. Przecież miało być tak dobrze. Redaktor Tomasz Lis i jego gazeta od zawsze popierali Platformę Obywatelską i jej kandydatury na prezydenta RP. Gdyby jednak ktoś miał wątpliwości, na początku czerwca redaktor podpisał się na liście poparcia Rafała Trzaskowskiego. O swoim działaniu poinformował na Twitterze i agitował za tą kandydaturą innych wyborców.

EXODUS

Dzieci celebrytów III RP uciekają z Polski. Jak najdalej, jak najdalej stąd,

jak śpiewała Edyta Górniak. Tam gdzie bezpieczniej gdzieś jest. Ostatecznie na wewnętrzną emigrację. Do teatru, kina albo telewizyjnego studia, gdzie skryć się można przez 24 godziny na dobę. Wytrzymają. Byłe nie dać się złamać przez te trzy straszne lata. Stać dumnie, bo wszystko co ich, to wyłącznie ciężka praca. Mądrzy, inteligentni, kulturalni. A ci, co zostają na tym gruzowisku, nie mogą się poddać. Chorzy na Polskę będą się upominać o „elementarną sprawiedliwość”. Zamkną się w swoich firmach, w kulisach, w redakcjach czy uniwersytetach. Reszta zatrzśnie się na dłuższą chwilę w dworkach, willach, pałacach. Włości, rancza, baseny, ogrody pomogą, dadzą azyl w tym trudnym czasie. Pozostaje przecież wciąż

Dzieci celebrytów III RP uciekają z Polski. Jak najdalej, jak najdalej stąd, jak śpiewała Edyta Górniak. Tam gdzie bezpieczniej gdzieś jest. Ostatecznie na wewnętrzną emigrację. Do teatru, kina albo telewizyjnego studia, gdzie skryć się można przez 24 godziny na dobę. Wytrzymają. Byłe nie dać się złamać przez te trzy straszne lata

to, co kochają. Kwiaty, poezja, proza, opera, filharmonia. Cóż, że nie spotkają się – jak bywało dotąd – na rautach, benefisach, jubileuszach, eventach. Holota teraz rzuci się na ich kawior, owoce morza, sushi, latte, szampana.

Niektórzy, kiedy rozpocznie się karnewał ciemnych, niedożywionych, źle ubranych, nieuczestnych, brzydkich dewotów, wyjadą na dłużej. Nie każdy jest w stanie patrzeć na „nietrzaskowskich” i „niegrodzkich”. Bo „z piwnicz-

nego okienka wynurzył się leb narodu, ale tułów wciąż pozostał w piwnicy. Zabłokował się i nie chce wyjść. Ci otwarcy, lepiej wyedukowani, chcą być częścią świata, ale co zrobić z tamtymi?” – pytał zirytowany Marek Kondrat, celebrycka gwiazda, na stałe od lat w Hiszpanii.

CO Z TYMI, KTÓRZY ZOSTALI?

Ci, którzy zostali, będą budować Nową Solidarność. Taką całkiem nową. A potem Nową Polskę. Przecież „ukradziono Polakom prawdziwe wybory, które do tej pory były” – to Borys Budka. To musi się udać. Choćby Agora. Trwa. Już w marcu, na początku pandemii, zaczęła się ubiegać o środki przewidziane z Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych. Aplikowała na łączną kwotę 13,9 mln zł. W połowie lipca otrzymała część tego, czyli 2,79 mln zł. Ciąg dalszy wypłat z tarczy antykryzysowej zapewne nastąpi. Zawsze to tylko ochłapy, ale wystarczy, by dalej ostrzegać świat przed apokalipsą nad Wisłą. Pomstować, gęgać nieustannie na panujących, czarnosecinny reżim. Zanim zwał się do kraju zapowiadane pisowskie setki miliardów złotych wyrwanych bezczelnie Unii. Zanim kraj dopadnie zbawienny mityczny kryzys, który wszystkich wyzwoli.

OCHŁAPY

Na razie zadowolić się też trzeba ochłapami dla AMS. Włodarze Warszawy postanowili ją podratować. W końcu to zasłużona marka Agory. W roku 2006 uhonorowana nagrodą Impactora w kategorii Najbardziej podziwiana firma outdoorowa roku. W trudnych czasach COVID-19 miasto stołeczne Warszawa zawarło z nią umowę bez przetargu, w trybie z tzw. wolnej ręki. To jedyna firma, która na wiatrach przystankowych w stolicy ma wyłączność na sprzedaż powierzchni reklamowej. Trzeba więc jeszcze dorzucić kontrakt na 3 mln zł netto (bez VAT). A co? Należy się jak psu micha.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

Bitwa Warszawska wciąż trwa



Może nawet zaczyna się na nowo. Na Polskę patrzy dziś Europa i świat. Ale nie dlatego, że sto lat temu ocaliliśmy go przez potwornościami i zniewoleniem, z których nie zdawał sobie sprawy i których – w swojej większości – nigdy nie poznał. Świat nie wie, że go ocaliliśmy i przed czym. Świat patrzy na nas, bo może ośmielimy się odrzucić lewacką konwencję, która rozwała wspólnotę zbudowaną na fundamencie prawa naturalnego, chrześcijańskiej godności człowieka i wszystkich polskich konstytucji.

Dwie ideologie, które nie znoszą sprzeciwu, próbują zniszczyć naszą cywilizację, a chrześcijan zastraszyć, by schowali się do dziury, przepaszając, że żyją. Terrorysty islamscy niemal codziennie mordują chrześcijan, we Francji palą kościoły – kilkadziesiąt w ostatnich kilkunastu miesiącach. Terrorysty lewacy napadają na kościoły i modlących się katolików, tych spośród chrześcijan nienawidzą szczególnie. W Warszawie lewackie terrorystki napadły na kościół, bezczeszcząc figurę Chrystusa, którego niemieccy narodowi socjaliści też uznali za wroga i zrzucili z cokołu.

Chrystus na Krakowskim Przedmieściu powstał i przetrwał agresję. Ale czy my tę agresję przetrwamy – jako narodowa wspólnota i niepodległe państwo – zależy od nas. Sto lat temu, przy sabotażu Niemców, Austriaków, Anglików, Czechów, którzy blokowali dostawy kupionej przez Polskę broni, oraz przy pomocy braci Węgrów, którzy dostarczyli nam amunicji – komunistyczną pożogę powstrzymaliśmy. Ale dziś przybrała ona całkiem nową formę. Otepiały, pozbawiony etycznej wrażliwości świat jest jak powoli gotowana żaba. Przegraną sto lat temu z Polakami bitwę dziś Marks, Engels i Lenin z Zachodem wygrywają. I znów Polska stoi na drodze rozpędzającego się komunizmu. Znów Warszawa jest przeszkodą dla lewackiego walca, który ma zniszczyć nasz świat i zbudować na nim nowy gulg politpoprawności.

Bitwę Warszawską uznano w kolejności za 18. bitwę decydującą o losach świata. Przed nią były tylko: Maraton (490 przed Chrystusem), Gaugamela (331 p. Chr.), Metaurus (207 p. Chr.), Las Teutoburski (9 rok po narodzeniu Chrystusa), Sycylia (413), Chalons (451), Tours (732), Hastings (1066), Orléan (1425), klęska Armady (1588), Blenheim (1704), Połtawa (1709), Saratoga (1777), Valmy (1792), Waterloo (1815), Sedan (1870) i Marna (1918). Nie ma na tej liście ani Grunwaldu, ani

Wiednia, a np. Chalons jest problematyczne, bo – mimo zwycięstwa Rzymian nad Hunami – nie ocaliło Rzymskiego Cesarstwa. Ale – uwzględniając wagę powyżej wymienionych i kilku późniejszych (D-Day, Stalingrad, Midway) – Bitwę Warszawską uznawać można za najważniejszą w dziejach. Bo nigdy wcześniej ani nigdy później jeden naród w jednej bitwie nie ocalił całego kontynentu przed tak śmiertelnym zagrożeniem, jakim była inwazja, która „po trupie Polski” zalać miała całą Europę, zatrzymując się dopiero w Lizbonie.

Zwycięstwo to zbudowało wolną Polskę, ale nie ocaliło świata przed rodzącymi się potworami dwóch totalitaryzmów. Bo świat udawał, że nie widzi, jak rosną, wołał milczeć, gdy niszczyły kolejne wartości. Podobnie jest dziś: na Zachodzie panuje coraz większy paraliż, obłuda i przesładowania nieposłusznych, coraz szczelniejsza jest cenzura narastającego lewackiego totalitaryzmu. Nawet rzekomo pravicowi politycy dygoczą ze strachu przed terrorystami, a media służą im bez szemrania. I to zarówno terrorystom islamskim, jak i terrorystom lewackim. Zanim te dwa zięjące nienawiścią do chrześcijaństwa potwory zetną się z sobą – podobnie jak kiedyś potwory komunizmu i narodowego socjalizmu – chcą zniszczyć świat i system wartości, jaki przez 2000 lat zbudowaliśmy.

Zbezczeszczenie figury Chrystusa to dla lewackiej ekstremy test, czy będziemy tak potulni jak społeczeństwa na Zachodzie. Jeśli uznamy to za nieznaczący epizod rozbrykanej młodzieży, fala nienawiści i agresji będzie się wzmacniać, jak działo się np. w Argentynie, Brazylii, Hiszpanii, także w Paryżu, w Notre Dame, zanim ją podpalono. Jeśli polskie państwo nie będzie potrafiło terrorystów powstrzymać, wkrótce w Warszawie zapłoną kościoły. Sto lat temu lewacy barbarzyńcy do Warszawy nie weszli. Dzisiaj już w niej są. Dzisiejsza Bitwa Warszawska jest na razie mniej krwawa, ale na swój sposób trudniejsza.

Wiosną 1920 r. Ministerstwo Spraw Wojskowych zamówiło u reżysera Ryszarda Bolesławskiego film fabularny o nadchodzących wydarzeniach. „Cud nad Wisłą” miał premierę w marcu 1921. Tamtą wojnę wygraliśmy także dlatego, że rozumieliśmy potrzebę zwycięstwa w kulturze. Na wszystkich jej bitewnych polach. Czy teraz wygramy? Sursum Corda.

Maciej Pawlicki

Tanku**JEMY** **HOT DOGI** za 1 grosz!

Kupujesz min. 25 l paliwa
oraz kawę i dosta**JESZ**
HOT DOGA za 1 grosz!
Twoje dzieci też!



Promocja trwa od 1.07 do 31.08.2020 lub do odwołania.
Zakup kwalifikowany musi nastąpić przy jednej transakcji.
Do jednej transakcji są wydawane maksymalnie 4 hot dogi
(1 dla kierowcy i maks. 3 dla dzieci) w promocyjnej cenie 1 gr/szt.
Z promocji są wyłączone transakcje z użyciem kart flotowych.
Regulamin i lista stacji biorących udział w promocji na lotos.pl.

oprasa.pl/e2697853f



Wiedza i pamięć

Warto i trzeba teraz w nasze sierpniowe dni powracać do rocznic wydarzeń niezwykłych, czytać dokumenty, literaturę na te tematy, by wiedzieć, kto dokonywał zbrodni ludobójstwa na polskim narodzie. Szczególnie powinni poznawać te fakty tak bardzo spolegliwi wobec swoich mocodawców ludzie dzisiejszej tak zwanej totalnej opozycji i ich kandydat na prezydenta Rafał Trzaskowski, gotowi nawet wykorzystywać wrogie siły przeciwko Polsce, aby tylko zdobyć władzę, zachować układy i ukryć kłamstwa, oraz swoje różne nikczemne czyny. Warto więc tym wszystkim krzyczącym o rzekomo zagrożonej wolności i demokracji, chęlnym się swoją „światłą europejskością” przypomnieć chociażby likwidację Pawiaka w przeddzień wybuchu Powstania Warszawskiego.

Niemcy uciekali jak tchórze, zbrodniarze zacierali po sobie ślady, bali się odpowiedzialności za swoje straszne czyny, chcieli zabić pamięć, ale ta pozostała przekazywana z pokolenia na pokolenie. Ostatnie dni Pawiaka, więzienia niemieckiego w Warszawie, w stolicy Polski, są dowodem niezwykłego bestialstwa i barbarzyństwa. Wraz ze zbliżaniem się do Warszawy frontu wschodniego i dojrzeniem sytuacji do wybuchu Powstania Warszawskiego okupanci niemieccy przystąpili do likwidacji Pawiaka, dokonywali masowych egzekucji więźniów na różne okrutne sposoby, a tych, których nie zdążyli uśmiercić przed wysadzeniem w powietrze więzienia, wywozili w pośpiechu do obozów koncentracyjnych w Ravensbrück i Gross-Rosen. Jak w tym kontekście brzmią żarty prezydenta stolicy i jednocześnie pretendującego do funkcji prezydenta kraju o „jakichś Niemcach w krzakach” czy już całkiem poważne słowa programowo-gospodarcze: „Po co nam budować lotnisko w Polsce, skoro jest duże w Berlinie”? Wypadałoby zapytać – cynizm, wyrachowanie czy głupota i bezmyślność?

Zostawmy jednak tego typu rozważania, bo szkoda czasu i atlasu, jak mawiał niegdyś mój świetny licealny polonista prof. Kazimierz Otłowski o wszelkiej maści agentach, ubekach, partyjniakach, sługusach obcej władzy, targowicy. Cieszy to, że 1 sierpnia nasza stolica pokazuje chociaż na chwilę swoje inne oblicze. Warto teraz, w sierpniowe dni powstańczej Warszawy, dawać takie przykłady – pan Adam ze Szczecina zabiera całą rodzinę i jedzie do Warszawy, specjalnie na ten jeden dzień, aby w godzinę „W” oddać hołd bohaterom. „Tam są groby wspaniałych Polaków, Warszawa to święte miejsce. Tu, w mojej kochanej stolicy, stąkam po śladach tych najdzielniejszych, tu ich krew wsiąkała, tu jest ich męstwo i honor, tu ich ból i cierpienie, wszystko dla Polski. Wy żyjący tu na co dzień nie doceniacie, że chodzicie i mieszkacie w miejscu wyjątkowym, świętym. My jedziemy z dziećmi przez całą Polskę, żeby co roku 1 sierpnia tu być”.



**Alina
Czerniakowska**

Takich i podobnych wypowiedzi słyszę więcej w tych dniach w Warszawie. Młodzi ludzie z Gdańska, Irek i inni przyjaciele nieżyjącej już Marii Fiedorfeld-Czarskiej, córki generała Fiedorfelda, bohatera zamordowanego po wojnie w polskim więzieniu, przyjeżdżają liczną grupą co roku 1 sierpnia na warszawskie Powązki. Jest to swoista sztafeta pokoleń, wierne wypełnianie testamentu Pani Marii, która pokazała im drogę do krzyży powstańczych. Ich obecność, postawa, nie tylko wzrusza i napawa dumą, lecz nie pozwala też zwątpić w siłę Polski. Oni dają nadzieję, że otrząśniemy się z tego oplatającego nas kłamstwa i wszelkiego zła.

Trwa walka duchowa między dobrem a złem. Świat się polaryzuje coraz bardziej, ci dobrzy stają się coraz lepsi, a ci źli brną w swoje zło, coraz bardziej wyrafinowane – dwa bieguny – piszą i mówią o tym naukowcy, obserwatorzy życia społeczeństw na całym świecie. Od nas zależy, w jakim kierunku pójdzie Polska, czy zdołamy się oprzeć wszelkim złym prądom, odrzucimy głupie, ślepe naśladownictwo i schlebienie rzekomej nowoczesności, czy potrafimy ocalić narodowe dziedzictwo wielowiekowej historii, opartej na chrześcijańskich wartościach?

Złu ulegają nawet ci, którzy, wydawałoby się, świetnie rozumieją, co jest grane. Jednak silniejsza jest chęć zabyśnięcia, szybkiej kariery, popularności, blichtru. I tak trwa wyścig szokowania złem, zamieniający prawdę na kłamstwo, dobro na zło. Jan Paweł II mówił do młodych, by mieli odwagę iść pod prąd, bez względu na mody i narzucane im wzorce: „Pytajcie każdego dnia, jakie dajesz mi, Jezu, zadanie na dziś, na jutro? Przemieniajcie własną duszę, bądźcie odważni i silni, nie bójcie się iść pod prąd”.

Sierpniowe rocznice w Warszawie pozwalają wierzyć, że dzisiaj też są ludzie odważni, kierujący się drogowskazem tych, którzy dali przykład swoim życiem, co znaczy naprawdę kochać Boga i ojczyznę. Natomiast wszystkim dyskutującym o sensie Powstania Warszawskiego profesor Bolesław Orłowski, autor „Fenomeny polskości”, cytując wiersz Mariana Hemara „Rapsod żałobny”, napisany w 1966 r., w dniu śmierci Tadeusza Bora-Komorowskiego: „To on, przypadkiem i przez chwilę./ Był generałem polskiej klęski./ Co się musiała spełnić tak./ I nikt by nie mógł jej uniknąć./ Nikt by nie umiał jej uniknąć./ A gdyby mógł i gdyby umiał/ To by nikt nie chciał jej uniknąć./ Żadnym ówczesnym argumentem./ Ani apelem, ni wykrętem./ Nikt nie chciałby wyperswadować/ Szaleństwu – wzdargie/ Zemście – dumie./ Że szkoda krwi, że szkoda Miasta,/ Że szkoda leż. I tego właśnie/ Nikt kto nie Polak nie rozumiał./ Nikt kto nie Polak, nie rozumie”.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Polskość bezobjawowa

W latach 70. ub. wieku przywódcy ZSRR uznali, że ponad milion obywateli, którym nie podoba się ustrój komunistyczny, należy sklasyfikować jako psychicznie chorych. Przypadłość tę zdiagnozowano medycznie jako „schizofrenię bezobjawową”.

Dawało to podstawy do bezterminowych zatrzymań przeciwników władzy w szpitalach-więzieniach (tzw. psychuszkach), poddawaniu ich tam brutalnym represjom fizycznym i farmakologicznym eksperymentom. Dopiero międzynarodowe naciski i pierestrojka zatrzymały ten zbrodniczy proceder, który upowszechnił się również w innych krajach totalitarnych (w Chinach, na Kubie).



**Lech
Makowiecki**

Dziś – nie tylko za sprawą koronawirusa – termin „bezobjawowy” znów robi furorę! Dzięki powszechności płatnych studiów, rozdających szczerze dyplomy ukończenia wyższej uczelni, pojawiła się rzesza „bezobjawowej inteligencji”. „Bezobjawowa kultura” bryluje dziś na salonach „elit” (vide: Ruch Ośmiu Gwiazd, czyli „j...ć PiS”). Całkiem naturalny niegdyś podział społeczeństwa na kobiety i mężczyzn zastąpiony został płcią „bezobjawową”, która wymaga ustawicznego modyfikowania, multiplikowania i upowszechniania. Ten proceder ogranicza jedynie wyobraźnia kreatorów gender i LGBTQ (...).

W ślad za tym trendem podążają „bezobjawowe”: uroda, dobro, przyjaźń, miłość, uczciwość, sprawiedliwość, prawda, wiara, rodzicielstwo, przyzwoitość, człowieczeństwo... Równolegle idzie zawłaszczanie przez niektóre grupy pojęć dotychczas im zupełnie obcych, wręcz wrogich! Postkomuna (tudzież lewactwo wszelakie) wznosi dziś dziarskie okrzyki „Precz z komuną!”. Niewierzący stają się ekspertami w sprawach wiary, głupcy – nauki, przestępcy – sądownictwa etc.

PS „Bezobjawowy patriotyzm” można było zaobserwować na finiszu kampanii prezydenckiej Rafała Trzaskowskiego (zero biało-czerwonych flag). Można domniemywać, że Nowa Solidarność (ruch polityczny tworzony wokół prezydenta Warszawy) również będzie zupełnie bezobjawowa...



Z życia

Kościół

relacjonuje
**Agnieszka
Ponikiewska**

1. Tęczowe flagi i anarchistyczne chusty na figurze Chrystusa „Sursum corda” przed kościołem św. Krzyża w Warszawie. Figura, którą chcieli zniszczyć i przetopić Niemcy w czasie II wojny światowej, której losy zostały przypomniane przez Jana Pawła II podczas pierwszej pielgrzymki do Polski, została sprofanowana przez działaczy LGBT. Kard. Kazimierz Nycz podkreślił, że akt ten spowodował ból wiaryzących i zaapelował o poszanowanie uczuć wiernych.

✂ ✂ ✂

2. Satanistyczne symbole i hasło namalowano na drzwiach kościoła w Golezowie w woj. śląskim. Poza pentagramem, liczbą 666 i odwróconym krzyżem na drzwiach napisano po łacinie „Módl się za nami, Lucyferze”. Oby w Polsce nie doszło do takich sytuacji jak we Francji. Tam młodzi strzegą kościołów przed antychrześcijańskimi atakami.

✂ ✂ ✂

3. W pierwszych dniach sierpnia, wspominając powstańców warszawskich, pamiętajmy, że zostali oni wychowani pod sztandarem „Bóg – Honor – Ojczyzna”. Modląc się za bohaterów sprzed 76 lat i poległych w walkach mieszkańców stolicy, bp Michał Janocha zaapelował: „Tak bardzo trzeba nam modlić się o jedność ponad podziałami, o cud jedności, którego sami nie potrafimy osiągnąć”.

✂ ✂ ✂

4. Sierpień jest miesiącem abstynencji. Tegoroczny sierpień przeżywamy w duchu wdzięczności Bogu za setną rocznicę Bitwy Warszawskiej, dzięki której Polska zachowała niepodległość i uratowała Europę przed ideologią bolszewicką. Zespół KEP ds. Apostolstwa Trzeźwości i Osób Uzależnionych alarmuje: „Chore są zwyczaje narodowe i rodzinne, które kultywują powszechne używanie alkoholu jako wyraz dobrego świętowania i udanej zabawy”.

✂ ✂ ✂

5. Mocno rozwija się kult bł. Karoliny Kózkówny, patronki czystych serc i polskiej młodzieży. To ważny symbol. Młodzi zobowiązują się np. nie podejmować współżycia płciowego przed otrzymaniem sakramentu małżeństwa. Pielgrzymują też coraz liczniej do Zabawy pod Tarnowem, by modlić się przy grobie bł. Karoliny.



JAN POSPIESZAŃSKI

Widząc piruety wykonywane w kwestii konwencji stambulskiej, dostaję zawrotu głowy. Najpierw była wypowiedź minister rodziny Marleny Małag. Kilka dni później wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski oświadczył, że prace nad odrzuceniem konwencji są prowadzone od dawna. Potem Zbigniew Ziobro złożył formalny wniosek do resortu rodziny i wreszcie premier Mateusz Morawiecki zwrócił się do Trybunału Konstytucyjnego o zbadanie zgodności konwencji z konstytucją.

Prawicowy Twitter wieszczy, że to nie wróży niczego dobrego. Gdyby rząd chciał, to zamiast mówić, by to zrobił. Nigdy nie będzie dogodniejszego czasu. Przy okazji przypomniano, że właśnie tak została zamrożona inicjatywa zakazu aborcji eugenicznej. Gdy piszę te słowa, tematem dnia jest agresja radykałów LGBT wymierzona w figurę Chrystusa. Tęczowi barbarzyńcy przypomnieli nam kolejny raz, że to jest wojna. Pewni bezkarności kapłani nowej religii sami chcą wyznaczać granice swojej dominacji. Czy ataki na symbole religijne to profanacja? Wolne żarty! To oni określają, co jest dopuszczalne. Zdumienie dziecka na widok owłosionego faceta w rajstopach i sukience to homofobia. I to jest bluźnierstwo. Na Zachodzie nie dostrzeżono w porę, jak rodzi się nowa tyrania. Francuski filozof

Prawda nadrzędna: przetrwanie Polski

Polska umiera. Urodzeni dziś obywatele, jeżeli dożyją, za 80 lat będą mieszkać w kraju o liczebności 17 mln osób

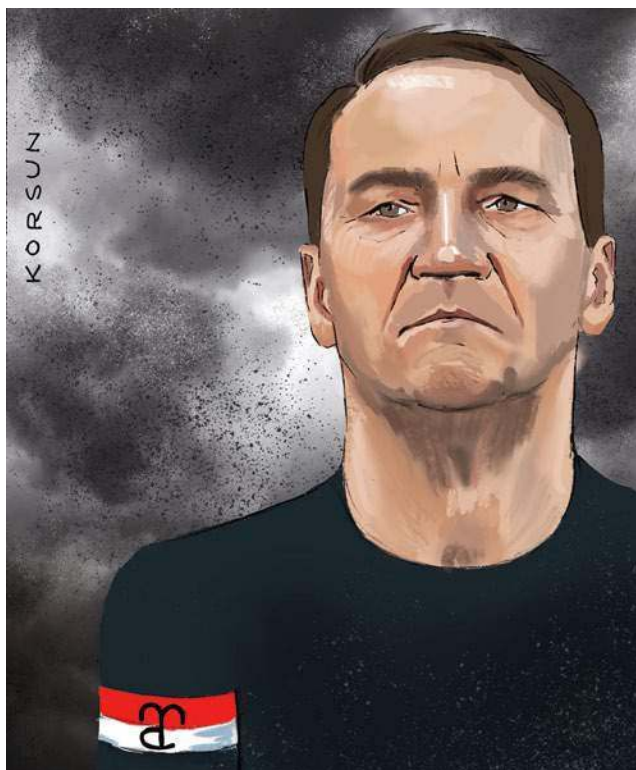
Éric Zemmour opisał, jak Francja zamieniła się w nową dyktaturę. Jak jej demokratyczny system został wydrążony od środka. „Aby narzucić tyraniczną władzę i ideologię różnorodnościową, uruchomiono aparat propagandy, który skupia telewizję radio, kino, reklamę i oczywiście strażników internetu (...) Sędziowie już na studiach zostali przeciągnięci na stronę ideologii lewicowej, stając się współnikami rozmaitych stowarzyszeń, służąc im za zbrojne ramię, mając za zadanie karcić niepokornych i terroryzować niegdyś milczącą, dziś sparaliżowaną większość”.

Nowy „jakobiński” terror funkcjonuje tam na całym obszarze życia społecznego. W Polsce jeszcze nie, dlatego tęczowe szwadrony atakują kolejne przyczółki. Czy mamy być tylko reaktywni, protestować, wyznaczać strefy wolne od ideologii LGBT, podpisywać petycje? Tak, ale to nie wystarczy. Większość sejmowa, rząd i prezydent dostali kredyt zaufania od wyborców na najbliższe lata. O zwycięstwie Andrzeja Dudy przesądziły na ostatniej prostej kampanii włączenie kwestii ochrony rodziny. Społeczeństwo, w swojej masie, jeszcze reprezentuje poglądy konserwatywne, opowiada się po stronie wartości. Nie wystarczy tylko przeciwstawiać się antycywilizacyjnej rewolucji. Potrzebny program pozytywny – wielka idea.

Taką ucieczką do przodu (choć mocno spóźnioną) powinna być narodowa strategia odbudowy populacji. Polska umiera. Przyszłość nie rządzi się krzywymi ekonomicznymi, lecz krzy-

wymi demograficznymi. A te dla Polski są zatrważające. Urodzeni dziś obywatele, jeżeli dożyją, za 80 lat będą mieszkać w kraju o liczebności 17 mln osób. To nie jest pytanie o emerytury, rynek pracy, to pytanie, czy Polska ma być! Dla rządzących nie ma ważniejszego zadania niż zatrzymanie demograficznej załamy. Program 500+ nie przyniósł oczekiwanego wzrostu dzietności. Pieniądze to nie wszystko. Zamożniejsze kraje, przeznaczając znacznie więcej na socjal, nie powstrzymały depopulacji. Potrzebna jest zmiana paradygmatu kulturowego. Nie jest to łatwe, ale nikt nas nie zwolni z obowiązku podjęcia wyzwania. Dla przykładu – konwencję stambulską należy wypowiedzieć nie dlatego, że jest niezgodna z konstytucją i używa słów niemających prawnej definicji. Wielką ideą Polaków i podstawowym celem państwa jest odbudowa demograficznych zasobów, a miejscem rodzącego się nowego życia i środowiskiem prawidłowego rozwoju człowieka jest rodzina. Zatem wszystko, co jest niezgodne z interesem rodziny (konwencja nie sprzyja rodzinie), jest sprzeczne z narodową strategią, a więc won! Podobnie należy postąpić w publicznych mediach, edukacji, na uniwersytetach czy kulturze finansowanej z podatków. Że to będzie cenzura, ograniczenie wolności, naukowej, twórczej? A jakie to ma znaczenie. Walczymy o życie. Lamartine w „Historii żyrondystów” pisał: „Jeżeli zachodzi sprzeczność między zasadami i przetrwaniem społeczeństwa, to znaczy, że zasady są fałszywe. Społeczeństwo jest bowiem prawdą nadrzędną”.

Michał Korsun prezentuje: **Patriota inaczej**



Wycinki z przeszłości

Dziś wycinki nietypowe, ale zdecydowanie z przeszłości. Któż z nas nie pamięta charakterystycznych opakowań zapalek z Sianowa? Ileż ognisk od nich zapłonęło, ile razy rozpalono nimi w piecach, ile papierosów zaogniły. Niestety fabrykę z okolic Koszalina wykończyła konkurencja taniego importu oraz jednorazowe zapalniczki. Upadła w roku 1997, a w roku 2017 zburzono budynki. Dziś pozostała pamięć mieszkańców tego pięknego miasteczka o zakładzie, który dawał pracę (wówczas niemieckim) mieszkań-

com od pierwszej połowy XIX w.! Wtedy zapalki to był postępek i nowoczesność. Po wojnie wojska sowieckie wywiozły całe wyposażenie i dokumentację, ale już w roku 1947 Polacy wznowili produkcję.

Dziś po fabryce został tylko duży komin i postawiony w roku 2011 pomnik Dziewczynki z Zapalkami. To też symbol lokalnej akcji charytatywnej. Rzeźba budziła duże emocje, narzekano na jej wygląd, ale ostatecznie chyba się przyjęła.

(mk)



Która budowała barykadę...

Opublikowany w 1974 r. tom „Budowałam barykadę” był nie tylko bulwersującym wydarzeniem literackim, ale i szerzej usłyszonym głosem. „Wstrząsającym wzbogaceniem” oceny ofiary powstania warszawskiego. Czy słusznym? Nie sposób zaprzeczyć rzeczywistości i takiej prawdzie... Tak przedstawionej codzienności powstańczej. Gorzkiej, pozbawionej heroicznego patosu, nawet emocji. Relacji tym bardziej tragicznej. Autorka spisała swoje świadectwo jako świadek i „szara uczestniczka”, sanitariuszka powstania...



Leszek Długosz

Anna Świrszczyńska (1909–1984)

*Szli kanałami
niosła go na plecach
po piersi w śmierzącym kale
w ciemności bez powietrza
potykała się o trupy
tych co się potopili
czepiała się śliskich ścian
po których pełzały szczury
mówiła: poruczniku
niech pan się trzyma za szyję
to już niedługo.
Szli kanałami błdzili
niosła go na plecach
dziesięć godzin.
Gdy wyszła na ulicę
pod niebo czystej nocy
sanitariuszki powiedziały:
przyniostaś trupa.*

Z granatem na gniazdo cekaemów

*Przestali strzelać, poruczniku,
dajcie mi granat, ja pójdę pierwsza,
ja najmniejsza, mnie nie zobaczą,
jak kot na brzuchu, dajcie mi granat.
Jak kot na brzuchu przez kałużę,
granat w garści, wolno powoli
serce tak wali, jeszcze usłyszę,
pomóż mi Boże, wolno powoli,
jak kot na brzuchu, bliżej bliżej,
Boże, jeszcze, jeszcze bliżej,
teraz, odbezpiecz granat, skok.
Skoczyła. Niemcy
puścili serię*

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZA

Bez prywatności i przebaczenia?

Zostałem zaskoczony. Zresztą nie po raz pierwszy w życiu, gdy już wyobrażałem sobie, że coś naprawdę ze społecznego świata rozumiem. Tym razem źródłem zaskoczenia była lektura niedawno wydanej po polsku książki brytyjskiego konserwatywnego autora i komentatora politycznego Douglasa Murraya. Książka nosi tytuł „Szaleństwo tłumów. Gender, rasa, tożsamość”. Owo genderowe szaleństwo z pewnością zasługuje na to, by poświęcić mu osobny felieton, dziś jednak o spostrzeżeniach Murraya na temat mediów tożsamościowych.

Brytyjczyk podkreśla, że pełne konsekwencje wpływu owych mediów są trudne jeszcze do odczytania, ale zarazem wskazuje na dwa poważne, dające się uchwycić efekty. Pierwszy to zacieranie granic między komunikacją prywatną a publiczną. Drugie to zabijanie społecznej i indywidualnej zdolności przebaczenia.

Spostrzeżenia na temat tego drugiego efektu najbardziej mnie zaskoczyły.

POLE MINOWE

Pisząc o zacieraniu granic między prywatnym a publicznym komunikowaniem się ludzi, Murray nie ma na myśli np. tego, że twój smartfon – czytelniczko i czytelniku – nieustannie cię śledzi. Bardziej niepokoi go to, że rolę śledczych i donosicieli przejmujemy, często nieświadomie, my wszyscy. Przykładowo: ktoś swój komentarz na temat jakiejś grupy społecznej pisze na zamkniętym forum dyskusyjnym, by następnego dnia dowiedzieć się, że właśnie stracił pracę. Ów post został bowiem powielony po całych polaciach internetu, wzbudził oburzenie i wściekłość. To zaś wywołało taką presję na pracodawcę tej osoby, że ten na wszelki wypadek uznał za stosowne ogłosić, że z kimś posiadającym takie straszne poglądy (co z tego, że wyrażone prywatnie, do wąskiego grona osób) nie widzi możliwości dalszej współpracy.



*W świecie cyfrowym
nic nie zostaje
na trwałe skreślone. Nawet
jeśli i ofiara, i sprawca
po latach żyją już
w innej rzeczywistości,
która pozwoliła im
odzyskać równowagę*

Skoro zjawisko to nabrało już cech powtarzalności, to efekt jest łatwy do przewidzenia: autocenzura. Ludzie coraz bardziej obawiają się mówić/pisać to, co w głębi serca myślą. Obawiają się otwarcie pytać o drażliwe, trudne, skomplikowane kwestie. A jak już nie wolno o czymś mówić i pisać, to po co w ogóle o tym myśleć? Przecież to jawne. W ten sposób media, które dla każdego stworzyły miejsce ekspresji, także dla każdego, w każdej chwili mogą się stać miejscem opresji, polem minowym, po którym należy się poruszać

z największą ostrożnością, a nie – jak przystoi wolnym ludziom – na luzie.

INTERNET NIGDY NIE ZAPOMINA

Ale jeszcze niebezpieczniejsze, jeszcze paskudniejsze – bo sięgające chyba samych głębin ludzkiej duszy – skutki przynosi drugie zjawisko, na które Murray zwrócił uwagę.

Wszyscy popełniamy błędy, wszyscy grzeszymy. Wszystkim pewnie – za wyjątkiem może nielicznej grupy osób prawdziwie świętych – zdarza się krzywdzić innych ludzi. Czasem bardzo źle jest z tym sprawcy, długo odczuwającym np. wstyd i głębokie poczucie winy. Czasem okrutnie cierpią ofiary – np. osoby przez kogoś upokorzone.

Każdy teolog i psycholog wie, że przebaczenie jest uzdrowieniem. Często wcale nie trzeba sięgać ani po łaskę Bożą, ani korzystać z wyrafinowanych mechanizmów ludzkiej psychiki, by przebaczenie – ergo uzdrowienie – było możliwe. Tu, wskazuje Murray, zbawienny bywa sam upływ czasu, który działa po prostu dzięki temu, że nasza pamięć jest ułomna. Z biegiem czasu nawet silne emocje blakną, stąd głęboką prawdę niesie stare porzekadło „czas leczy rany”.

Tymczasem w świecie cyfrowym jest inaczej. Tu nic nie zostaje na trwałe skreślone. Nawet jeśli i ofiara, i sprawca po latach żyją już w innej rzeczywistości, która pozwoliła im odzyskać równowagę, to w każdej chwili ktoś może wydobyć z odmętów internetu opis (często zdeformowany) przykrego zdarzenia i przypomnieć je całemu światu.

Wszystko każdemu może być wypomniane. Zawsze. Znaczy to, że jeśli czegoś ważnego i odważnego nie zrobimy z mediami w istocie odspołeczniającymi, to czeka nas ludzki świat trwale poraniony.

Świat technologicznego postępu, ale bez prywatności i przebaczenia to nie-ludzki świat.

Andrzej Zybertowicz

Sieć Przyjaciół



Jacek Karnowski

Redaktor naczelny tygodnika Sieci



Marzena Nykiel

Redaktor naczelna portalu wPolityce.pl

Sieć Przyjaciół zapewnia dostęp
do cyfrowej wersji **tygodnika Sieci**,
magazynu **wSieci Historii**
i artykułów **PREMIUM+** w portalu **wPolityce.pl**

E-PRENUMERATA **SIECI**
TERAZ 50% TANIEJ!

NOWOŚĆ!
DOSTĘP DO TREŚCI PREMIUM+
W PORTALU **wPolityce.pl**

KUP TERAZ: www.SiecPrzyjaciol.pl

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



**100
książek
w prezencie**

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:

tygodnika **SIECI** i magazynu **wSIECI HISTORII** za **280 zł**,
a książkę **Ostatnie lata polskiego Lwowa** otrzymasz **GRATIS!**



Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.